



MARTA MATYSZCZAK

KRWAWA
KĄPIEL
NAD KRUTYNIA



MARTA MATYSZCZAK

KRWAWA
KAPIEL
NAD KRUTYNIA



W
WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

POLECAMY KRYMINAŁY Z PAZUREM

MAMY
MORDERSTWO
W MIKOŁAJKACH

TAKA
TRAGEDIA
W TAŁTACH

KRWAWA
KAPIEL
NAD KRUTYNIA

Zapraszamy na www.publicat.pl

Projekt okładki
NATALIA TWARDY

Projekt serii
STUDIO & VISUAL/WWW.ANDVISUAL.PL

Koordinacja projektu
NATALIA STECKA-KUBANEK

Redakcja
URSZULA ŚMIETANA

Korekta
BOGUSŁAWA OTFINOWSKA

Redakcja techniczna
LOREM IPSUM – RADOŚLAW FIEDOSICHIN

Polish edition © Publicat S.A., Marta Matyszczak MMXXIII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved.

ISBN 978-83-271-6450-6

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Od Autorki

Motto

Dramatis personae

Część 1

Część 2

Część 3

Część 4

Część 5

Część 6

Przypisy

*Ewie Kamińskiej,
mojej ulubionej młodej czytelniczce*

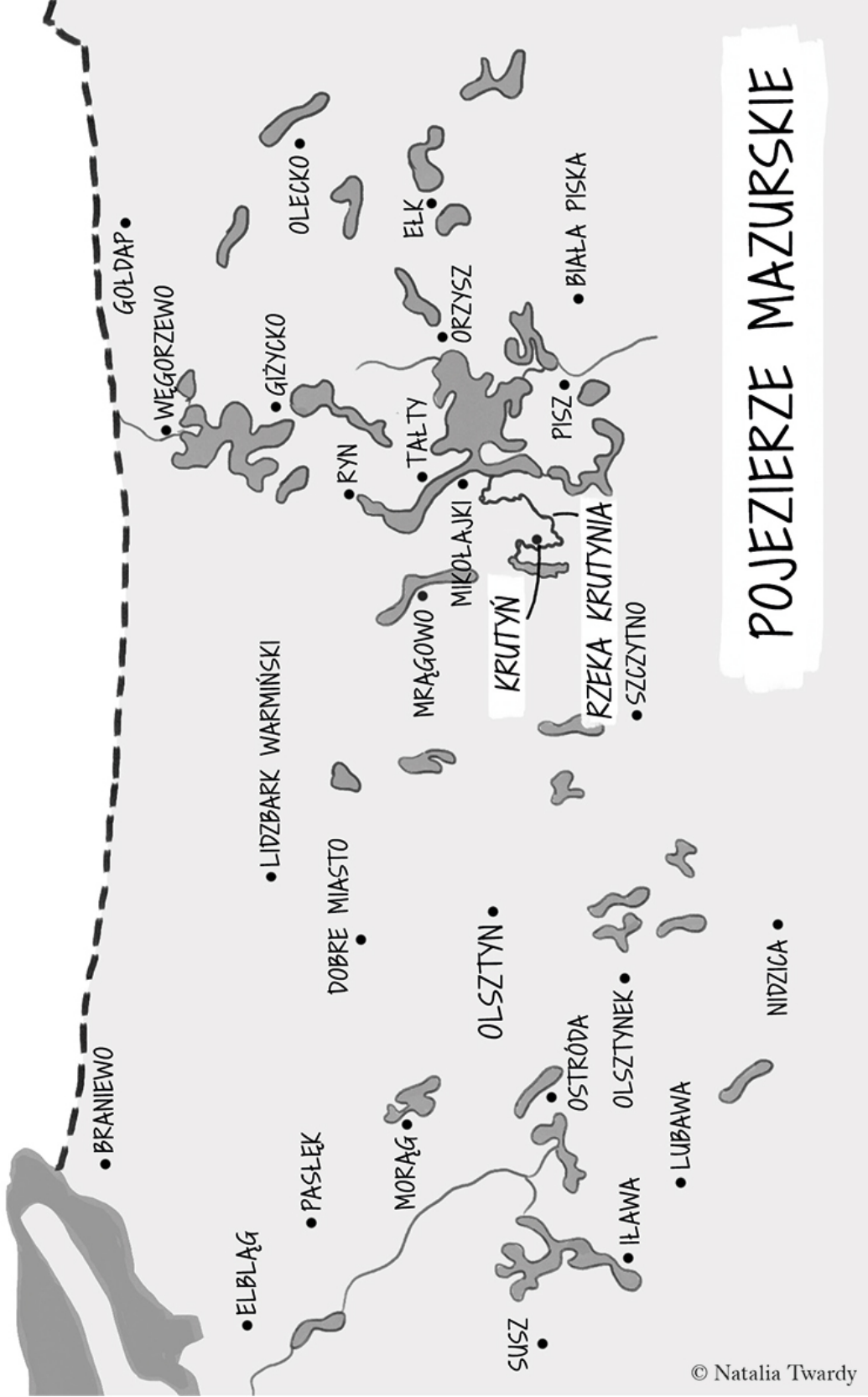
Uprzejmie donoszę, że na szlaku kajakowym Krutyni wprowadzie natkniecie się na miejscowość o nazwie Zgon, jednak na jakiegokolwiek trupa już raczej nie. Sama sprawdziłam! Taki spływ to wspaniała przygoda i szansa na obcowanie z dziką naturą. Zwłaszcza po sezonie!

Ponadto zapewniam, że postacie występujące w powieści są fikcyjne, podobnie jak szwedzka Osada. Prawdziwe są jedynie koty: Burbur i Pedro, które w rzeczywistości dzień w dzień także piszą swoje pamiętniczki – na mojej kanapie.

Autorka

*Oh, I wish I had a river
I could skate away on
I wish I had a river so long
I would teach my feet to fly
Joni Mitchell, River
Każda zniewaga krwi wymaga.*

Burbur



DRAMATIS PERSONAE

Rozalia Ginter – lekarka weterynarii, właścicielka przychodni Podaj Łapę

Paweł Ginter – mąż Rozalii, komendant policji

Burbur – kotka o męskim imieniu i diabelskim charakterze, znana autorka pamiętników

Pedro – synalek Burbury, idzie w ślady matki

Hanna i Helena Ginterówny – córki Rozalii i Pawła, bliźniaczki, utrapienie

Hubert Ginter – syn Rozalii i Pawła; co też mu się przytrafiło?

Jadwiga Ginter – matka Pawła, już nie żyje, ale i tak nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa

Ilona Babiś – była recepcjonistka w przychodni weterynaryjnej, wedle wszelkich danych spoczywa na dnie jeziora Tałty

Robert Osipczuk – gangster z zasadami

Rafał Osipczuk – syn Roberta, nowy recepcjonista w przychodni weterynaryjnej Podaj Łapę

Emil Kaźmierczak – lalusiowaty podkomisarz z Mrągowa, tym razem się nie wtrąca, bo ma swoje pięćdziesiąt dwa śledztwa na barach

Jan Sobottka – właściciel hotelu Na Wodzie, znany jako Król Sielaw, szef wszystkich szefów

Wujek Stasiu – żul spod sklepu i baru U Ani, spotykamy go na gościnnych występach

Potomek-Chojarska – bezczelna prawniczka na obcasach, nikt nie wie, jak ta cholera ma na imię

Wielebny Konopniak – proboszcz parafii w Mikołajkach, który będzie musiał oddać, co nie jego

Nikola Wójcik – młoda dziewczyna, zaliczyła krwawą kąpiel w Krutyni

Mateusz Orzeł – chłopak Nikoli, przepadł bez wieści

Filip Orzeł – ojciec Mateusza, nieszczęsny karczmarz

Vanessa Wójcik – starsza siostra Nikoli, nieszczęsna kelnerka

Olof Molin – Szwed, marzy o tym, by się upić w Krakowie

Dobromir Żukowski – biznesmen, z wyglądu przypomina Beatlesa, nie wiadomo tylko którego

Ewa Jamioł – wścibska sąsiadka Ginterów

Komendant posterunku w Pieckach – przebywa właśnie na wczasach w Chorwacji i proszę mu nie przeszkadzać!

Lidzia – sekretarka komendanta w Pieckach – też jedzie do Chorwacji, tylko na inny turnus

Kucharz w stosownej czapce – zamiast ryby o mało nie ugotował kota

Hans Eriksson – właściciel szwedzkiego lasu współpracujący z przemysłem meblarskim

Boguś – dziennikarz polskiego pochodzenia pracujący w szwedzkiej gazecie, zafrasowany poziomem zalesienia

Tomek – drwal, zostaje zmuszony do podniesienia głosu

Witek – zaskakująco żwawy jak na wiejskiego dziada; trudni się przewożeniem kajaków na przenosce przy młynie – za drobną opłatą oczywiście

Olek Szpon – żurnalistyczna hiena pracująca dla brukowca „Bez Ściemy”

Posterunkowy, jak mu tam – powinien pomagać w prowadzeniu śledztwa, ale chce mu się spać

Małgonia i Staszek – wczasowicze ekscytujący się doniesieniami prasowymi nad ogniskiem, które się nie chce rozpalić

Kobieta z kurwikami w oczach i jej mąż-niewydarzony kajakarz – także zapoznają się z feralnym artykułem

Piotrek i koledzy – nastoletni uczestnicy spływu, koneserzy wina mszalnego

Stary pierdziel i jego druga żona – istna pochwała instytucji małżeństwa

Wójcik i Wójcikowa – mówią niewiele, ale przecież im smutno

Krystian – wysoki i chudy jak zeschnięta tyczka słonecznika notariusz, nie lubi się odzywać (kolejny!)

Lena – waleczna gosposia

Antoni Sobottka – bratanek Jana, obrał nieco odmienną niż wujaszek drogę zawodową

Lekarz – o gładkich dłoniach i z interesującą propozycją dla Ginterów

Konfident z wypożyczalni kajaków w Krutyni – niech no tylko wpadnie w pazury Burbur

Asia i Krzysiu – harleyowcy z Poznania, znaleźli się we właściwym miejscu o odpowiednim czasie

Waldemar K. i jamnik Parówa – znajdują zwłoki, choć woleliby nie

Dwóch funkcjonariuszy policji wodnej – jeden ma słaby żołądek, a drugi głowę

Grupa wściekłych szwedzkich ekologów – robią awanturę

CZEŚĆ 1

W której rodzina Ginterów jedzie na wakacje, a Rozalia z miejsca wpada na trupa. Weterynarka dostaje interesujący prezent. Pedro zabiera głos. Po raz pierwszy przenosimy się do Osady. Poznajemy sobowtóra Beatlesa (tylko trudno jednoznacznie stwierdzić którego).

Teraz, Krutyń

Bystry nurt Krutyni zabarwił się na karminowo. Gęsta plama rozlewała się coraz szerszymi zakolami i odnogami. Im była dalej od swojego źródła, tym bardziej rozrzedzała się i bladła. Trafiała na przeszkody z porastającej dno i przebijającej się przez tafle wody osoki aloesowatej. W radośnie zielone źdźbła rośliny wplątywały się długie pasma ciemnych falujących włosów, otaczających ruchomą aureolą bladą twarz. Twarz należała do dziewczyny, jeszcze przed chwilą pięknej i młodej. Teraz już pozbawionej życia i nadziei. Że kobieta jest martwa, rozumiało się po jednym spojrzeniu w jej nieruchome, zmatowiałe, błękitne oczy, wpatrujące się ślepo w mazurskie niebo o niemal identycznym jak one kolorze. Dotąd nikt jednak nie stwierdził zgonu, ponieważ ciało dziewczyny nie zostało jeszcze odkryte.

Co już za moment miało się zmienić.

Dzień był pogodny, słońce na dobre rozgościło się na firmamencie. Na razie dawało tylko na zapowiedzi tego, co szykowało na następne godziny dla spragnionych kontaktu z naturą turystów i umęczonych sezonem wakacyjnym lokalsów. Choć nastał dopiero poranek, Rozalia Ginter już zdążyła się spocić w swojej niby to przeznaczonej do sportowych wyczynów koszulce i szortach odsłaniających jej zgrabne, opalone, pokąsane przez komary i podrapane przez kota nogi, na co dzień uzbrojone w szpilki, a tym razem w przezroczyście gumowe buty do pływania.

Rozalia zachodziła w głowę, jak do tego doszło, że znalazła się właśnie tu. Czyli w istnym piekle na tej spragnionej deszczu ziemi! W zasadzie sama była sobie winna tego, że sprawy potoczyły się z nurtem najpopularniejszej wśród kajakarzy rzeki w Polsce, ale w tej chwili zdecydowanie łatwiej było jej szukać kozła ofiarnego wśród innych. Doskonale nadawał się na takowego jej mąż, Paweł Ginter.

To prawda, że to ona wymyśliła (i miała ku temu ukryte, bynajmniej nie sportowe powody!), by całą rodziną udać się na spływ Krutynią. To także ona przekonała (no dobrze, przekupiła) do tej idei córki, choć bliźniaczki pewnie wolałyby już nawet przesiedzieć te dwa tygodnie w cuchnącej pleśnią piwnicy. Wszystko to było zgodne ze stanem faktycznym, jednak nigdzie nikt przecież nie mówił o spaniu w namiocie!

Czterdziestoletnia z okładem Rozalia Ginter doprawdy była przekonana, że już nigdy w życiu nie będzie zmuszona nocować pod jakąś płachtą brezentu, odgniatając kości na karimacie, marznąc w śpiworze i tłocząc się na powierzchni sześciu metrów kwadratowych z mężem i dwiema nastolatkami. Oraz kotami.

Także sztuk dwie!

Nie miała jednak innego wyjścia. Decyzja o wyjeździe zapadła, a potem się zaraz okazało, że wszelkie sensowne miejsca noclegowe są już dawno zajęte. Nad Krutyń każdego lata zjeżdżały hordy! A już zwłaszcza w ostatnim czasie rzeka stała się niezwykle popularna i każdy najwyraźniej przyjmował sobie za punkt honoru choć raz w życiu spłynąć po niej kajakiem. Do tego to nie było tak, że okolica mogła się poszczycić szeregiem wielogwiazdkowych hoteli nastawionych na wymagającą klientkę, za jaką Ginterowa się uważała. Nic z tych rzeczy! Liczyć można było raczej na kwatery prywatne i stacje wodne z podejrzanej proveniencji domkami kempingowymi z papendekla i – na nieszczęście Rozalii – polami namiotowymi.

– Będzie fajnie, zobaczysz! – zapewniał ją Paweł, najwyraźniej wierząc w ten stek bzdur.

Rozalia dała się przekonać, za co pewnie odpowiedzialne były też jej wyrzuty sumienia. Miała wszak swoje za uszami. Paweł również. Jednak była przekonana, że gdyby mąż poznał jej tajemnicę, cały ich mały rodzinny wszechświat obróciłby się wniwecz. A do tego Rozalia Ginter nie zamierzała dopuścić. Obojętnie, jak wysoką cenę przyszłoby jej zapłacić. Zatem spanie pod namiotem nie wydawało się aż tak wielkim poświęceniem z jej strony. Tak sobie myślała, gdy jeszcze w Mikołajkach pakowała bagaże do swojego SUV-a. Teraz, po tygodniu spędzonym na przemian na wodzie i na twardej mazurskiej ziemi, była zgoła odmiennego zdania.

– Daj mi tego cholernego kota! – zwróciła się do Hani, która już umościła się na tylnym siedzeniu kajaka.

Teoria korzystania z tego wodnego sprzętu, jaką pierwszego dnia spływu wyłożył im równie umięśniony, co znudzony instruktor, głosiła, że delikwent o większej masie ciała powinien w dwuosobowym kajaku zasiąść z tyłu, lżejszy zaś z przodu. Tylko wtedy można było liczyć na to, że pojazd będzie skręcał tam, dokąd się go pokieruje. Istniała też szansa, że obędzie się bez wywrotki. Fakt był taki, że filigranową Rozalię córki już dawno przerosły i z pewnością każda z nich ważyła więcej niż matka. Początkowo Hania, która została przydzielona do tandemu z Rozalią, strzeliła focha i za nic nie chciała przyjąć do wiadomości praw fizyki. Wreszcie jednak pozwoliła się przekonać (tak, znów przekupić) do tego jedynie słusznego rozwiązania. Głównie dlatego, jak przypuszczała Ginterowa, że niewidziana za plecami matki mogła markować wiosłowanie.

No i z tandemu zrobił się też trójkąt, bo przecież mieli na pokładzie jeszcze koty!

– Bez nich nie jedziemy! – obwieściły zgodnie, jak nie one, dziewczynki, gdy usłyszały o propozycji rodzinnego wypadu. – U tej starej ropuchy nie pozwolimy ich zostawić! Ona gotowa przerobić Pedra i Burburkę na obiad! – upierały się.

Rozalia dałaby sobie blond włosy przefarbować na zielono, że nie chodziło tu o żadną miłość do zwierząt, tylko o sprytny plan, który miał na celu rezygnację ze wspólnego urlopu na łonie natury. Choć jeśli chodzi o opinię na temat ich sąsiadki Ewy Jamioł, która nad wyraz ochoczo zgodziła się zaopiekować kotami, pewnie sądząc, że dzięki temu będzie miała możliwość pomyszkować w okazałej willi Ginterów przy ulicy Kajki, pani weterynarz ją podzielała. W każdym razie, chciał nie chciał, zapakowała do terenówki też syczącą wściekle Burburę i popatrującego na nią z dezaprobatą Pedra.

A teraz musiała się użerać z przekłętą kotką, która tylko cudem dała się zakuć w dyby w postaci szelek z przypiętą doń smyczą i ulokować w kajaku pod nogami właścicielki. Rozalia wołała mieć zwierzę na oku. Burbura gotowa była wydrapać w kajaku dziurę, wymordować wszystkie mijane kaczki i na dokładkę doprowadzić do katastrofy wodnej, przy której afera z Titanikiem mogła się schować.

Kotka, o dziwo, po jakimś czasie się uspokoiła. Zaszyła w głąbi kajakowego dziobu i w zasadzie rzadko kiedy decydowała się wychynąć na powierzchnię. Być może była w szoku po tym, gdy do całego osprzętu Rozalia dołożyła jej kapok. Głębokie bruzdy na łydkach Ginterowej były właśnie efektem wciskania kotki w pomarańczowe, fluorescencyjne wdzianko. Weterynarka wołała jednak nie sprawdzać, czy Burbura na pewno potrafi pływać.

Co innego Pedro. Synalek Burbury, młody, wścibski i nieposkromiony, był żywotnie zainteresowany wszystkim. Z nim jednak musieli sobie radzić Paweł i Helenka, którzy zajmowali drugi wynajęty przez Ginterów kajak. Kocurek pozwoliłby bez protestów, gdyby tylko przyszło im to do głowy, ubrać się nie tylko w kapok, ale i strój Świętego Mikołaja. Pod względem braku spolegliwości zdecydowanie nie wdał się w matkę.

Teraz mąż i druga córka znajdowali się jeszcze w tyle. Rozalia i Hania już zdążyły przetransportować swój kajak lądem przy młynie wodnym w Zielonym Lasku, przy którym mieściła się niewielka elektrownia. Poszło im sprawnie, bo Ginterowa po prostu zapłaciła starszemu panu, który czekał przy brzegu z wózkiem na kółkach, na

który załadował sprzęt i go przyciągnął na miejsce. One mogły spokojnie przejść obok śluzy. Facetowi wprawdzie towarzyszył kudłaty, rozczochrany pies, który z miejsca wyczuł obecność gatunkowo wrogiej osobniczki i próbował wdać się z nią w pyskówkę, jednak jedno machnięcie (i to tylko w powietrzu) Burburowego pazura zdusiło kłótnię w zarodku.

– Tata pewnie żałuje tej dychy i sam dźwiga – zawyrokowała Hania. – Zejdzie im jeszcze.

Rozalia westchnęła. Usiadła na swoim miejscu, sprawdziła, czy kot oraz zapakowany w plastikowy worek na śmieci plecak są odpowiednio ułożeni, i odepchnęła się wiosłem od dna.

– Przyłóż się – pouczyła córkę, bo ta znowu się obijała. – Nie jestem twoją taksówką.

Z mozołem odbiły się od brzegu, tylko trochę telepiąc kajakiem na boki. Choć z Krutyni wypłynęli dopiero przed godziną, Rozalia już miała dosyć. Była wysportowana. Codziennie rano biegała wzdłuż Jeziora Mikołajskiego. Jednak tydzień walki z pagajami zdecydowanie nadwyrężył mięśnie jej ramion i kręgosłup zmuszony do sztywnego tkwienia w kajaku. Czuła się jak jakiś Pudzian. Bicepsy paliły żywym ogniem i wbrew obietnicom Pawła z każdym dniem nie było lepiej, tylko bardziej koszmarne. No i namiot dokładał swoją porcję tortur.

Rozalia zerknęła w stronę wznoszącego się ponad poziomem wody dziewiętnastowiecznego, ceglanego, pokrytego murem pruskim budynku młyna. Wedle przewodnika należało mu się bliżej przyjrzeć i pokontemplować piękno solidnej, zabytkowej już budowli. Pani weterynarz nie marzyła jednak o niczym bardziej, niż wreszcie dobić do Ukty i móc zjeść obiad. A przed nimi było jeszcze sporo drogi. Specjalnie wypłynęli bladym świtem, bo już około dziewiątej rano robił się na szlaku istny kociokwik. Chcieli więc zdążyć przed tłumem.

– Równo! – warknęła na córkę, która wtykała wiosło do wody bez ładu i składu. Jeszcze gotowa je obie wpakować do rzeki. – Prawa!

Lewa! Prawa! – wydawała komendy.

Oddaliły się wreszcie od młyna i znalazły na zakręcie prowadzącym w nurt ciągnący się pośród gęstego i ciemnego lasu. Rzadko kiedy słońcu udawało się tu przebić przez rozłożyste korony drzew. Rozalia odwróciła się przez ramię, żeby skontrolować ruchy córki, która znowu przestała wiosłować. Hania oparła wiosło o kajak i wpatrywała się intensywnie w jakiś punkt ponad ramieniem Rozalii.

– Zamknij usta, bo ci komary nalecą do buzi! – pouczyła ją matka. – I weź się wreszcie do robo... – Nie dokończyła zdania.

W tym momencie kajakiem szarpnęło i obróciło go o dziewięćdziesiąt stopni. Musiały w coś przydzwonić. Pewnie znowu w jakiś powalony na wodę pień.

– Co jest, do cho... – Rozalia ponownie urwała w pół zdania.

Siedziała już przodem do kierunku spływu i sama wgapiła się z oniemiaaniem w to samo co córka. W pierwszej chwili nie rozumiała, na co właściwie patrzy. Mózg jednak szybko podpowiedział jej jedyne możliwe wyjaśnienie tego abstrakcyjnego, zdawać by się mogło, obrazu. Tuż obok nich, obijając się o burtę kajaka, na wodzie kołysało się ciało martwej dziewczyny, z rozrzuconymi na boki rękami i spływającymi kaskadami, długimi jak u nimfy wodnej włosami.



Wcześniej

Drogi pamiętniczku,

nie mogłam się pozbierać po tym barbarzyństwie, jakiemu tej wiosny mnie poddali Rozalia i Paweł Ginterowie. Otóż unicestwili moją kolejną tajemną skrytkę – sanktuarium literackie, w którym oddawałam się działalności epistolarnej. Mieściło się ono w kuchennej szafce, do której nikt normalny (oprócz mnie) nie zaglądał, ponieważ poutykano tam sterty plastikowych siatek, które w zamysle domowników miały się kiedyś przydać, ale jakoś koniec końców były tylko psu na budę. Każde otwarcie szafki groziło więc lawiną woreczków, nikt zatem nie ryzykował wywołania katastrofy.

I co to komu szkodziło, że sobie na owych drzwiczkach zapisywałam swoje złote myśli? Mogłaby Rozalia Ginter się z nimi zapoznać, może poszerzyłaby swoje

wąskie horyzonty intelektualne. Ale nie. Ta najpierw uderzyła w lament, a potem dawaj, wymieniać meble.

Analfabetka.

Przyznaję, że ta akcja zburzyła mój spokój psychiczny na długo. Dochodzić do siebie zaczęłam gdzieś około czerwca. A gdy już, już zaczęłam się zastanawiać nad wyborem nowej, nadającej się do moich zapisków, nawierzchni, ta lunatyczka na obcasach oznajmiła, że jedziemy na wakacje. Ona, mój ukochany, a jej mąż Pawełek, dwa irytujące patyczaki, ich córki, które wyglądały identycznie i nawet miały takie same (w mojej percepcji) imiona. Oraz ja i mój synalek Pedro.

I żebyśmy jeszcze udawali się na turnus all inclusive do hotelu osiemnastogwiazdkowego na jakich Malediwach czy innych Hawajach, przy piaszczystej plaży, na której mogłabym sobie dziabnąć pazurem prosto z oceanu homara na brunch, to jakoś bym zniosła udrękę podróży. O naiwności! Ta obłąkana psychopatka planowała nas wywieźć na spływ kajakowy Krutynią! Spływ kajakowy Krutynią – każdy człon tego wyrażenia jest dla mnie obraźliwy!

No bo spływ? Czy ja komu wyglądam na zafajdanego śledzia, żeby mi się miała bawić w pływanie?

Kajakowy? Może jeszcze drewnianą tratwą? Jak już mnie wyprawiać na szeroki przestwór oceanu, to tylko jachtem ze służbą i prywatnym lądowiskiem dla helikopterów!

No i ta Krutynia... Ja was proszę! Rzeczona rzeka, jak się dowiedziałam, jest na Mazurach. A gdzie ja mieszkam na co dzień, jak nie w krainie tysiąca jezior? I to jeszcze w Mikołajkach – stolicy całego tego polodowcowego cyrku, a nie w jakiejś pipidówie, która nawet nie ma dostępu do porządnego jeziora, tylko do obsmarkanej rzeczki!

Nic się tu nie zgadzało! Obraziłam się więc na Rozalię i w geście protestu za każdym razem, gdy próbowała mnie pogłaskać, wbijałam jej pazur w wierzch dłoni. Kiedy się zabrała do mnie sposobem i obcięła mi manikiur (nie pytajcie...), to ją urąbałam zębiskami! Żadne jednak moje działania bojowe, jak się miało okazać, nie uchroniły mnie przed spływem kajakowym, do psiuja, Krutynią! No ŻODNE!

Tuż przed naszym wyjazdem Rozalia – co zauważyłam, śledząc każdy jej krok tak w domu, jak i w prowadzonej przez nią i położonej ściana w ścianę z moją willą przychodni weterynaryjnej Podaj Łapę – zaczęła się dziwnie zachowywać. Zamykała się przede mną w łazience i zabierała ze sobą smartfon! Próbowałam skakać na klamkę, ale ten idiota architekt zaprojektował ją zbyt wysoko, mierząc od poziomu podłogi, niewiele więc wskórałam. Wkładanie łapy w te okrągłe otworki u dołu skrzydła drzwiowego też na niewiele się zdało. Podслуchać nic nie mogłam, bo Ginterowa puszczała głośno wodę w kranie i prokurowała zagłuszenia.

Tego dnia jednak mi się poszczęściło. Wystarczyła chwila nieuwagi pani weterynarz i już ją miałam w szachu! Wychodziła właśnie z przychodni, w której przecież i ja harowałam jako ten wół na recepcji, waląc po łapach każdego, kto je kładł na mój kontuar, i rzucając się z (przyciętymi, bo przyciętymi, ale jednak) pazurami na tych, których gęby mi nie przypadły do gustu (najczęściej była to ta wścibska baba, Ewa Jamioł).

– Do jutra! – rzucił za Rozalią Rafał Osipczuk, syn naszego starego znajomka, Roberta.

Chłopaczyna pracował u nas od niedawna i został zatrudniony dzięki koneksjom i nepotyzmowi. Znaczący tatuś władował go na pozycję recepcjonisty na tak zwanego chama, podobno po to, by śledził na miejscu poczynania Rozalii. Robert zrobił to na zlecenie niejakiego Jana Sobottki, szefa wszystkich szefów w naszym mazurskim światku przestępczym. Rozalia kiedyś mu podpadła, a on miał na nią haka. To tak w skrócie. O szczegółach przeczytajcie sobie w poprzednich częściach moich przygód. Wcale Rozalii nie żałuję! Ale temu Sobottce tobym powiedziała, gdybym go spotkała, że ani nie jest specjalnie bystry, ani nie potrafi szanować swoich finansów. Gdyby ruszył czerepem, toby zatrudnił mnie, a nie Rafała! Ja i tak byłam na miejscu, a tropieniem Rozalii zajmowałam się w zasadzie zawodowo. Zatem za odpowiednie wynagrodzenie wypłacane w puszkach krewetek w tuńczyku zdradziłabym mu co nieco.

On jednak uparł się na tego szczypiora, który irytował nie tylko Rozalię, ale i mnie. Ja tam swoje porządki na recepcji już dawno zaprowadziłam, a tu się taki nieopierzony grzdyl nagle zaczął mi wtryniać przed orkiestrę. Oburzające! Tyle mojego, że już mu nie raz i nie dwa zjechałam pazurami tak ręce, jak i facjatę.

W każdym razie Ginterowa nic nie odpowiedziała bubkowi na te uprzejme pozdrowienia i pognęła do zaparkowanego przed przychodnią samochodu. Znaczący, że nie wybierała się do domu! W takim razie ja musiałam się dowiedzieć, dokąd zmierzała ta powsinoga! Zrobiłam hyc-kic, łup-siup i ani się zotła nie obejrzała, a już zasiadłam na gumowym dywaniku za jej fotelem. Rozalia weszła na tych swoich szczydłach od projektanta za kierownicę, zdjęła je i rzuciła na tylne siedzenie, mało mnie nie trafiając w makówkę, i ruszyła z piskiem opon. Aż mną zarzuciło! Lepiej, żeby uważała, bo gotowa jej jestem zapaskudzić wewnątrz tego dupowozu, który – jestem w stanie się o to założyć – został niedawno podmieniony na nowy, ale z wyglądu był identyczny z poprzednim! Rozalia nikomu się do tych motoryzacyjnych machloi nie przyznała, ale ja swój nos mam i nic się przede mną nie ukryje.

A Ginterowa chciała po prostu zatrzeć ślady wypadku, który jakiś czas temu spowodowała. No dobra, to już wam powiem. W jego wyniku trupem padła jej teściowa, niejaka Ginter Jadwiga. Nie żebym płakała za tą starą wicherzycielką, ale Rozalia zachowała się niczym prawdziwa kryminalistka. Związała z miejsca zdarzenia z ciałem na pace i jeszcze je zatopiła w jeziorze. Od tamtej pory miała nadzieję, że jej postępek się nie wyda (mimo że topielicę już wyłowiono), ale chyba każdy wie, czyją nadzieja jest matką. Na pewno nie moją! Ja (tak jak i Robert Osipczuk, ale to inna historia) wiem wszystko. Pech jednak chce, że dosyć często dopadają mnie ataki sklerozy i wtedy zapominam nawet, jak się nazywam. W tej jednak chwili nie mam takich problemów i mogę was zapewnić, że na chrzcie dano mi Burbur Ginter!

Tymczasem Rozalia poskręcała to w prawo, to w lewo. Dokąd mnie wywoziła, trudno mi było stwierdzić, ponieważ z mojej przypodłogowej pozycji widziałam tak zwane łajno. Wreszcie się jednak zatrzymała i zanim zdołała się wygramolić z wozu i włożyć buty, ja już siedziałam pod samochodem i czekałam na dalszy rozwój wypadków. Od razu skumałam, że jesteśmy w lesie! Boże, Boże, czyli znowu będę musiała wziąć udział w jakichś gangsterskich porachunkach. A tych, wbrew pozorom, w naszym niby to spokojnym, kuracyjnym miasteczku bywało bez liku.

W tych bandyckich wybrykach przodował wspomniany Jan Sobottka – bandzior, który całe dni spędzał w swoim luksusowym hotelu Na Wodzie, a w wolnych chwilach handlował narkotykami i nakazywał podległym mu chłoptasiom dać w mordę to temu, to tamtemu. Nigdy sam nie brudził rączek. Miał od tego ludzi (na przykład Roberta Osipczuka). A ci ludzie często okazywali się łamagami. I potem Rozalia musiała im składać połamane końcyny czy opatrywać rany postrzałowe. Nie żeby się do tego rwała z własnej woli. Musiała. Bo ta stara pierdoła ją szantażowała.

Rozejrzałam się uważnie za tym gamoniem Sobottką. Jedyne jednak, co ujrzałam, to dwie pary szpilek o czerwonych podeszwach! O mikołajskim zbirze można powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że gustował w takim obuwiu. Od razu było widać, że się nie zna na modzie. Jedne pantofle ewidentnie należały do Rozalii – poznałam po nadgryzionym obcasie (tego upiększenia dokonałam sama, o czym nadmieniam z poczuciem dobrze wykonanego obowiązku). Drugich zaś nie znałam, lecz zamierzałam zmienić ten stan rzeczy.

Ostrożnie wyczołgałam się spod SUV-a. Zbadałam sytuację. Zatem po pierwsze, tkwiłyśmy po przeciwnej stronie Jeziora Mikołajskiego, daleko jeszcze za hotelem Na Wodzie, w tych kniejach, które na co dzień widzę z mojej willi stojącej na drugim brzegu. Po drugie zaś, nieopodal w krzakach parkowała wielgachna czarna beemwica. Wychodziło jednak na to, że wcale nie należała do jakiegoś karka, tylko do chudej, wysokiej blondyny, właścicielki bliźniaczo podobnego do Rozaliowego obuwia.

– Wszystko gotowe? – zapytała nieznajoma i wsparła się na czymś, co dobyła z bagażnika swojej fury, a czego z początku nie potrafiłam zidentyfikować.

Ginter pokiwała na to głową.

– Jesteś pewna, że on tam będzie? – zapytała weterynarz.

– Ja, moja droga, się nie mylę – odparła jasnowłosa. – Tu masz ogłoszenie z wszystkimi szczegółami. Oficjalne! – Podała Rozalii jakiś świstek, który ta przejrzała, zmięta i schowała do kieszeni.

I coś w głosie kobiety, postawie ciała i ostrym spojrzeniu kazało mi jej wierzyć. Co nie zmieniało faktu, że nie miałam zielonego pojęcia, o czym te dwie dywagują. Jedno za to wiedziałam – ich spotkanie było z gruntu podejrzane! Gdyby nie było, mogłyby się spiknąć w lodziarni na promenadzie i tam przy ludziach, a nad pucharkiem gałek pistacjowych z bitą śmietaną wymienić uprzejmości. A te czały się po lasach jak jakie partyzantki. Coś więc tu cuchnęło jak psiujowi spod ogona!

– Myślisz, że się uda? – Rozalia miała wątpliwości.

– Ja to wiem! – Doprawdy zarozumiała była ta baba.

Jakoś nie zapalałam do niej miłością od pierwszego wejrzenia (inna sprawa, że ja kocham tylko Pawełka, reszta świata mogła, jak dla mnie, skisnąć). A że jestem istotą ekspresyjną i jeśli mi się co nie podoba, to daję temu wyraz, to i teraz zamierzałam zachować się zgodnie ze swoimi zasadami moralnymi.

– A to co? – Ginterowa wskazała na to coś, o co opierała się kobieta.

Wybałuszyłam swoje żółte z natury oczy, żeby lepiej widzieć. A mogłam sobie darować, bo gdy tylko się zorientowałam, co ma w ręku ta ani chybi wariatka, o mało

się nie przekręciłam z przerażenia! Toż to był kij bejsbolowy! Czyżby zamierzała wlać Rozalii? W takim wypadku – chciał nie chciał – będę musiała stanąć w obronie mojej niewolnicy. Bo jak ta ją tu ubije, to kto mi poda śniadanie dnia następnego? No kto? Już zjeżyłam futerko i przyszykowałam się do skoku, ale w porę się powstrzymałam.

– Pała. Dla ciebie. Na wszelki wypadek – powiedziała nieznajoma i wręczyła Rozalii bejsbola.

– Ale co ja mam z tym...? – Ginterowa była skonsternowana.

– Bierz! – nakazała właścicielka beemy. – Jeszcze mi podziękujesz. Składana jest. Wiele miejsca nie zajmie. To się słyszymy – rzuciła.

Wsiadła do auta i tyle ją widziałyśmy. Rozalia jeszcze przez chwilę stała bez ruchu i wgapiła się w prezent. Wreszcie ją odblokowało. Zawróciła w stronę swojej karocy.

Tym razem niestety refleks mnie zawiódł. Nie zdążyłam w porę się schować.

– Burbur! – wydarła się na mój widok. – Co tu robisz?!

„Kręcę nowy odcinek Psiego patrolu”, chciałoby się rzec, ale czasem warto zmilczeć. W końcu raczyła była mi otworzyć drzwi, żebym mogła niczym poważana kocica wsiąść do samochodu i zająć miejsce pasażerki, a nie poniewierać się gdzieś po podłodze. Co się musiałam nasłuchać w drodze powrotnej do domu, to moje. Aż mi z tego wszystkiego uszy napuchły. I żeby potem nie było pretensji, że trzeba wydać stosowną sumę na operację plastyczną dla kota, bo już wstyd się z nim na mieście pokazać, gdy ma radary jak jaki były już, bo umarły, naczelny tygodnika „Nie”! Tak tylko ostrzegam, gdyż lista zabiegów upiększających, którym będę zmuszona się poddać, stale się wydłuża!

Zajechałyśmy pod willę na chwilę przed Pawełkiem. Rozalia ledwie zdążyła poskładać i schować swój bejsbol. A ja miałam nową zagadkę do rozwiązania. Musiałam się mianowicie dowiedzieć, po co jej ta pała.

Siema, koleżanki i koledzy,

to ja, Pedruszek. Zauważyłem, że mój mamoi wypisuje w kajaku jakieś dyrdymały, więc postanowiłem nie być gorszy. A ponieważ Burbur nie umie czytać, to się nawet nie zorientuje, że jej tu coś dodałem od siebie. Rozpisywał się nie będę. Chciałem tylko nadmienić, że nie jestem takim gamoniem, jak się mnie tu próbuje przedstawić.



– Ja tego nie wytrzymam! – zaprotestowała Helenka, demonstracyjnie zatykając sobie uszy.

– Wymieńmy je na psa! – zaapelowała jej siostra.

– To tylko półtorej godziny – wyjaśnił Paweł, zaciskając dłonie na dość słabo jak na mężczyznę owłosionych kolanach wystających spod sportowych spodenek.

– Same się upierałyście, żeby je wziąć – powiedziała Rozalia, uśmiechając się do lusterka wstecznego.

Gdyby Paweł nie znał żony, pomyślałby, że zrobiła to złośliwie. Do Sorkwit, skąd mieli rozpocząć spływ kajakowy, rzeczywiście było z Mikołajek niedaleko. Jednak przy zawodzących kocich chórzystach droga dłużyła się niemiłosiernie. Pedro i Burbur, podstępem zamknięte w kontenerach, dawały wyraz swojemu niezadowoleniu, ani na sekundę nie rezygnując z wydawania odgłosów, które pozwalały zrozumieć pejoratywny wydźwięk frazy: „kocia muzyka”. Paweł miał wątpliwości, czy to na pewno był dobry pomysł, by ciągnąć ze sobą mruczki na dwa tygodnie nad rzeką. Jednak teraz nie było już odwrotu.

Po drodze mieli jeszcze odwiedzić Huberta w Giżycku. Ich pierworodny syn wciąż przebywał w ośrodku, w którym zajmowali się nim najlepsi lekarze. Jakiś czas temu, podczas tak zwanego białego szkwału na Jeziorze Mikołajskim, Hubert uległ wypadkowi. Pływał akurat z przyjaciółmi na jachcie, który pod wpływem wichury i nagle wzburzonych fal się wywrócił. Młody Ginter ześlizgnął się z pokładu. Chłopak został uderzony w głowę jakąś wystającą z łódki śrubą i tylko cudem przeżył. Choć tę jego egzystencję na nowych zasadach trudno było nazwać życiem. Leżał całymi dniami prawie jak roślinka, nie mogąc wydusić z siebie słowa. Czasem nawet można było mieć wątpliwości, czy w ogóle rozpoznaje swoich rodziców i siostry (te zresztą szybko znudziły się odwiedzinami u brata). Prywatny ośrodek leczniczy pochłaniał ogromne sumy z rodzinnego budżetu, który, prawdę mówiąc, reperowała Rozalia. Jej klinika weterynaryjna przynosiła zaskakująco wysokie zyski jak na tak niewielkie, choćby i turystyczne miasteczko, jakim były Mikołajki.

Trwali w marazmie, powoli tracąc nadzieję. Aż do tegorocznej wiosny, kiedy nagle Hubert się ocknął i w kółko zaczął powtarzać jedno zdanie.

– Mamo! On mnie uderzył. On mnie uderzył. Na wodzie. – Tak to leciało i nie zmienilo się ani na jotę przez te długie tygodnie.

Lekarze byli zadziwieni rozwojem wypadków. Sami nie wiedzieli, co myśleć. Czy to początek polepszenia się stanu Huberta? A może wcale nie? Na lawinę pytań rodziców odpowiadali niejasno. Asekuracyjnie.

Teraz Ginterowie wpadli do syna tylko na chwilę – kotów nie można było trzymać w aucie w nieskończoność. Nawet przy uchylonych oknach i na ocienionym miejscu parkingowym. Przywitali się z Hubertem, wysłuchali przemowy o uderzeniu na wodzie, pożegnali i wrócili do samochodu.

Początkowo Rozalia szalała. Była zdania, że słowa syna wskazują na przestępstwo. Na to, że ktoś rzeczywiście intencjonalnie go skrzywdził i prawie zabił na tej nieszczęsnej łódce. Jednakże logika podpowiadała, że to tylko majaki ofiary wypadku. Podczas tamtego białego szkwału (który wedle meteorologów wcale nie był tak naprawdę dokładnie tym zjawiskiem pogodowym, ale że mediom dramatyczne hasło lepiej pasowało do nagłówków, tak już zostało) ucierpiało wiele osób. Niektóre zginęły. Zatem teoria o jakimś mordercy czającym się na jachcie akurat na ich Bogu ducha winnego syna nie trzymała się kupy. Z czasem Pawłowi udało się przekonać żonę do prawdziwości tezy tego zdroworozsądkowego biegu wydarzeń. A przynajmniej taką miał nadzieję...

Tymczasem ich podróż przebiegała w rytm miauczenia. Gdzieś na wysokości Mrągowa Ginter doszedł do wniosku, że zaraz zwariuje. Uchylił okno i z przyjemnością wystawił twarz na ciepły wiatr.

– Klimatyzacja! – upomniała go żona i ostro skrzyła w prawo.

Zasunął posłusznie szybę i przyjrzał się Rozalii zza przeciwsłonecznych okularów. Jej drobna, ładna twarz z zadartym lekko noskiem była opalona, a dyskretny makijaż nadawał jej rysom wyrazistości. Pomalowane na łososiowo usta zaciskała w wąską kreskę, między brwiami zaś pojawiła się pionowa zmarszczka. Paweł był pełen entuzjazmu, gdy proponował, by z braku innych możliwości nocowali pod namiotem. Zdawało mu się, że w ten sposób przypomną sobie dawne, młodzińcze czasy. Może w ich nadszarpnięty ostatnimi

wydarzeniami (i jego zdradą, nie ma co ukrywać) związek tchną nową energię. Teraz jednak im bliżej byli Sorkwit, tym Gintera dopadały większe wątpliwości. Może jednak niepotrzebnie?

Z Mikołajek ruszyli z samego rana, żeby jeszcze dzisiaj pokonać część zaplanowanej trasy spływu. Wreszcie przekroczyli rogatki miejscowości. Na neogotycki miejscowy pałac rzucili tylko okiem, bo pierzaści śpiewacy operowi nie dawali spokoju. Odnalezienie stancy wodnej położonej nad Jeziorem Lampackim nie sprawiło problemu. Zatrzymali się na parkingu, na którym samochód miał pozostać przez dwa tygodnie, aż do ich powrotu z Rucianego-Nidy, która to miejscowość miała stanowić metę ich spływu. Rozalia poszła do biura stancy załatwić formalności, a Paweł z tęsknotą przyjrzał się rzędomi domków z bali z prywatnymi tarasikami do wynajęcia. Że też go podkusił ten cholerny namiot. Teraz już wiedział – miał stuprocentową pewność! – że popełnił kardynalny błąd. I że przyjdzie mu za niego zapłacić. Wprawdzie nocować mieli dopiero gdzieś na trasie, gdy już poczują się zmęczeni, ale i tak do dyspozycji pozostawała im płachta brezentu...

– Prijon Cruiser Dwa – oznajmiła Rozalia, poprawiając ramiączko plecaka wrzynające jej się w gołe ramię. – Dwa kajaki dwuosobowe. Tak się nazywają – wyjaśniła. – Ten facet twierdzi, że będą dla nas dobre. – Wskazała na zbliżającego się mięśniaka odzianego w obcisłą koszulkę bez rękawów i czapkę z daszkiem nasadzoną na głowę tył na przód.

– Pan siada z tyłu – rzekł mięśniak i przytrzymał wiosłem unoszący się już na wodzie kajak. – A panienka do przodu – poinstruował Helenkę. – A to co? – Zląkł się Pedra, który najpierw próbował się Helence wyrwać, a potem zasiadł na dnie kajaka, przednimi łapami oparł się o burtę i szeroko otwartymi oczami obserwował otoczenie.

– Tylko trzymaj smycz. – Paweł upomniał córkę, jednocześnie próbując upchać dwa owinięte w folię plecaki pod nogami.

– Gdy będziecie chcieli skręcić w prawo, to wiosłujecie po lewej. I na odwrót – perorował monotonna instruktora. Wyjął z tylnej

kieszeni czerwonych spodenek złożoną i wymiętą kartkę. Rozprostował ją, strzepnął. Popatrzył po zebranych. I zaczął odczytywać zapisaną na niej treść z zacięciem godnym największego klasowego gamonia zmuszonego do występu na szkolnej akademii. – Dekalog kajakarza! – huknął. – Jeden! Wsiadaj i wysiadaj z kajaka ustawionego dziobem w górę rzeki. Dwa! Przybijaj do brzegu zawsze pod prąd. Trzy!

– Panie... – jęknął Ginter, jednak nie zdołał przerwać tyrady.

– Trzy! – powtórzył z naciskiem osiłek. – Po wywrotce na głębokiej wodzie holuj kajak do brzegu, nie odwracając go. Cztery! Podczas wywrotki w pierwszej kolejności ratuj człowieka...

– I kota – przerwała mu Helenka.

– Ratuj człowieka – odczytywał dalej niczym robot. – Jego sprzętem zajmiesz się później. Pięć! Płynąc po rzece, stale kontroluj powierzchnię wody...

– Damy sobie radę! – Ginter podniósł głos i odprawił wreszcie gościa machnięciem dłoni. Mężczyzna z żalem i pretensją schował swoją kartkę i sobie poszedł, mamrocząc pod nosem obelgi na nieostrożnych turystów.

Najwyraźniej facet myślał, że ma do czynienia z dyletantami. A przecież Paweł urodził się na Mazurach! Jeśli cokolwiek potrafił, to korzystać ze wszelkiej maści jednostek pływających. Nie potrzebował więc tego kulturysty, by mu wyjaśniał oczywistości. Za to Hania i Helenka wpatrywały się w niego jak urzeczone. Dopiero co przeszła im fascynacja posterunkowym Romaniukiem, więc już się rozglądały za kolejnym obiektem westchnień.

Paweł upchnął jeszcze namiot i resztę sprzętu turystycznego w komorze bagażowej, poprawił sobie poduszkę pod krzyżem, przekręcił nieco uwierający go kapok i łypnął w stronę żony. Ta już odpychała się wiosłem od pomostu i wraz z Hanią objęła prowadzenie. Ruszył więc za dziewczynami, nieco tylko speszony świdrującym wzrokiem Burbury wlepionym prosto w niego.

Kotka przeszła na tył kajaka, usadowiła się tam wygodnie i nie spuszczała wzroku ze swojego pana.

Paweł Ginter miał przeczucie. Mówiło mu ono, że ta wyprawa nie zaprowadzi ich do niczego dobrego. W zasadzie mogliby jeszcze zrezygnować. Wsiąść w samochód i wrócić do domu. Może wyskoczyć na jakieś tygodniowe *last minute* na jedną z greckich wysp. Tak sobie pomyślał. Choć dobrze wiedział, że nie ma już odwrotu.



Pół roku wcześniej, Osada

Mateusz Orzeł z zadartą głową wpatrywał się w rozświetlone na zielono niebo. Jaskrawe łuny zorzy polarnej przecinały firmament, prezentując niesamowity spektakl światła. Do tego położonego niemal dwieście kilometrów za kołem podbiegunowym parku narodowego zjeżdżali łowcy zórz z całego świata, by nasycić oczy tym niecodziennym zjawiskiem.

Mateusz stał nad brzegiem jeziora Torneträsk. Wokół niego, nie licząc czających się w lasach zwierząt (po drodze natknął się na zbłąkanego renifera), nie było żywego ducha. Oczy Mateusza zaszyły mgłą i zaszczypały od łez. Zamrugał i przetarł zmarznięte policzki rękawem kożucha. W jego rodzinnej Krutyni zimy bywały srogie. Tutaj jednak, prawie już na granicy z Norwegią, w styczniu Mateusz marzył jak nigdy dotąd. Nie pomagało ciepłe ubranie kupione specjalnie w miejscowym sklepie, bo lokalsi na widok tekstylnych nabytków z sieciówek śmiali się do rozpuku, wypuszczając z ust kłęby pary. Tutejszy mróz wydawał się bardziej podstępny. I skuteczny. Choć może to była siła sugestii? Do tego dochodziła wieczna ciemność, która zapadała na tej szerokości geograficznej w miesiącach zimowych. Choć już sam nie wiedział, co jest gorsze: dni czy noce polarne. Ciągła jasność też potrafiła doprowadzać do szaleństwa. Organizm wariował. Człowiek nie wiedział, co ze sobą

zrobić. Grube zasłony w oknach wcale nie pomagały. Podświadomie i tak się czuło, że noc nie nastąpiła, sen więc nie nadchodził.

Jednak to nie zjawiska atmosferyczne były największym problemem Mateusza Orła...

Wody jeziora zamarły na dobre. Tafla lodu była gruba i solidna. Całość obsypany jeszcze obficie śnieg. Rybacy, którzy zimą łowili ryby w Torneträsk, musieli posiłkować się świdrami, by wykuć przerębel i dostać się do obiadu.

Mateusz się rozejrzał. Dzięki poświacie zorzy dostrzegał rozciągające się wokół jeziora pasma górskie, których spłaszczone szczyty wyglądały, jakby ktoś je zdekapitował. W pewnym stopniu Laponia przypominała mu jego mazurskie strony. Wszystko tu było jednak potężniejsze, bardziej monumentalne, rozległe. Mógłby mnożyć przymiotniki, jednak sprowadzało się to i tak do jednej konkluzji – Orzeł czuł się w tym otoczeniu mały. A może okoliczności przyrody nie miały tu nic do rzeczy? Może ta jego mikrość wpływała z jego zakompleksionego wnętrza?

Spuścił wzrok i przyjrzał się swoim butom. Czuł się w nich jak zahibernowany bałwan. Poruszał się ociężale, trochę jakby był oderwany od rzeczywistości. Ich ciemne noski wyróżniały się na śniegu. Zatupał. Usłyszał chrzęst zmrożonego puchu. We wszechogarniającej ciszy zabrzmiało to prawie jak wystrzał. Choć gdy teraz wyteżył słuch, zdało mu się, że docierają do niego jakieś trudne do zidentyfikowania dźwięki. Ich źródło tkwiło gdzieś daleko przed nim. Mateusz wyteżył wzrok. Rzeczywiście, prócz migoczących w świetle zorzy lodu i śniegu dostrzegł tam coś jeszcze. Ogień? Ktoś rozpałił na środku jeziora ognisko? Może jakiś gospodarz chciał się pozbyć starej lodówki czy nienadającej się już do użytku pralki i zatargał ją na zbiornik, by dokończyła żywota w jego wodach. Słyszał, że miejscowi kiedyś tak robili. Teraz jednak, ponieważ nastały czasy dbałości o planetę, już zwłaszcza Szwedzi nie powinni odwalać takich numerów. To nie Polska, żeby wywozić śmieci do lasu... Ten ktoś może też był tego zdania i pragnął ukryć przed bliźnimi swój haniebnny uczynek. Nie chciał czekać, aż lody

roztopią się wraz z wiosną i pochłoną zużyte żelastwo. Zatem rozpalik ogień, by dostać się do głębin. Choć może wzrok Mateusza mylił. Poświata wcale nie pochodziła z zamarznętej tafli, tylko z ładu. Linia brzegowa była tu nadzwyczaj nierówna, wciąż skręcała, zwijała się, wybrzuszała, tworząc małe zatoczki i półwyspy. Trudno było mu jednoznacznie ocenić sytuację.

Mateusz zapatrzył się na migające mu przed oczami kolory. Znów widział jak przez mgłę – zielono-pomarańczowo-granatowe powidoki majaczyły na horyzoncie. Czuł się jak w transie. Sam nie wiedział, kiedy ruszył przed siebie po zamarznętej tafli jeziora. Kroczył pewnie – jego buty miały antypoślizgowe podeszwy – a potężna warstwa lodu nie groziła załamaniem. Był bezpieczny.

Tak pomyślał. A potem zniknął. Na zawsze.



Teraz, Krutyń

Drogi pamiętniczku,

mam nadzieję, że mi cię teraz nie zwiną sprzed mojego pomarańczowego nosa, skoro nagle się okazało, że musimy przerwać spływ. Nie żebym była fanką sportów wodnych, jeszcze na swoją puchatą głowę nie upadłam. Jednak miałam do czynienia z systemem naczyń połączonych. No bo dopóki braliśmy udział w tej całej aferze z machaniem pagajami (znaczy, moi niewolnicy machali, przecież nie ja), dopóty mogłam siedzieć w kajaku. A dopóki mogłam siedzieć w kajaku, dopóty pisałam pamiętnik na jego dnie! Na dziobie pod pokładem w nogach Rozalii, tam gdzie mnie usadzono. W całym tym przyrodniczym zamieszaniu moje towarzyszkę nie słyszały drapania pazurów o gruby plastik. Jak już zostało ujawnione, ta niemądra kobieta, Rozalia Ginter, przycięła mi tipsy, więc żeby potem nikt się nie skarżył, że niewyraźnie coś napisałam albo walnęłam jakiegoś orta. Przy braku odpowiednich narzędzi praca literatki jest utrudniona!

Ale oczywiście na naszym szlaku musiał się położyć jakiś trup. Już ja dobrze wiedziałam, co się teraz będzie działo. Zaraz zaczną szukać mordercy! I z mojego wywczasu nici. A nawet już mi się zaczęło podobać na tej całej Krutyń. Głównie za sprawą tych wszystkich ptaszysk, które mijaliśmy po drodze. Początkowo wystraszyłam się dziadów. Kaczki, łabędzie, lelki kozodoje – wszystko tu było jakieś przerośnięte i dzikie. Z gołębiami czy wróblami już dawno nauczyłam się sobie radzić. Te dziwadła mnie przerażały. Szybko się jednak okazało, że mogę się zabawić ich kosztem. Wyglądało to tak:

Płynęłyśmy sobie w trójkę naszą łajbą. Sługuski wiosłowały, ja wygrzewałam futro rozciągnięta na pokładzie, sycząc na Rozalię, gdy niby to przez przypadek kapnęła

na mnie wodą ściekającą z pagaja. Wprawdzie miałam na sobie kapok, ale przecież nie zakrywał mnie całej! Nagle namierzałam tuż przed nami pierzastą ofiarę lub nawet ich grupkę. Schodziłam więc pod pokład i się zaczałam. Te niemoty nie ustępowały drogi kajakowi, wręcz pchały się w trajektorię naszego spływu, zanurzając dzioby i próbując wyszarpać te różne chabazie z dna i je zeżreć. Same więc były sobie winne tego, co dla nich naszykowałam.

Gdy już byliśmy tuż, tuż, wystawiałam radary – co dla postronnego obserwatora mogło wyglądać jak dwa biało-różowe trójkąty wystające ponad krawędź burty. Podnosiłam się coraz wyżej – znów ten hipotetyczny podglądacz w tym momencie oprócz moich odstających uszu widział też dwie żółte żarówki moich oczek. A na koniec pomarańczowy nos. Gdy zrównywałyśmy się z ofiarą, wyskakiwałam jak z procy (doprawdy nikt by mnie nie podejrzewał o taką zwinność, zważywszy na fakt, że wciąż nie udało mi się zrzucić nadprogramowych kilogramów po ostatniej zimie i prawie już szurałam brzuchem po ziemi). Rozczapierałam pazury. I syczałam na potęgę.

Za pierwszym razem, gdy zobaczyłam minę zszokowanego łabędzia, mało się nie posikałam w swoje futrzane pantalony ze śmiechu. Głupek umknął w przybrzeżne sitowie, aż chlupała za nim woda. No boki zrywać!

– Burbur! – Nie w porę reagowała Rozalia głosem pełnym oburzenia.

Jeszcze mnie jednak nie pokręciło, żeby się przejmować jej zdaniem. Powinna się raczej skupić na sterowaniu tym cholernym kajakiem, a nie na upominaniu mnie. Już nie raz i nie dwa wrębałyśmy się w jeden z tych powalonych na wodę konarów. I wtedy jakoś nie przychodziło jej do głowy, że przecież mogę doznać uszczerbku na zdrowiu przez taką kraksę.

Jeśli zaś chodzi o tego trupa, to z miejsca darowałam sobie wszelkie akrobacje. Skoro był martwy, to też obojętny na moje występy. Kiedy wreszcie siedzący z tyłu patyczak przestał się drzeć na widok nieboszczki, a Rozalia drzeć na patyczaka, by ten przestał się drzeć, na miejscu zbrodni pojawił się mój ukochany Pawełek. No! To zaraz nastanie tu porządek! Tak sobie pomyślałam, bo przecież Ginter był komendantem policji w Mikołajkach. A na służbowym koncie miał już złapanego niejednego zbója. W tym także kilku morderców. Zanim jednak mógł się wziąć do roboty, musiał najpierw uspokoić kolejne ryczydło w postaci własnej córki numer dwa, a potem odholować nas wszystkich z powrotem do brzegu.

Rozalia, Hania i Helenka zasiadły na ziemi i wgapiały się w przestrzeń niewidzącymi oczami. Pewnie doznały jakiegoś szoku. Choć stara Ginterowa mogłaby nie robić przedstawienia. Już tam ona niejednego umarlaka w swoim życiu widziała, niech więc nie udaje nagle takiej poruszonej. Tymczasem Pawełek wziął się do wykonywania licznych telefonów. Ja zaś wciąż notowałam wszystko na bieżąco w swoim nowym pamiętniczku. I o mało nie przypląciłam tego epistolarnego zacięcia zawałem.

A to przez tego gamonia, mojego synalka, Pedra Gintera. Musiał się znudzić, wyniuchał mnie więc w kajaku i zniennać wskoczył mi na łeb! Nawrzeszczałam na niego nie gorzej od patyczaków wydzierających się na widok trupa. To niestety zwróciło uwagę Rozalii, która zaraz do nas przylazła i tyle z mojego dalszego pisania pamiętniczka.

Siema, koleżanki i koledzy,

to znowu ja, Pedro. Widzę, że starą znów talent męczy, więc i ja nie pozostanę jej dłużny. Muszę sprostować jedną rzecz – może i naskoczyłem temu boomerowi Burburowi na łeb, ale to i co z tego? Niech się orientuje, a nie zwała na mnie winę za swoje niepowodzenia życiowe. I wcale nie jestem gamoniem! Potrafię dodać dwa do dwóch, gdy zachodzi taka potrzeba. BTW to jest szesnaście. Ha! I co, głupio wam? Tak myślałem.



Dzień wcześniej

Jakiego sortu dowcipniś wymyślił nazwę „Zgon” na mazurską malowniczą wieś, tego Rozalia Ginter chciałaby się dowiedzieć. Dopiero gdy na głos wyraziła swoje wątpliwości podczas składania namiotu rozstawionego w tamtejszej stancji wodnej, prawdę objawiła jej córka. Hania zapoznała się – zdaje się, ryjąc rzecz na pamięć – z przewodnikiem po szlaku Krutyni i teraz sypała informacjami o regionie jak z rękawa, czy kto ją o to prosił, czy wręcz przeciwnie.

– Ten zgon to nie śmierć, tylko zaganianie zwierzyny hodowlanej do wodopoju! – wyjawiała z przemądrzałą miną.

– Och, doprawdy? – Rozalia wyraziła umiarkowane zainteresowanie.

Miała już serdecznie dosyć tych wakacji. Trudno jej więc było wykrzesać z siebie entuzjazm. Najpierw przez pół nocy nie mogła zasnąć, bo do namiotu wleciało stado komarzyc, które wzięły na cel właśnie ją, raz za razem pikując w stronę jej twarzy. Potem obudził się Pedro i postanowił zapolować na owady. W rezultacie naskoczył Ginterowej na facjatę i zadrapał ją pod okiem. Rozalia zerwała się z wrzaskiem, więc kot dał susa i uwiesił się na tropiku. Tylko cudem nie doprowadził do katastrofy budowlanej ich tymczasowego przybytku mieszkaniowego. Ledwie Rozalii udało się z powrotem zapaść w drzemkę, nastał poranek, a jacyś zapaleńcy zaczęli hałasować na polu namiotowym, radośnie przygotowując sobie śniadanie i planując kąpiel w jeziorze Mokre. Ginterowa słyszała

każde ich słowo. A potem ryk motoru, którym najwyraźniej się poruszali. Sądząc po decybelach, pewnie harleya, a nie jakiegoś tam komara. Długo jeszcze w uszach dudniły jej imiona tej zmotoryzowanej pary. „Asiu? Krzysiu? Asiu? Krzysiu?”, tak się do siebie zwracali. Ginter zastanowiła się nawet przez chwilę, czy ich później, już po wakacjach, nie namierzyć i nie zemścić się jakoś za tę przedwczesną pobudkę. Dzięki ich gadatliwości wiedziała, że przyjechali z Poznania. No to ile może być w stolicy Wielkopolski par – napalonych harleyowców? Z pewnością nie aż tak wiele, żeby nie można ich było wytropić. Zwłaszcza z pomocą znajomego gangstera...

Rozalia porzuciła mordercze myśli i wygrzebała się ze śpiwora. Poszła do sanitariatów, by się ogarnąć. Asi i Krzysia już nie zastała.

Chciała jak najszybciej wyruszyć w dalszą drogę. Jak najprędzej zakończyć ten spływ. Te wakacje. Wrócić do domu. I wreszcie wypocząć! Nie było jej to jednak dane, ponieważ Paweł i dziewczynki, gdy już się przebudzili, uparli się, by jeszcze nie odpływać, tylko wykapać się w tutejszym jeziorze, popłażować i się zrelaksować. Dobrze sobie...

Przegłosowana Rozalia wzięła koty na smycze i usadowiła się z nimi na kocu w cieniu drzewa. Na nos nasadziła wielgachne okulary przeciwsłoneczne ze złotym logo projektanta odbijającym światło i wyjęła z torebki najnowszy numer „Vogue’a”. Nie mogła się jednak skupić na analizie topornych stylizacji. Odrzuciła żurnal i sięgnęła po „Magazyn Weterynaryjny”. Po pięciu minutach zmagania z artykułem dotyczącym choroby bornaskiej, „rzadkiej i tajemniczej” – jak określał ją autor tekstu, niejaki doktor Dłutko – „infekcji kotów i psów”, także się poddała. Irytacja w niej wzrastała. Pozostało jej jeszcze przetrwać obiad, który Paweł przyrządził na turystycznej kuchence gazowej (ryż z grzybami, nawet dobry, zważywszy na ograniczone możliwości sprzętowe), ponowne pakowanie i mogli ruszać w stronę Krutyni oraz najbardziej uczęszczanego odcinka spływu ciągnącego się aż do Ukty.

Gdyby Rozalia wiedziała, co tam na nich czeka, pewnie tak bardzo by się nie śpieszyła.

Manewrując między powalonymi konarami, podpływającymi pod sam kajak ptakami i innymi turystami robiącymi dokładnie to samo, Rozalia zastanawiała się, czy jest niewdzięczną żoną. Gdyby ktoś spojrział na nią z boku, mógłby dojść do takiego wniosku i trudno by go było za to winić. Ewidentnie miała muchy w nosie, mimo starań swojego męża. Muchy te jednak same tam nie wleciały. Ginter miała powody do niezadowolenia. W końcu jej ukochany mąż okazał się zdrajcą. I jeszcze na obiekt swych uczuć wybrał sobie jakąś głupiutką małolatę, którą ona – Rozalia – lekkomyślnie zatrudniła w swojej przychodni jako recepcjonistkę. Potem doszło do wypadku, w wyniku którego Ilona utonęła. Nikt, prócz małżeństwa Ginterów, o tym nie wiedział.

I lepiej, żeby tak pozostało.

Ginterowie niby już doszli do porozumienia, rzekomo wszystko między nimi grało. Jednak Rozalia w głębi duszy wiedziała, że to pozory. Nie wybaczyła mężowi skoku w bok. A on, gdyby poznał prawdę o śmierci swojej matki, nigdy nie wybaczyłby Rozalii.

Zresztą sprawa o mało się nie wydała, gdy Paweł przypadkiem znalazł dowód osobisty Jadwigi między poduszkami kanapy w ich salonie. Dowód, który Rozalia zabrała z miejsca wypadku. Wizja wpadki zmusiła ją do wzniesienia się na wyżyny sztuki aktorskiej, by zbagatelizować to znalezisko i zasugerować mężowi, że jego matka pewnie zgubiła dokument przy okazji jednej z licznych wizyt. Jednakże Rozalia nie miała pewności, czy Paweł jej uwierzył...

A wracając do ich potłuczonych relacji, to w zasadzie powinni się rozstać. Na to jednak Rozalia nie zamierzała pozwolić. Rodzina – choćby nie wiadomo jak pokrecona – była wszystkim, co miała. To był jej skarb i pilnowała go jak oka w głowie. Nikt i nic nie mogło jej odebrać najbliższych! Dlatego teraz się męczyła, ignorując ból w umazanych na czarno przez aluminiowe wiosła dłoniach. Do tej pory nie sądziła, że można mieć zakwasy w palcach u rąk.

O odciskach – jątrzących się ranach pozaklejanych plastrami ze wzorkiem w Kaczora Donalda (innymi w lokalnej aptece nie dysponowali) – nie było już nawet co wspominać.

Na szczęście dotarcie do Krutyni poszło im całkiem sprawnie. Rozalia zostawiła rodzinę z bambetlami i poszła poszukać kogoś, u kogo mogłaby uregulować należności za rozbicie namiotu na polu kempingowym. Miała nadzieję, że znajdzie się dla nich wolny spłachetek ziemi. Co – sądząc po tłumie turystów, przez który musiała się przedzierać – wcale nie było takie oczywiste.

– U szefa! – Usłyszała od młodego chłopaka rozwieszającego mokre kapoki na drewnianym stojaku. – Dobromir Żukowski. Siedzi w karczmie U Orła pięć minut drogi stąd. Pora posiłku – dodał.

Jakby to miało coś wyjaśniać.

Rozalia westchnęła z irytacją. Biznes przeżywa istne obłędzenie, a kierownik tego cyrku usadowił się w knajpie. Nie do pomyślenia! Spojrzała z odrazą na swoje gumowe buty do pływania, których zapomniała zmienić, i ruszyła we wskazanym kierunku. Minęła kilka starych typowo mazurskich chat z czerwonymi dachami, drewnianą elewacją i zadbanymi obejściami. Stanęła na chwilę przy słupie elektrycznym i przyjrzała się odchodzącym od niego licznym strzałkom wskazującym drogę między innymi do trzech różnych ścieżek przyrodniczych. Niestety żadna nie pokazywała, którądy do Mikołajek!

To musiało być tu. Stała przed parterowym budynkiem z czerwoną dachówką i obszerną drewnianą werandą. Po lewej ulokowano tablicę, która głosiła, że oto wkracza się w progi karczmy U Orła i że witamy oraz *willkommen*. To drugie na użytek gości zostawiających tu kwoty liczone w euro.

W niewielkim ogródku przed restauracją rosły równo zasadzone i geometrycznie przycięte krzewy. Z brązowej ażurkowej balustrady otaczającej werandę zwisały kaskadami pachnące pelargonie. Na wyłożonym kostką brukową, niemal topiącą się pod wpływem upału i nacisku stóp Ginterowej, chodniku, przymocowane w stojakach,

łopotowały na lichym wiaterku czerwone flagi reklamujące piwo – wcale nie miejscowe, tylko produkowane na Śląsku. Kącik wyglądałby całkiem uroczo i zachęcał do wizyty w środku, gdyby mu się bliżej nie przyglądać. Rozalia jednak zawsze była uważną obserwatorką i przywiązywała wagę do detali w stopniu wysoce irytującym jej męża oraz dzieci. Dlatego też i teraz zauważyła, że pelargonie na gwałt potrzebowały podlania, chwasty zarastały grządki, a barierce przydałoby się odmalowanie.

Po prawej stronie odnalazła schodki prowadzące na werandę. Rozejrzała się wśród zielonych ław i stolików, ale nie dostrzegła żadnego wolnego miejsca. Biesiadnicy – w większości spieczeni na raka i roznegliżowani turyści – przekrzykiwali się, spadające na podłogę sztucze brzęcząły, od strony drzwi do wnętrza budynku zalatywał zapach smażeniny, a od ulicy smród spalin i zgrzyt silników samochodowych. Na Rozalii nie zrobiło to jednak wrażenia. W końcu mieszkała w Mikołajkach – stolicy mazurskiego letniego szaleństwa.

Zatrzymała wzrok na mężczyźnie siedzącym samotnie przy stoliku ustawionym w rogu, na skraju werandy. To musiał być on. Facet, który z pewnością przeżył już na tym łożu padole pół wieku, w odpowiednim czasie nie stanął w kolejce po wzrost (było to widoczne nawet w pozycji siedzącej). Jego siwe, kręcone i nieco za długie włosy z grzywką przyciętą jak od garnka żyły własnym życiem. Właśnie środkowym palcem poprawiał sobie na wielgachnym nosie okulary lenonki, a drugą ręką drapał się po pękatym brzuchu, na którym opinała się marynarska koszulka w biało-granatowe paski. Swoim wytrenowanym okiem Ginterowa zauważyła, że firmowa. Facet wyglądał jak Beatles. Trudno było tylko stwierdzić, który konkretnie. Przed nim na stole leżał wypełniony papierami segregator, a obok w oszronionym kuflu piwo traciło gaz.

– Panie Żukowski, placki ziemniaczane. – Kelnerka rozwiązała resztki wątpliwości Rozalii, czy aby na pewno ma do czynienia z właściwym człowiekiem.

Ginterowa pewnym krokiem podeszła do faceta i bez pytania zasiadła na ławie naprzeciwko niego. Lenonki Żukowskiego zjechały na czubek nosa, a ich właściciel zmierzył panią weterynarz dobrotliwym wzrokiem.

– Co zjesz, serdeńko? – zapytał. – Na mój koszt. Na mój koszt! – powtórzył dobitnie. – Nie chcę być niegrzeczny, ale wyglądasz na zabiedzoną.

Rozalia musiała przyznać (przynajmniej sama przed sobą), że trochę ją zatkało. W pierwszym odruchu chciała się oburzyć, ale w jednej chwili zeszło z niej powietrze.

– Poproszę to samo co pan – powiedziała. – Łącznie z piwem.

Żukowski pokiwał głową z uznaniem i wydał kelnerce dyspozycję.

– Mam z tobą, serdeńko, problem – orzekł Żukowski po tym, gdy już zdążył przeżuć jeden placek i zwodować go browarem. – Problem! Bo niby mi wyglądasz na turystkę, ale z drugiej strony jednak nie. – Wytarł górną wargę, na której osadziły się krople potu. Mimo że weranda zapewniała cień, dzisiejszy upał dawał się we znaki. – To która opcja jest słuszna? Która? – zapytał.

– Obie – przyznała weterynarka. Sama się sobie dziwiła, że poważyła się na taką poufałość wobec tego zupełnie przecież obcego człowieka. To zmęczenie i pogoda były odpowiedzialne za to opuszczenie gardy. – Jestem z Mikołajek. A teraz na urlopie na spływie – doprecyzowała.

Żukowski uniósł krzaczaste brwi i zaatakował widelcem następny placek.

– Nie mamy już wolnych pokoi. – Prawie prawidłowo odgadł zamiary Ginterowej. – A nie wyglądasz mi, kochanieńka, na taką, która nocowałaby pod namiotem. Pod namiotem!

– Nie ma co oceniać po okładce – mruknęła Rozalia, znów w duchu przyznając mężczyźnie punkt za spostrzegawczość. – Chciałam zapłacić za miejsce pod namiot. Czteroosobowy. Pana, jak mniemam, pracownik skierował mnie tutaj.

– Ech, ech – rzekł z westchnieniem Żukowski. Wyglądał na zawiedzionego. Może liczył na to, że ta niemłoda już, ale piękna blondynka w nastroju przysiadalnym przyniesie mu jakąś odmianę w tym kolejnym monotonnym upalnym dniu wakacyjnym. – Niech będzie – zgodził się. – Wie pani, wszystkiego lubię dopilnować sam – wytłumaczył się. – Także opłat. Dlatego tak daleko zaszedłem. Pańskie oko konia tuczy.

Wyjął wreszcie z segregatora plastikową koszulkę, a z niej plik kartek. Odnotował dane rodziny Ginterów i przyjął opłatę. Gdy zapisywał równym, niemal technicznym pismem szczegóły w wydrukowanej tabelce, Rozalia rzuciła okiem na zawartość rozwartego jak ramiona stęsknionego kochanka segregatora. Było tam pełno nazwisk w kolumnie, a obok nich jakieś daty i kwoty. Nic jej to nie mówiło. Choć pewnie był to spis wynajmujących noclegi u Żukowskiego. Można tak było sądzić po tym, co widniało wydrukowane na samej górze kartki. Jedno słowo.

Osada.

CZĘŚĆ 2

W której Burburka przeprowadza kuchenne rewolucje w karczmie U Orła. Właściciel knajpy rozpacza. Do Krutyni przyplęwa niespodziewany gość. Poznajemy Nikolę, jeszcze emigrantkę wyjeżdżającą w poszukiwaniu nowego, lepszego życia. Poza tym sprawdza się przysłowie, że Rozalia z wozu, koniom lżej. Pedro zgłębia sztukę makijażu. Paweł Ginter przejmuje śledztwo. A Burbur nadstawia ucha.

Drogi pamiętniczku,

mojej niewolnicy wydawało się, że może mnie zostawić na pastwę losu, komarzyc i patyczaków. A do tego właśnie prawie doszło, ponieważ kiedy Rozalia oddalała się w tylko sobie znanym kierunku, po tym gdy dobiliśmy naszymi krypami do brzegów wiochy, co się zwie Krutyń, Pawełek i Pedro wzięli się do rozstawiania namiotu (znaczy Pawełek rozkładał, a Pedro próbował mu w tym przeszkodzić), ja zostałam sam na sam z tymi dwiema na literę H. No i ze wściekłymi owadami próbującymi mnie użreć. MNIE! Jeszcze się żaden taki nie znalazł, któremu by się ta sztuka udała. ŻODYN! Nasyczałam na komarzyce, wyminęłam patyczaki, zajęte malowaniem sobie nawzajem paznokci u stóp na różowo, i podążyłam za moją blondyną.

Zaraz tego pożałowałam, bo chodniki i asfalt, po których byłam zmuszona stąpać moimi świętymi łapami, nagrzane były od słońca jak jaka patelnia. Z pewnością się poparzę i będę zmuszona poddać się operacji plastycznej na stopy! Ot co!

Wreszcie dotarliśmy do jakiejś nawet nieźle wyglądającej jadłodajni. Rozalia stanęła w jej progu i wgapiła się w obżerających się turystów. Ja nie traciłam czasu. Najważniejsze to działać precyzyjnie i z planem. Zatem mój plan zakładał, że sobie zjem trochę rybki. Pozostało mi wyniuchać, kto takową wybrał z menu. Ruszyłam więc na obchód altany, wystawiając swój pomarańczowy nos na przeszpiegi.

Po krótkiej inspekcji mogłam stwierdzić, że inflacja nie dotarła do tego zakątka Polski. Turyści maślili sobie zdrowo. Co oni tam nazamawiali, tego moje nozdrza już dłużej zdzierżyć nie mogły. Żołądek przykleił mi się do pleców, a krótkie i – nie oszukujmy się – krzywe nóżki zadrzały z ogólnoustrojowego osłabienia. Czas był się pożywić!

Namierzyłam kelnera, który wyglądał na takiego, co to go można znokautować od jednego strzału. Wysoki był wprawdzie, ale starszawy i przeraźliwie chudy. Przed sobą niósł tacę z czymś, czego – z racji swojego przypadkowego położenia – nie widziałam, ale czułam zapach. Woniało mianowicie rybką i fryteczkami. Jeżeli tkwicie w błędnym przekonaniu, że koty jedzą tylko karmę z saszet, to helo! pobudka!

Wyskoczyłam spod stołu. Rozpędziłam się (a trzeba wam wiedzieć, że kiedy chcę albo gdy mnie ktoś goni, to potrafię rozwinąć prędkości niemalże świetlne). Przeprowadzając na szybko typowe kocie wyliczenia (sinus, kotsinus, tangens, kotangens), wybiłam się z podłóża i...

...Zamiast wylądować na niesionej przez szczypiora tacy, wpadłam na stół, prosto w jakieś talerze. Nigdy nie twierdziłam, że jestem dobra z matematyki. Zanim zapoznałam się z siedzącymi przy stoliku ludźmi, sprawdziłam najpierw zawartość owych naczyń. Ja to jednak w życiu mam pecha. Oczywiście nie mogło być na nich sandacza albo choćby na przykład lina w śmietance, tylko ohydne placki ziemniaczane! Czy ja komu wyglądam na jakiego Ruska, żebym miała zreć kartoszki?! Przypuszczam, że nie sądzę... Już chciałam wyartykułować w głos swoje oburzenie, kiedy jakaś baba wcięła mi się w środek zdania.

– Burbur, ty cholero! – powiedziała mianowicie. – Znowu mnie śledziłaś?!

No i taka to jest z Rozalii Ginter współpracowniczka światka przestępczego. Nawet nie zauważy, że jest na muszce kotki. Łapy opadają. Na szczęście nie oczekiwała ode mnie odpowiedzi. Jej uwaga została odciągnięta przez zamieszanie, które – jak się okazało – wywołał mój niespodziewany skok. Wprawdzie nie trafiłam do celu, ale mignęłam szczypiorowi przed nosem, a ta lebioda (kolejna, ludzkość się sypie) tak się wystraszyła, że się potknęła o własne japonki i wyrznęła na podłogę.

Say no more, jak to mówią w serialach, które patyczaki oglądają namiętnie.

Zeskoczyłam ze stolika i zajęłam się konsumpcją ryby. Wprawdzie nie leżała już na talerzu, tylko na deskach podłogowych, ale aż tak przewrażliwiona w kwestiach higieny nie jestem. Lepsze to, niżby mi ją miał obślinić jakiś nienazarty turysta. Potem najwyżej wytrę sobie zęby w dłoń Rozalii, która pewnie będzie sądzić, że się do niej przytulam, a nie że przeprowadzam zabiegi oczyszczające. Naiwniaczka.

– Przepraszam! – Weterynarka zaczęła się kajać w moim imieniu. Jakby nie wiedziała, że my – Ginterowe – nie przepraszamy za to, że żyjemy. – Zapłacę za straty – zapewniła. – Nic się panu nie stało?

Już bez przesady. Najpierw zatrudniają w przybytkach gastronomicznych jakieś łamagi, a potem jeszcze pretensje do klientów. Nic dziwnego, że branża cienko przędzie. Szcypior zamiast się podnieść do pionu, zasiadł na podłodze po turecku, schował twarz w dłoniach i zaczął się mazgaić. Nieraz już mówiłam i powtórzę znowu – płeć męska to same ciamajdy! (Nie licząc mojego Pawełka).

– Ja już nie mogę! – łkał kelner. – Już mi nie zależy! – opowiadał od rzeczy. – Sprzedam tę budę! – zagroził. – Albo spalę! – Najwyraźniej więc nie był tu na posyłki. On tu był szefem!

„Do garów!”, krzyknęłam na niego. Nie patrzcie na mnie z takim zdziwieniem, terapia szokowa już nieraz przyniosła zaskakująco pozytywne rezultaty. Są na to badania naukowe, tylko aktualnie nie pamiętam jakie ani kto je przeprowadził. Musicie mi uwierzyć na słowo. Facet nie posłuchał, tylko dalej międolił te swoje żale do całego świata. Cały świat się na niego wypiął, a musieliśmy go słuchać my, czyli ja, Rozalia i jakiś kurduplowaty, kudłaty kolo z denkami butelek przytkniętymi do oczu.

– Panie Filipie, proszę wstać – zaapelował wyżej opisany. – W końcu wszystko się ułoży. Czas leczy rany, panie Orzeł – produkował takie oto dyrdymały.

Szcypior, zwany Filipem Orłem, miał najwyraźniej podobne do mnie zdanie na temat wytartych frazesów, bo wprawdzie wreszcie wstał z podłogi, ale nachylił się nad kudłatym, wystawił w jego kierunku palec wskazujący i wysyczał nie gorzej ode mnie:

– Nic nie rozumiesz!

Po czym, pozostawiając utylizację reszty spuszczonego z tacy jedzenia mnie oraz przywołanej kelnerce, udał się z powrotem do kuchni.

Siema, koleżanki i koledzy,

zorientowałem się, że wszyscy tu na tych wakacjach próbują rozwiązać jakąś zagadkę kryminalną. No to postanowiłem im pomóc i też coś wykminić. Usiadłem sobie i się zamyśliłem. I tak patrzyłem, i patrzyłem w horyzont, aż mi się zasnęło. Nie mam pojęcia, co się przewijało przez moją głowę. Najpewniej nic.

A niech sobie sami radzą. Idę sprawdzić, czy w mojej misce nie pojawiły się może krewetki w tuńczyku. Tylko wcześniej jeszcze wyszarpię Pawłowi z ziemi metalowego śledzia. Albo dwa!



Paweł Ginter próbował rozstawić namiot, jednak robota wykonywana w pojedynkę nie należała do najprostszych. Linki wciąż wysuwały mu się ze śledzi, a te okazywały się niewystarczająco solidnie wbite w ziemię. Kiedy już całość stała prawie jak należy, nagle dochodziło do jakiejś małej katastrofy, która prowadziła do większej, a ta do zupełnego armagedonu, w którego wyniku nieprzemakalna płachta zwałała mu się na głowę. Oczywiście córki ani myślały pomóc. Rozalia poszła zapłacić za nocleg, jak na jego oko, przed jakąś godziną, i wciąż nie wracała. Jedynie Pedro mu asystował, jednak przynosiło to więcej strat niż pożytku.

Komendant na urlopie właśnie wygrzebywał się z kolejnego pobjowiska, gdy od strony rzeki dobiegły do niego jakieś śpiewy. Z początku ciche, jednak z każdą chwilą przybierały na decybelach. Zamarł. I wsłuchał się w melodię. Tak, nie mylił się. Ktoś intonował *Barkę*. I wcale nie chodziło o rodzaj jednostki pływającej... W dodatku była to więcej niż jedna osoba. Cały nawet chór złożony – jak zauważył, gdy się wreszcie wyprostował – z około dwudziestu kajakarzy. Na ich czele, nadając nie tylko rytm wiosłowaniu, ale i ton

pieśni, podążał jakiś ksiądz. Mimo okoliczności okołosportowych ubrany był w czarną sutannę, która powiewała za nim jak skrzydła przerośniętego kruka.

– O paaanie! – ryknął, płosząc przerażonego łabędzia, który zwiął w sitowie i szeleścił stamtąd gniewnie skrzydłami.

– To ty na mnie spojrzaaaleś! – odpowiedział mu tłum zdartych gardeł.

Ginter pomyślał, że tą czeredą powinna się zainteresować Straż Ochrony Przyrody, bo z pewnością nieszczęsny łabędź nie był ich jedyną ofiarą. A w końcu znajdowali się w parku krajobrazowym, a nie na Marszałkowskiej!

– Swoją baaarkę pozostawiam na brzeeegu! – zawył wielebny i niestety jego słowo ciałem się stało.

Nakazał wiosłującemu chłopakowi siedzącemu z przodu łajby skręt. Po kilku sprawnych ruchach mocno już spoconego nastolatka dobili do brzegu.

I wtedy Paweł Ginter go rozpoznał.

– Wielebny Konopniak! – wyrwało mu się.

Za proboszczem kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej Różańcowej w Mikołajkach podążyła zgraja, w której skład wchodziła młodzież płci obojga. Paweł dobrze znał klechę, ponieważ z Rozalią regularnie chodzili na niedzielne msze do świątyni położonej po drugiej stronie ulicy Kajki. Żona udzielała się w parafii, pomagała urządzać festyny, podwieczorki, kółka modlitewne. Wszystko to trwało do czasu, aż się okazało, że matka Pawła w testamencie zapisała swój dom w Tałtach właśnie parafii kierowanej przez Konopniaka. Olała własnego syna i synową, ba!, w głębokim poważaniu miała nawet wnuki. Gros jej majątku miał przejąć Kościół. Na to oczywiście Rozalia nie zamierzała pozwolić. Długo na ten temat toczyły się awantury, jednak w obliczu litery prawa Ginterowie nie mogli nic zrobić. A Konopniak triumfował. Chyba mu się zdawało, że osobiście skorzysta z pieniędzy po

z pewnością mającej się odbyć sprzedaży posiadłości. Turyści z Warszawy albo i Niemiec będą się zabijać o tę położoną tuż przy jeziorze Tałty parcelę. Bezpośrednie sąsiedztwo domu należącego do popularnego piosenkarza – wprawdzie już emerytowanego, ale zawsze – też pozwoli podnieść cenę wyjściową.

Paweł wolał się nad tym wszystkim zbyt głęboko nie zastanawiać.

– Ginter! – Ksiądz też niestety go zauważył.

– Co proboszcz tu robi? – dociekał policjant.

– A spływam! – rzekł klecha i wziął się pod boki. Sam nie musiał się kłopotać wyciąganiem kajaka ani bagaży na brzeg. Zajął się tym jego osobisty wioślarz. – Z oazą! Ku chwale Bożej!

Paweł w zasadzie się cieszył, że Rozalia utknęła w... Gdziekolwiek to było. Pewnie na widok Konopniaka zaraz rozpętałyby awanturę.

Nie po raz pierwszy w swoim życiu Paweł Ginter zaczynał wierzyć w telepatię. Bo oto w ich stronę na bosy, machając trzymanymi w rękach gumowymi butami, zmierzała jego żona. Już z daleka rozpoznała Konopniaka i ewidentnie szykowała się do natarcia.

Ksiądz ją dojrzał. Jednak było już dla niego za późno. Wprawdzie zrobił odwrót i salwował się – zupełnie bez krztyny czci czy honoru – ucieczką na pobliskie molo, ale z nich dwojga to Rozalia codziennie rano uprawiała jogging. Formę więc miała godną pozazdroszczenia. A do tego napędzała ją wściekłość. W mig zagoniła duchownego na skraj mostka. Wystawiła przed siebie w oskarżycielskim geście palec wskazujący.

– Co on tu robi? – zapytała męża, wciąż wpatrując się w Konopniaka.

– Ale kto? – Wielebny stracił orientację.

– Wakacje nam psuje! – piekliła się Rozalia. – I jeszcze głupa rżnie!

– Ja nie rżnę – zapewnił duchowny i zrobił krok w tył.

Wielebny Konopniak wylądował z pluskiem w wodach Krutyni. Po zbyt długo dającej nadzieję chwili wynurzył się z rzeki, łapiąc oddech jak wyrzucona na ląd ryba.

– Pani jest niezrównoważona! – parsknął już na brzegu, próbując jednocześnie wyciskać wodę z szaty. – O, tu pani ma! – Popukał się znacząco w czoło.

Jednakże Rozalia straciła już zainteresowanie wielebnym. Podeszła do namiotu wciąż pozostającego w rozsypce. I zanim Paweł zdążył się zorientować, postawiła go tak, jak należy.

A potem na horyzoncie, tuż przy wejściu na teren stancy, Ginter dojrzał znajomy kształt. Niewielki, przypodłogowy, poruszający się wyjątkowo jak na swoje gabaryty zwinnie. Coś z nim było jednak nie tak. Bardzo nie tak...



Drogi pamiętniczku,

zatem po tym, gdy ta pokraka Filip Orzeł, jak się okazało, właściciel lokalu, upuścił na podłogę rybkę, a ja ją skonsumowałam, żeby się nie zmarnowała, wciąż byłam głodna. Wysilek związany z całodzienną żegluga dawał o sobie znać. I nie ma tu nic do rzeczy fakt, że to nie ja łapałam się za pagaje. Samo patrzeć na to, jak Rozalia i Hania się męczą, mnie osłabiało.

Zostawiłam więc Ginterową z tym kudłatym dziadem oraz restauratorem-nieudacznikiem i udałam się w stronę kuchni. Mój nos zawsze prawdę mi powie, zatem nie musiałam długo błądzić. Akurat jakaś kelnerka wychodziła z zaplecza i uchyliła drzwi. Cyk-pyk-myk – przemknęłam powstałą szparą niezauważenie – i już byłam w raju. Tutejsi niewolnicy uwijali się jak ci ze starożytnego Egiptu przy piramidach. Miałam tylko nadzieję, że nie poczęstują zemstą faraona klientów karczmy. W tym mnie.

Ponieważ psiuja widziałam z podłogi, wzięłam rozbieg i wskoczyłam na metalowy blat, na którym akurat porozkładano piersi kurczaka gotowe zapewne do rozbicia na kotlety. Obwąchałam jedną sztukę. Polizałam. Hmm, zapowiadało się całkiem, całkiem... Oczywiście nie dane mi było pożywić się w spokoju, bo służba zaraz się zorientowała, że im kot łązi po blacie, i podniosła raban.

– Kot łązi po blacie! – darła się mianowicie jakaś kostropata na facjacie kobita, taka, co to mogła mieć trzydzieści cztery lata, a wyglądała na czterdzieści trzy.

Refleksem też dysponowała takim sobie. Bo zanim na dobre wkroczyła do akcji, ja już wciągnęłam trzy czwarte kurzej piersi, a resztę chwyciłam w zęby i z pełnym dostojeństwem zeskoczyłam na podłogę. Nie zamierzałam jednak przerywać tak

dobrze rozpoczętej wizytacji na kuchennym zapleczu. Wcisnęłam się pod meble i tam – ignorując nie nazbyt uprzejme nawoływania – dokończyłam spożywanie surowego kotleta. Wyniuchałam kolejną delikcję. Lin to był w śmietanie jak bumtarara. Przygotowywał go młodzian z wysoką, białą czapką kucharską nasadzoną na dekiel.

– Kot łązi pod meblami! – Moja prześladowczyni nie chciała mi odpuścić.

Na jej miejscu zainwestowałabym w słownik synonimów, bo znamy się od pięciu minut, a ona już zaczęła się powtarzać. Przemknęłam w kierunku lina. Wyłoniłam się z kryjówki i dałam dyla prosto do gara, w którym rybka czekała na uwarzenie. Szczęście mi sprzyjało. Akurat w momencie, gdy lądowałam u celu, kuchcik był zwrócony w przeciwną stronę, zatem nie zauważył, że ma towarzystwo. Siekał cebulę, zalewając się przy tym łzami, więc dodatkowo miał ograniczone pole widzenia.

– Gdzie ten kot łązi? – dopytywała ta gamoniowata.

– Vanessa, przywidziało ci się – rzekł na moją obronę chłopina w czapce.

– Nieprawda! – kaleczyła ciszę ta wrzaskliwa baba. – Widziałam go! Był taki biały i gruby!

No tego to już za wiele! Białe to ona może myszki wyślepiła, a gruba sama była. Bo chyba nie ja! Ja jestem zbudowana ponętnie i zgodnie z popularną ostatnimi czasy filozofią body positive. Poczytajcie sobie internety, to zrozumiecie, o co chodzi.

– Vanesska, daj spokój. – Kuchcik ją lekceważył, a ja tymczasem zabrałam się do lina.

Całe futro miałam już umoczone, bo śmietany nie żalowali. Co rusz dawałam też nura, by wydobyć jakiś mięsny kąsek. Muszę przyznać, że obżarłam się jak stara. I już, już chciałam wyskakiwać z kotła, gdy ten matoł w czapce debila nakrył naczynie pokrywką, nie patrząc nawet dobrze do środka! A wcześniej – nie żartuję! – przysypał mnie tą posiekaną cebulą! Tym samym wpadłam w sidła. Analiza sytuacji przebiegła sprawnie. W trymiga doszłam do wniosku, że to mój koniec. Bo przecież ta podróba Amaro Basiury najpewniej teraz postawi ten garniec ze mną w środku na piecu i włączy gaz!

Nie zapuka nikt na czas...

Krótko mówiąc, groziło mi ugotowanie żywcem!

– Ile tego lina tam dałaś, Vanesska? – odezwał się mój oprawca, a ja z trudem utrzymałam równowagę, bo kucharz właśnie prznosił naczynie i kołysało jak we łbie nadżganego marynarza. – Strasznie ciężki ten garnek.

– Idź na siłkę – poradziła mu Vanessa. – Tu masz zapalniczkę – dodała.

Jeszcze przez sekundę sama siebie próbowałam oszukać, że ona mu po to podaje ognia, by mógł zajarać szluga w trakcie przerwy pracowniczej. Prawda była jednak o wiele bardziej druzgocąca (dla mnie). (Choć dla gości lokalu także, bo mogli nie być zadowoleni, gdy zamiast dania z ryby poda im się pod nos sfajczoną kocinę. I do tego nieofutrowaną! Gotowi pomyśleć, że trafili do jakiegoś koreańskiego fast fooda). Ale o czym to ja bredzę? Musiało mi się pomieszać w mojej małej główce z przerażenia.

– Mam już tego dosyć – biadoliła Vanessa. Jakby to ją miano zaraz przypiec w śmietanie, a nie mnie. – Co to za życie? Przez trzy, no, w porywach cztery miesiące smażyć ryby i placki ziemniaczane dla zgrai pieprzonych turystów, a potem na bezrobocie. Wierz mi, że nie tak sobie wyobrażałam siebie w wieku trzydziestu lat! – Oho, czyli było z nią jeszcze gorzej, niż przypuszczałam.

Ta drobna złośliwość w ogóle nie poprawiła mi humoru. A to znaczyło, że jest ze mną źle. Naprawdę tragicznie.

– Mogłam tak jak Niki wyjechać – głądziła dalej, a ja poczułam, że razem z garnkiem stoimy już na płaskiej i twardej nawierzchni. Zapewne na piecu gazowym! – Kawałek świata zobaczyć. A nie tylko ciągle ta rzeka i lasy. Mdli mnie na widok rzeki i lasów! – obwieściła.

Usłyszałam takie cichutkie „cyk” i zaraz też wyczułam narastające ciepło pod zadkiem. Dłużej nie czekałam na rozwój wypadków. Zebrałam siły. Odbiłam się od dna. I przydzwoniłam makówką w pokrywkę. Ta odskoczyła i z brzękiem upadła na podłogę. Wylądowałam tuż obok niej. Byłam w lekkim szoku. Zaczerpnęłam powietrza. Mój instynkt higienistki kazał mi się od razu zabrać do wylizywania oklejonego śmietaną futra, ale rozum podpowiedział, że to nie czas ani miejsce. Tu nie ma się co myć. Tu trzeba zaiwaniać! Namierzyłam więc drzwi i na tak zwaną torpedę pobiegłam w ich kierunku.

– Szczur! – Za sobą usłyszałam pisk Vanesski. – Biały szczur! Przysięgam! – darła się.

Ale w to to już naprawdę nikt jej nie uwierzył.

Siema, koleżanki i koledzy,

ale Burbur nawyrabiała! A plotka niesie, że to ja jestem ten niesforny Zyzio. To sobie zobaczcie, jak moja rodzicielka wyglądała po wizycie w karczmie. Jak jakiś wymoczek! Ja tam się do żadnego przybytku gastronomicznego nie wybieram. Jeszcze mi życie miłe, nie zamierzam się przeprowadzić przez jezdnię. Przecież by mnie mógł przejechać jaki samochód! Wolałbym tego uniknąć.

Tak się zestresowałam na samą myśl o kraksie drogowej, że aż zapragnąłem skorzystać z kuwety. Bo niech sobie niektórzy (Rozalia) nie myślą, że skoro jesteśmy na łonie natury, to ja będę jak jaki plebejusz wystawiał tyłek na polu kukurydzy. Zażądałem udostępnienia mojego kibelka i tyle. Gdy mnie za pierwszym razem nie posłuchali, to za drugim już owszem. Być może dlatego, że załatwiłem sprawę w namiocie.

Całkiem prawdopodobne, że mój mamon jest wieśniarą sprowadzoną z podwórka na salony. Jednak ja się na tych salonach urodziłem. Co mi daje szlachecką pozycję na dzień dobry. Choć Burbur mówi, że rozumu już nie.

Ale kto by jej tam wierzył?



Dwa lata wcześniej, Osada

Nikola Wójcik stała na płycie lotniska w Kirunie i trzęsa się z zimna. Krótkie rękawki i spodenki do kolan nie były odpowiednim wyborem na jakieś dziesięć stopni Celsjusza i ulewę, która próbowała ją zmieść z powierzchni szwedzkiej ziemi. A w Warszawie, gdy wsiadali do samolotu tanich linii lotniczych, który miał ich zabrać (z godzinnym opóźnieniem) do Sztokholmu, było jej aż duszno. Może to też z nerwów. Przecież tuż przed wyjazdem nie mogła znaleźć dokumentów!

Ani dowodu.

Ani paszportu!

Na szczęście wszystko się wyjaśniło...

Żuku przestrzegął, że w położonej w gęstych lasach Osadzie będzie jeszcze zimniej. Jednak jakoś trudno było w to uwierzyć. Z drugiej jednak strony nie było się co nad sobą użalać. Też po to tu przyjechała. Żeby przekonać się na własnej skórze, jak wygląda dorosłe życie. Poza rodzinną wioską. Bez nadzoru rodziców, którzy wtrącali się do wszystkiego, mimo że Nikola już dawno przekroczyła dwudziestkę. No i nie będzie tu aż tak bardzo osamotniona. Wszak w Osadzie mieszkało wielu bliższych lub dalszych znajomych z Krutyni. W domu czasem się śmiali, że więcej już sąsiadów siedzi za kołem podbiegunowym niż nad ich rzeką.

No i przecież przyjechała tu z Mateuszem. Po raz pierwszy mieli zamieszkać razem pod jednym dachem. Sami. Żuku im to obiecał. We wsi to by nie przeszło, chociaż żyli w dwudziestym pierwszym wieku w środku (no może we wschodnim środku) Europy.

– Bez ślubu nie ma mowy! – powtarzała matka i Niki w zasadzie nic z tym nie mogła zrobić.

Pomagając przy spływach i w karczmie U Orła, nie była w stanie uciuć na własne cztery kąty. Nawet gdyby doliczyć do tego zarobki Mattiego, który stał za barem w lokalu swojego ojca. Żuku, czyli Dobromir Żukowski, najmajątniejszy człowiek we wsi, już od jakiegoś czasu organizował wyjazdy do Osady. Złapał kontakt biznesowy z jakimś pośrednikiem ze szwedzką fabryką mebli, która

miała do zaproponowania specjalny program. Potrzebowała drewna do produkcji swoich szaf, krzeseł i stołów. Surowca nie brakowało na północy kraju. Brakowało natomiast ludzi, którzy zajęliby się ścinaniem drzew. Mało kto chciał jechać samotnie na kraniec Europy, by zabawiać się w drwa, choćby nie wiadomo za jakie pieniądze. Fabryka więc (a raczej jej prezes) wymyśliła sprytne rozwiązanie. Zamiast przенosić w okołobiegunowe lasy samych mężczyzn, niechaj z nimi pojedą też żony. Córki, synowie, sąsiedzi – najlepiej całe wioski. Tak, by na miejscu od razu stworzyli zgrany zespół. Zintegrowaną społeczność. Jedni będą pracować przy obróbce drewna, inni zajmą się ogarnianiem Osady – bo ta na początku wcale nie była gotowa. Pierwsi emigranci zastali na miejscu istną dżunglę (choć wcale nie z równikową pogodą). Sami musieli postawić sobie chaty, oporządzić obejścia i tak dalej. Meble dostali w gratisie z fabryki. Dla kobiet też znalazło się zajęcie. W końcu trzeba było tę zgrają nakarmić. Jedne więc gotowały, inne prały. Jednak myliły się ten, kto pomyślałby, że to jakaś wyjęta prosto ze średniowiecza społeczność ze ścisłym podziałem ról społecznych. Toż to była Szwecja! Wyzwolona, feministyczna i równościowa. Zatem niewiasty mogły tu także rąbać drzewo, ubijać ziemię walcami, kłaść kostkę brukową i generalnie wkładać ręce w to, w co im się podobało. Takie podejście przekonało Niki. Miała dużo sił i energię. A płacili tak, że już jej się oczy uśmiechały na własny domek z ogródkiem. Może w Krutyń, kto wie. A może wcale nie. Mieszkanie w Warszawie na przykład? Albo i Berlinie!

Takie marzenia przelatywały jej przez głowę jeszcze przed chwilą na pokładzie samolotu szwedzkich linii lotniczych, który zaliczając tylko lekkie turbulencje, wylądował w Kirunie. A teraz ten niepoohamowany deszcz szybko te marzenia zmył, każąc się Nikoli skupić raczej na znalezieniu suchego miejsca.

– Idziemy? – zapytał Mateusz.

Wziął od niej bagaż podręczny, choć przecież sama mogła go sobie ponieść, i ruszyli w stronę czerwonego budynku terminala oraz hali przylotów.

Zaczynali swoją przygodę.

Nie wiedzieli jednak jeszcze, jak szybko i tragicznie się ona zakończy.

Dla nich obojga.



Teraz, Krutyń

Zanim przy młynie zdążyło się pojawić więcej kajakarzy czy zwykłych gapiów, tafłę wody przepruła niewielka łódka napędzana silnikiem i opisana na burtach stosownie do przeznaczenia: „Policja”. Koledzy Pawła po fachu, tyle że wodniacy, jako pierwsi przybyli na telefoniczne wezwanie. Na łączu musiało dojść do nieporozumienia, bo gdyby na posterunku w Pieckach, z którym połączył się Paweł, pojęto wagę sytuacji, na pewno nie wysłano by tu dwóch żółtodziobów, z których pierwszy na widok unoszącego się na wodzie nagiego ciała martwej kobiety zemdłał, drugi zaś zwrócił śniadanie, zanieczyszczając miejsce ewidentnej zbrodni.

Ginter wprawdzie przebywał na urlopie, ale gliną był w trybie ciągłym, więc w obliczu takiej katastrofy kadrowej przejął stery. Kazał wodniakom w podskokach wracać na brzeg (znaczy, temu jednemu, ufajdanemu, jednak przytomnemu; drugiego musieli dociągnąć na ląd wspólnymi siłami i tam dopiero ocucić). Paweł osobiście dopilnował, by więcej nie narozrabiali.

Po ponownym telefonie wykonanym przez komisarza na posterunku w Pieckach najwyraźniej zapanował popłoch. Morderstwa tu się raczej nie zdarzały. Jeśli już, to jakieś utonięcie – nieszczęśliwy wypadek. Ale żeby ktoś kogoś zabijał intencjonalnie? To się w głowie nie mieściło. Zwłaszcza tutejszemu komendantowi, który sam przebywał właśnie na urlopie, w dodatku w dalekiej Chorwacji, i ani myślał wracać na Mazury przedwcześnie. Tak powiedział sekretarce, której udało się do niego dodzwonić za trzecim podejściem. I to tylko dlatego, że komendant wrócił na chwilę z basenu do pokoju

hotelowego, bo zapomniał zabrać dodatkowy ręcznik kąpielowy, za pomocą którego zamierzał zarezerwować nielegalnie leżak dla żony.

– Oj no, to poradźcie sobie jakoś sami – wymamrotał przez zgrzytające mu ze złości zęby. Czekał na ten wyjazd cały rok! A jakiś popapraniec o zabójczych upodobaniach musiał się uaktywnić akurat teraz! Już nie miał kiedy! – Oj, no dobra, zadzwonię – warknął, gdy sekretarka, pani Lidzia, uświadomiła mu, że jak się ci z Mrągowa dowiedzą o jego dezercji, to mu dadzą popalić, gdy już wróci z wywczasów.

Zgodnie z obietnicą wykonał telefon do swoich szefów w Mrągowie. Odebrał podkomisarz Emil Kaźmierczak. Komendant pamiętał tego lalusia z jakiejś imprezy służbowej, na której pokonał go w konkurencji jedzenia pączków na czas. Poklepał się po brzuchu z zadowoleniem na to satysfakcjonujące wspomnienie. W każdym razie Kaźmierczak, gdy usłyszał, o co chodzi i że na miejscu jest komisarz z Mikołajek (ten z kolei na jakimś festynie pokonał komendanta z Piecków w podnoszeniu ciężarów, więc policjant się ucieszył, że nie będą mieli okazji stanąć ramię w ramię i brzuch w brzuch; lubił pielęgnować swoje dobre samopoczucie), zaklął szpetnie.

Jak się okazało, nie z powodu dodatkowej roboty, tylko dlatego, że nie będzie w stanie jej się podjąć, bo ma własne śledztwa na głowie, na miejscu w Mrągowie. Około pięćdziesięciu dwóch ich było, jak wykawił komendantowi z Piecków, aktualnie przebywającemu w Dalmacji, a konkretnie w swoim pokoju hotelowym, wciąż z ręcznikiem kąpielowym w ręku.

Trudno, stwierdził podkomisarz, trzeba będzie się zdać na tego komisarza. Tak powiedział temu w Chorwacji i się rozłączył, bo już miał dość typu. Sam zaczął wydzwaniać. Najpierw do swojego szefa, który wysłuchawszy całej, przydługiej już w tym momencie historii, przyznał podwładnemu rację i nakazał przekazać pałeczkę komisarzowi Pawłowi Ginterowi. Skoro jest już na miejscu, to niech się na coś przyda. Nie będzie się ludziom przerywać urlopów, w końcu czekali na nie od zeszłych wakacji. A Ginter i tak już widział

trupa, więc o nastroju letniskowym może zapomnieć. Zatem wielkiej mu to różnicy nie robi, jeśli przejmie śledztwo. W sprawie morderstwa tej jakiejś dziewczyny. Potem mu się przyzna dodatkowe dni wolne, żeby komisarzowi żal tyłka nie ściszał.

– Panie! Co tam jest? Co tam jest?! – darli się właśnie pierwsi gapie, których Paweł odganiał od brzegu Krutyni, gdy zadzwoniła jego komórka.

Telefonował znany mu skądinąd podkomisarz Emil Kaźmierczak z Mrągowa, który – co tu dużo mówić – przekazał mu śledztwo. O ile Paweł nie ma nic przeciwko.

Nie miał.

Szczerze powiedziawszy, już mu zbrzydły te wakacje. Rozalia ciągle była niezadowolona, bliźniaczki jeszcze bardziej. A już zabranie ze sobą na spływ kotów zakrawało na szczyt debilizmu. Dopiero co udało mu się domyc Burburkę z jakiejś zalatującej rybą oraz cebulą mazi i opatrzeć rany, które mu podczas ablucji zadała. A był to półmetek wyprawy! Wolał się nie zastanawiać, co go jeszcze czeka w towarzystwie ukochanej rodziny. To już lepiej się było zająć tą krwawą kąpielą nad Krutynią...

Nie wiedział tylko, jak najdelikatniej przekazać radosną nowinę Rozalii.



– Dobry pomysł – powiedziała Rozalia Ginter, wpatrując się w zdziwioną, nie wiedząc czemu, minę swojego męża. – Jesteś na miejscu. No i kto sobie lepiej poradzi niż ty? Na pewno nie te dwie nedorajdy. – Wskazała na wciąż białych i ślaniających się na nogach policjantów wodnych.

– Ale nasz spływ? – wydukał Paweł, najwyraźniej przygotowany na jej protesty.

– Nie ucieknie – ucięła Rozalia.

W myślach już układała plan relaksu. Znajdzie jakiś leżak, usadowi się na nim i będzie tak tkwić, dopóki nie znikną jej zakwasy. W tym czasie może przeczyta jakąś powieść i zadzwoni do swojego kontaktu. Na spokojnie przeanalizują raz jeszcze sytuację. Przez tego trupa pojawiły się komplikacje. Jednak nie z takimi Rozalia dawała sobie radę.

Na razie musiała stąd zabrać dziewczynki. Bała się, że doznają szoku na widok zwłok. Bliźniaczki jednak, po początkowych wrzaskach, pozostawały zadziwiająco wręcz spokojne. To chyba powinno Ginterową martwić jeszcze bardziej...

– Halo! Proszę pana! – zawołała na widok starszego mężczyzny, który pomógł im wcześniej z przenoszeniem kajaka. – Ma pan samochód? Duży? – zapytała z nadzieją.

Musiały się z powrotem przedostać do Krutyni i na nowo ulokować na polu namiotowym. Całe to śledztwo trochę z pewnością potrwa. Rozalia zaś nie zamierzała wracać do Mikołajek, co pewnie nakazywałby zdrowy rozsądek. Po początkowych wahaniach przypomniała sobie, po co tak naprawdę tu przyjechała. Miała swój projekt i nie zamierzała z niego rezygnować tylko dlatego, że jakaś nieboszczka stanęła jej na... trasie spływu.

Do wsi nie było daleko, może ze dwa kilometry, jednak Rozalii nie uśmiechało się targanie bagaży na plecach. Kajaki też było lepiej zabrać ze sobą, a nie zostawiać byle gdzie i potem świecić oczami przed właścicielem wypożyczalni.

Starszy pan pokiwał głową. Choć bez większego przekonania.

Kwadrans później Rozalia Ginter wraz z córkami, licznymi bagażami, kajakami oraz kotami sztuk dwie siedziała na zapchanym po brzegi wozie i mknęła w stronę Krutyni. Choć „mknęła” nie było adekwatnym określeniem na leniwe dyrdanie pary szkap ciągnących wóz.

– Nie mogę ich poganiać – wytłumaczył facet, choć Ginterowa nie zdążyła jeszcze wyartykułować żadnych pretensji. – Miałbym się potem z pyszna.

Rozalia uniosła perfekcyjnie wyregulowane brwi. Wolała nie dociekać, na czym miałyby polegać końska zemsta. Cieszyła się, że chociaż taki oryginalny środek transportu im się trafił. Jechali więc nieśpiesznie ciągnącą się równolegle do rzeki drogą. Mijali wiejskie gospodarstwa stojące to tu, to tam za drewnianymi płotkami. Przed jednym domkiem, jednopiętrowym i pokrytym świeżą jeszcze i niepociągniętą tynkiem elewacją, stał jakiś chuderlawy, wysoki mężczyzna i tępym wzrokiem wpatrywał się w swój ogród. Rozalia spojrzała w tym samym kierunku. Nie było się tam na co gapić. Gospodarz ewidentnie zaniedbał ten spłachetek ziemi. Wokół budynku gromadnie rosły różnokolorowe malwy. Najwyraźniej nikt nie starał się ich ujarzmić. Wyglądało to tak, jakby kwiaty powoli, acz skutecznie przejmowały we władanie to obejście. Jeszcze tydzień czy dwa, a wejdą przez okna do środka domostwa i pomordują mieszkańców, zapewne przez uduszenie. Ginterowa otrząsnęła się z tych dziwnych myśli. Widać zderzenie z trupem jednak pozostawiło ślad w jej podświadomości.

– Dzień dobry, Filipie! – zakrzyknął siedzący u steru wozu staruszek i pomachał do zadumanego mężczyzny.

Ten ani drgnął. Weterynarz przyjrzała się chłopu bliżej. Skądś go znała...

– Ech – rzekł na to stary. – Niedobrze z naszym Orłem. Niedobrze – powtórzył.

– Orłem? – Rozalia podniosła głos i odwróciła się w stronę woźnicy, by lepiej go słyszeć.

Hania i Helenka tkwiły jak najdalej od matki i z obrażonymi minami wpatrywały się w swoje telefony. Koty przymocowane szelkami i smyczami do dobytku siedziały jak trusie, lekko przerażone sytuacją.

– Filip Orzeł – powiedział mężczyzna. – Nasz karczmarz. Niedobrze z nim. Ma humory chłopina.

– Bo to on jeden – burknęła Rozalia i poprawiła się na zaimprovizowanym z plecaka i jakiejś znalezionej w wozie końskiej

derki siedzisku.

– Jeszcze jeden wybuch i wsadzą go do aresztu – ciągnął woźnica. – Tak powiedział posterunkowy. Jest ten nasz Orzeł, można rzec, na warunkowym. – Roześmiał się, ukazując niekompletną galerię to pożółkłych, to szerniałych zębów.

– A co zrobił? – zainteresowała się mimo woli weterynarka. I przypomniała sobie wreszcie, że rzeczywiście widziała szczupłego faceta w karczmie w Krutyni, gdy rozmawiała z Żukowskim. Zdaje się, że zwałił tacę na podłogę.

– Ostatnio? Awanturę u Wójcików – oznajmił mężczyzna. Co najmniej jakby Rozalia wiedziała, o kim mowa. – Wparował do ich ogródka i powrywał kwiaty. W domu były tylko Wójcikówny, więc się przeraziły. Zarygłowały się od środka i zadzwoniły na policję. Zanim na miejscu zjawił się posterunkowy, Orzeł zdążył jeszcze podkopać magnolię i połamać gałęzie świerka. Tak się jednak przy tym pokłuł, że mu się odechciało dalszej dewastacji. Nikola potem opowiadała o zajściu ze szczegółami. Gdy gliny wreszcie przyjechały, Filip Orzeł siedział pod płotem, gapił się na swoje poranione dłonie i płakał. – Mężczyzna się rozgadał.

– Skoro taki wariat, to może trzeba by z nim do lekarza? – zagadnęła Rozalia.

– E, pani! – Woźnica machnął ręką. – Zamknęliby go w jakim szpitalu i kto by zarabiał na rodzinę? Swoje chłop w życiu przeszedł, więc też Wójciki nie wniosły oskarżenia – powiedział. – No, jesteśmy na miejscu – oznajmił i wstrzymał konie.

Rozalia zeskoczyła z wozu, wcisnęła pomocnemu mężczyźnie banknot do ręki i zagoniła córki do ściągania kajaków i tachania ich na miejsce postojowe w stancy. Potem, siłą rozpędu, nakazała im jeszcze rozstawić namiot. Protesty ucięła w zarodku groźbą odebrania telefonów komórkowych. Na jeszcze w ostateczności rzucony jęk: „Mamo, to niesprawiedliwe”, odparła, że życie jest z gruntu niesprawiedliwe i że ona w ich wieku nie miała takich wakacji, więc w ramach wdzięczności prosiłaby o milczenie. Sama wypożyczyła

leżak, wzięła ze sobą koty, wypatrzyła ustronne miejsce i postanowiła zafundować sobie wreszcie chwilę spokoju.

Powinna jednak wiedzieć, że nic jej z tego nie wyjdzie.



Drogi pamiętniczku,

ta zniewaga krwi wymaga! Żeby mnie – kocią, nie bójmy się użyć tego słowa, królową – transportować wozem zaprzęgniętym w konie, to trzeba rozumu nie mieć! I żadnego szacunku. ŻODNYGO!

Karocą – jak cię mogę. Jakimś autem z górnej półki cenowej – proszę bardzo. Ewentualnie na rękach nosić, na poduszce wyszytej złotą nicią. A nie chłopskim wozem ze szkapami spuszczałymi bomby łajna co dwa kroki! Czym oni je karmią?! Myślałam, że padnę z upokorzenia! Śmierdziało w pojeździe tego dziada, drzazgi wbijały mi się w zadek, a już nie wspomnę o braku profesjonalnych pasów bezpieczeństwa! Z tego wszystkiego ani drgnęłam. Po prostu mnie zmroziło. A powinnam wiać jak najdalej!

Na szczęście przejażdżka nie trwała długo. Dotarliśmy wreszcie z powrotem na kemping, z którego z rana przecież się zwinęliśmy. Prawda była taka, że kręciliśmy się w kółko jak jakie smrody po galotach. A wszystko przez tego trupa, z którym się zderzyliśmy na rzece. Już naprawdę nie miał gdzie wypłynąć. Teraz Pawełek rozwiąże zagadkę morderstwa, a my będziemy skazane na polowe warunki, gorsze niż te, w których mieszkają najniebezpieczniejsi przestępcy schwytani już i osądzeni przez wymiar sprawiedliwości. Zastanawiam się, czy po wakacjach nie zagonię Rozalii przed sąd i nie pociągnąć jej do odpowiedzialności finansowej za szkody moralne, na które mnie naraziła. Jeśli trafię na rozumnego sędziego, to moja niewolnica nie wypłaci się do momentu, gdy sama wreszcie kopnie w kalendarz.

Na razie wskoczyłam na leżak, który sobie ustawiła w cieniu, i zwinęłam się w tak zwaną krewetę, dając tym samym tej jełopce do zrozumienia, żeby mi tu w ramach zadośćuczynienia skołowała puszczkę moich ulubionych owoców morza zanurzonych w tuńczyku. Oczywiście, jak się można było domyślić, nie miała pojęcia, co się do niej rozmawia. Skaranie. Co więcej, przylazła bliżej, stanęła nade mną, zasłaniając mi widok na szumiącą w dole rzeczku oraz zieloną jak zepsuta kiełbasa linię drzew na drugim brzegu, i rzekła:

– Złaź, Bureczku!

Ani mi się śniło. Skoro ona ulokuje swoje chude dupsko na siedzisku, to ja niby gdzie mam spocząć? Przecież nie na ziemi!

– To moje miejsce – skłamała.

Nie uraczyłam tej lunatyczki nawet spojrzeniem. I wiecie, co ta cholera zrobiła? Zrzuciła mnie z leżaka! Mnie! Z leżaka! Pociągnęła za przewieszane przez drewniane pagaje płótno, huśnęła, a ja wylądowałam na trawie. Spadłam wprawdzie na cztery łapy, jednak akt zemsty musiałam wcielić w życie teraz, zaraz, natychmiast! Poczekalam więc, aż się usadowi, wyciągając te swoje cienkie ogolone

giry przed siebie. Doskoczyłam do łydek Rozalii. Zaatakowałam pazurami (a przynajmniej tym, co mi z nich zostało po ostatnich zabiegach upiększających) i wbiłam jej toto w skórę. Pocięła krew.

– Aua! – wydarła się Ginterowa.

Udawała zaskoczoną. A powinna się już dawno nauczyć, że zadzieranie ze mną grozi śmiercią. A przynajmniej podrapanymi girami. Zaczęła coś biadolić o niedobrym kocie, bardzo złym kocie, ale kto by jej tam słuchał. Na pewno nie ja. Już się zerwała, by biec po wodę utlenioną albo chociaż lokalny bimber, którego chciała użyć w celach dezynfekcyjnych, jednak uzmysłowiła sobie, że nie może zostawić mnie i Pedra samych przy leżaku. Patyczaki oczywiście zniknęły, diabli wiedzą gdzie, więc musiała sobie radzić sama.

– Dziewczynki! – wydarła się, jednak w nadziei na przywołanie córek. – Hanno! Heleno! – Używała ich pełnych imion, jak zawsze w chwili wzburzenia.

Czym się tu tak irytować, tego nie pojmowałam. Zakrwawiona kończyzna, wielkie mi halo.

– Do jasnej cholery! – wrzeszczała Rozalia, a ja łypnęłam na nią żółtym okiem.

Musiałoby być źle z naszą służącą. Zazwyczaj nie wyrażała się obelżywie. Miała klasę, tyle muszę jej przyznać. Widać kontakt z dziką naturą i ją zdziczył. Z kim przystajesz... i tym podobne. Wreszcie musiała kogoś zdenerwować tymi rykami, bo podeszła do nas jakaś ludzka pokraka rodzaju żeńskiego, której facjatę już wcześniej widziałam w tej jadłodajni, gdzie próbowano mnie ugotować żywcem. Widać wszyscy mieszkańcy Krutyni szwendali się po całej wsi bez ładu i składu, w związku z czym na każdego można się było natknąć wszędzie i o każdej porze, czy kto tego chciał, czy też nie. Owsikarnia jaka.

– Co się stało? – spytało dziewczę.

– Przepraszam. – Rozalia się opanowała. – Czy nie ma pani przypadkiem wody utlenionej? Kot mnie podrapał. – Pokazała swoją zdrachaną nogę.

Kobieta obiecała, że coś załatwi, i zniknęła mi z pola widzenia. Postanowiłam, że czas na sesję jogi. Usiadłam na zadzie, wyciągnęłam tylną łapę pionowo w górę, podparłam się przednimi i rozpoczęłam wylizywanko. Tak się skupiłam na fit czynnościach higienicznych, że aż się przestraszyłam, gdy dziewczucha wróciła.

– Znalazłam tylko to – powiedziała przeproszającym tonem i wyjęła zza pazuchy flaszkę wysokoprocentowego alkoholu. Wyczułam ten swąd nawet ze swojej przyziemnej pozycji.

Rozalia spojrzała złym okiem, sapnęła, powiedziała, że dawaj to, odkręciła nakrętkę pozbawioną banderoli i bez zastanowienia chlupnęła żrącą cieczą na swoją łydkę. Trzeba przyznać, że ani mruknęła, choć zauważyłam jej zaciśnięte szczęki i mord w oczach. Gdy zakończyła operację, łyknęła z gwinta tegoż płynu. Skrzywiła się, kaszlnęła i oddała szkło gapiącej się na nią szeroko rozwartymi oczami dziewczynie.

– Na co tak patrzysz? – rzuciła zdenerwowana niewolnica.

Kobieta musiała usłyszeć groźny ton w głosie Rozalii, bo odebrała butelkę, zrobiła w tył zwrot i pognęła w swoją stronę. Ginterowa wstała, wzięła sobie pod jedną

pachę mnie, pod drugą Pedra, który dotąd zajmował się gapieniem w jeden punkt na trawniku, zapewne przypuszczając, że gdzieś tam pod ziemią czai się mysz, którą pragnąłby upolować, do czego jednak trzeba mieć choć kilka działających szarych komórek. Zrozumcie, tak naprawdę kocham swojego synka gamonia, ale – ujmijmy to w ten sposób – całe szczęście, że urodził się taki śliczny. Przynajmniej tyle go ratowało.

Rozalia zaprowadziła nas do namiotu, gdzie, jak się okazało, siedziały bliźniaczki i grały w jakieś gry na komórkach. Ginterowa nie skomentowała tego, tylko nakazała im pilnować kotów, czyli nas. A pewnie już sami doszliście do tego, że nawet Pedro mógłby się wyrwać niezauważony spod kurateli patyczaków, więc tym bardziej mnie nie nastręczyło to trudności.

Podążyłam za niczego nieświadomą Rozalią.

Dotarliśmy do zbiorowego wychodka. Weszłam za Ginterową ostrożnie do środka. Bóg raczy wiedzieć, jak bardzo będę się musiała szorować po wizycie w tym przybytku. Z ludzi to są prawdziwe fletuchy. Mogliby się od nas – kotów – wiele nauczyć. Ale że są gorszymi pacanami niż mój synalek, to – sami rozumiecie – marne szanse.

Rozalia stanęła przed lustrem, spojrzała na siebie gniewnie, po czym jednym zgrabnym i zdecydowanym ruchem umieściła nogę na umywalce. Widać przemywanie wodą jej nie wystarczyło i postanowiła skorzystać z bardziej konwencjonalnych metod. Skrzywiłam swój pomarańczowy nosek i nadstawiłam ucha. Ktoś tu był jeszcze oprócz nas. W wychodku, zamknięty za przepierzeniem. I coś tam głądził. Podeszłam bliżej, by lepiej słyszeć. Sądząc po tym, że jakaś baba gadała, ale nikt jej nie odpowiadał, można było założyć, że prowadzi ona konwersację telefoniczną. Leciąło to mniej więcej tak:

– Mówię ci, to jakaś wariatka! – nadawało dziewczę o znajomym głosie... – Niby nic takiego nie powiedziała. Wyszarpnęła mi tylko ten bimber i fuknęła. Ale jak na mnie spojrzała!

Oho, toż to była ta dziewczucha, która przyszła Rozalii z pomocą, i, jak mi się przypomniało, pracowała w karczmie. Vanessa jej było!

– Vani, Vani, nie przesadzaj! – przedrzeźniła swojego rozmówcę, potwierdzając słuszność przeprowadzonej przeze mnie identyfikacji. – Mówię ci! Ostatnio tak przerażona byłam podczas białego szkwału! Ta baba jest groźniejsza od najgorszego sztormu! – nadawała, a ja prychnęłam z pogardą. Ja się Rozalii w ogóle nie boję. Raz, że zazwyczaj była dla mnie do rany przyłóż, a dwa, chyba już udowodniłam, że remedium na każdy wykrzywiony w mą stronę dziób stanowią moje paznokietki.

– Pomyśl sobie! – gadała dalej, a tymczasem Rozalia szorowała girę. – Wtedy na tym jachcie o mało nie zginęłam! Hubert prawie umarł! Z tego, co słyszałam, zrobiło się z niego niemal warzywko. To był największy koszmar mojego życia! Dobrze, że udało mi się wtedy zniknąć i jakoś nikt nie nakapował w tym zamieszaniu, że ja też płynęłam tą krypą. Nie zniosłabym wypytywania, przesłuchań. To było koszmarnie – ekscytowała się. – A mimo to dzisiaj ta niewysoka blondyna przerażyła mnie równie mocno! Jak nie bardziej! I wiesz, dlaczego? Bo to jest jego matka! Matka Huberta! Co ona tu robi, do cholery?! Chyba nie przyjechała mnie śledzić? Przecież nawet nie

wie o moim istnieniu! A przynajmniej nie powinna. – Rozmówca musiał jej chyba powiedzieć, że ma coś z deklek, bo zakończyła rozmowę krótkim: „A, spadaj, ty i tak niczego po polsku nie rozumiesz!”, a ja musiałam się prędko ewakuować, by się nie spotkać z Vanesską!

Gdy pobieżyłam ku wyjściu, zorientowałam się, że Rozalia zniknęła.

Siema, koleżanki i koledzy,

mój mamóń nie przepada za patyczakami (zresztą Burbur za nikim nie przepada, oprócz Pawelka). A teraz właśnie Hania i Helenka miały nas pilnować. Oczywiście rodzicielka wymknęła się gdzieś chyłkiem i tyle ją widzieliśmy.

Ja z kolei bardzo lubię dziewczyny. Mają wspaniałe walizy! Nazywają je „kosmetyczkami”, choć rozmiarów są takich (torby, nie bliźniaczki), że zmieściłoby się w nich po pięć kotów w każdej (sprawdzałem osobiście).

Wyjąłem sobie z jednego bagażu takie niewielkie puzderko z pachnącym, milutkim, mięciutkim czymś. I się w tym wytarzałem. Żyć, nie umierać!

Polecam każdemu.



– Technicy zabrali już ciało i zabezpieczyli ślady – powiedział Paweł Ginter, zginając się wpół i nurkując do wnętrza namiotu.

– A czy – zaczęła jego żona tonem, który nie zwiastował niczego dobrego – w związku z tym że prowadzisz śledztwo, tutejsza policja nie mogłaby ci przydzielić jakiegoś lokum? – Paweł wciąż tkwił w niewygodnej pozycji i próbował znaleźć czystą koszulkę w stercie ciuchów, które kłębiły się w nieładzie po jego stronie karimaty. Obojętnie którą część garderoby wyławiał, okazywała się upaprana czymś różowawym. Co to było, nie miał bladego pojęcia. Z kolei po stronie Rozalii panował porządek, którego nie powstydziliby się ci straceńcy rekrutujący się z Legii Cudzoziemskiej. Wszystko leżało złożone w kancik, posegregowane kategoriami i wedle koloru. – I przy okazji nam? – dokończyła myśl Ginterowa.

– Niestety – sapnął Paweł, sięgając wreszcie po T-shirt, którego – jak miał nadzieję – jeszcze nie używał. Wygramolił się na zewnątrz i zwrócił swoją poczerwieniałą z wysiłku i nadmiaru słońca twarz w stronę żony. – Próbowali nawet coś znaleźć. Jednak wszystko

zajęte. Ci cholerni turyści... Co ci się stało w nogę? – Teraz zauważył ciągnące się purpurą przez łydkę Rozalii szramy.

– A jak myślisz? – odwarknęła.

No tak, winna mogła być tylko jedna. Zabranie kotów na tę wyprawę świadczyło o ich chwilowym zaćmieniu umysłowym. Pewnie Burburka miała dość i w ten sposób okazywała zniecierpliwienie. A Pedro... Właśnie dostrzegł młodszego kota. O ile to był on... Mógł sobie pogratulować zdolności śledczych. Przynajmniej jedną zagadkę zdołał rozwikłać. Pedro przechadzał się bowiem przed nimi umazany na różowo. Za to z części namiotu, w którym mieszkały Hania i Helenka, dobiegały odgłosy awantury – z tego, co zdołał ustalić, dotyczyła ona kwestii zużytego nadmiernie pudru...

– Będę musiał dzisiaj jeszcze podjechać na posterunek – oznajmił Ginter. – Zobaczyć, czy mogę tu liczyć na jakieś wsparcie. Trochę poogarniać. A co to? – Przerwał, bo z oddali dobiegły go jakieś dziwne dźwięki.

Rozalia też wytężyła słuch.

– Czasem – powiedziała po chwili – Pedro się tak wydziera, gdy chce wyjść do ogrodu.

Rzeczywiście, od strony mola docierały przeciągłe, nieboskie pienia łudząco podobne do kociego zawodzenia. Zgodnie ruszyli w tamtą stronę. Już po chwili ukazał im się mostek, a na nim grupa ludzi.

– Wielebny Konopniak! – sarknęła Rozalia.

Z pewną satysfakcją, jak zauważył Paweł. Zerknął na żonę. Dojrzał w jej oczach iskry wściekłości.

Duchowny zasiadł na przytarganym skądś taborecie i uderzał w struny gitary. Wyśpiewywał jakąś, jak można było przypuszczać, kościelną pieśń. Nie brzmiało to dobrze. Co gorsza, zgromadzona wokół niego młodzież wtórowała mu z zapalem.

– Chwalmy Pana! – wydarł się nagle ksiądz.

Najwyraźniej przyszedł czas na uduchowione przemowy. Rozalia zmarszczyła czoło.

– Napiszę do kurii – wyszeptała przez zaciśnięte zęby. – I zażądam, żeby nam wymienili tego wariata.

Żona Gintera była religijna. A przynajmniej dbała o pozory religijności. Paweł był przekonany, że chodziła do kościoła na tak zwany wszelki wypadek. Nie z przekonania czy głębokiej wiary. I mimo wszystkich kryminalnych wydarzeń, które stały się ich udziałem, nie zamierzała rezygnować z tego rytuału.

– Strzeżcie się szatana! – grzmiał tymczasem wielebny Konopniak, strasząc przepływające nieopodal łabędzie, które na ten apel umknęły w przybrzeżny tatarak. – Nie bądźcie bezbożnikami! Seks tylko po ślubie! I jedynie w celach prokreacyjnych! Na przyjemności liczcie po śmierci! – głądził. – Nie malujcie paznokci czerwonym lakierem! I spalcie na stosie Harry’ego Pottera!

Paweł zauważył, że zebrany przed wielebnym tłum zaczął się powoli rozrzedzać. A ci, którzy pozostali, zajmowali się raczej filmowaniem proboszcza niż wsłuchiwaniem się z nabożną czcią w głoszone przez niego dyrdymały.

– Słońce musiało mu zaszkodzić – skwitował.

Chwycił żonę za rękę i pociągnął w przeciwnym do mola kierunku. Uznał, że spacer dobrze im robi.



Dwadzieścia jeden miesięcy wcześniej, Osada

Po trzech miesiącach pobytu w Osadzie Niki mogła stwierdzić, że najbardziej z tego wszystkiego podoba jej się fika. Przerwa w pracy na kawę. Świętość. Nawet oni – przyjezdni z tak niechętniej wszelkim obcym wpływom Polski – ochocho przejęli ten zwyczaj. Przeczytała gdzieś, że Szwedzi wypijają średnio dziewięć kilogramów kawy

rocznie na głowę. Zastanawiała się, czy ona też dobieje do tego imponującego wyniku. Wolałaby nie. I tak już słabo sypiała. Zwłaszcza przez brak prawdziwie ciemnych nocy. Nie mogła zmrużyć oka, gdy na dworze panowała szarówka. Zastanawiała się, jak to będzie, gdy sytuacja się odwróci i w ogóle zabraknie słońca.

Trzeba było przyznać, że nic nie smakowało tak dobrze w mroźnych lasach jak bułeczka cynamonowa popijana małą czarną. Zatem nie zamierzała sobie odbierać tej przyjemności. I tak niewiele jej ich pozostawało.

Właściciel tutejszego lasu, niejaki Hans Eriksson, naobiecował im gruszek na wierzbie, a się okazało, że mogli liczyć co najwyżej na nadgniłe ogryzki. Nikola nie wyobrażała sobie, że życie w Osadzie będzie takie trudne. I wyczerpujące. Zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

Zamieszkali z Mateuszem w małej drewnianej chatce, która może i wyglądałaby uroczo na folderach turystycznych – była nawet pomalowana farbą w kolorze czerwonym, futryny zaś pociągnięto na biało, zupełnie tak, jak przedstawiano skandynawskie domki letniskowe w literaturze kryminalnej – ale rezydowanie w niej na co dzień nie miało nic wspólnego z wygodą i komfortem termicznym. Nikola Wójcik marzła. Każdego ranka, gdy musiała wyjść spod kołdry, przeklinała: siebie – za to, że dała się namówić na ten wyjazd, Mateusza – za to, że przyklasnął temu pomysłowi, tego pieprzonego Erikssona – skoro chciał zdobyć majątek na zrębie drzew, niechże by się sam za to wziął, a nie ściągał naiwnych robotników z Europy Środkowo-Wschodniej.

Nikola ubierała się na cebulkę i przekonywała, że nie może tak po prostu pojechać do Kiruny i wsiąść w samolot powrotny do domu. Ponieważ podpisała kontrakt. I jeśli nie chciała stracić zarobionych już pieniędzy – których i tak nie było tyle, ile zakładała, bo okazało się, że musi spłacić swój przejazd, zakwaterowanie, ubezpieczenie i cholera wie, co jeszcze. Koniec końców portfel ział pustkami. Musiała jakoś wytrzymać. A to nie było proste, także ze względu na Mateusza. Kiedy jeszcze mieszkali na Mazurach, każde w swoim

domu rodzinnym – co teraz wydawało się odległe o lata świetlne – ich randki były wyjątkowe. Czekala na nie z drzeniem serca, niecierpliwością, której nie potrafiła ukryć. Doprowadzała tym Vani do szału. Wybuchaly ciągle awantury o zbyt długie zajmowanie łazienki (choć siostra miała przecież swoją w przybudówce, ale i tak się czepiała), niewracanie na kolację, a nawet przylepiony na stałe do twarzy uśmiech zakochanej.

Teraz to wszystko wydawało się tak realne jak zeszłoroczny śnieg. Proza życia ich dopadła i zabrała radość z bycia razem daleko w gęstwinie północnoszwedzkich lasów. Ciężka praca, mało czasu dla siebie, niesprzyjające warunki pogodowe i mieszkaniowe odniosły zwycięstwo. Przegrali oni: Nikola i Mateusz. Orzeł coraz częściej ją irytował. Drobnostkami. Błotem naniesionym do chaty, w które ona wdeptywała w skarpetkach. Nieumytym kubkiem wstawionym do zlewu. Czy próbami nawiązania z nią rozmowy, gdy akurat, zmęczona po całym dniu pracy w kuchni, chciała mieć święty spokój. Czy była złym człowiekiem? Coraz częściej się tak czuła. Nie mogła jednak nic na to poradzić.

Do tego rodzice, gdy się dowiedzieli – nie od nich, musiał nakablować ktoś z Osady – że Nikola i Mateusz zamieszkali razem – a przecież byli przed ślubem, szczerze mówiąc, nawet przed zaręczynami – wściekli się na całego. Nikola na próżno tłumaczyła matce podczas rozmowy na Skypie, że oto nastał dwudziesty pierwszy wiek i że teraz ludzie żyją już inaczej. W ich wiosce panowały jednak inne zasady i rodzice chcieli – jak mówili – by Nikola zachowywała się jak „porządna dziewczyna”. Gdy rozmowa przybierała taki obrót, ich córka zazwyczaj udawała, że połączenie zostało zerwane. Mateusz ściemniał swojemu staremu – karczmarzowi zresztą – że wprawdzie mieszkają z Niki razem, ale on śpi na dmuchanym materacu rozkładanym co wieczór na podłodze, ukochanej pozostawiając do dyspozycji łóżko. Trudno było powiedzieć, czy Filip w to wierzył. Przynajmniej udawał.

Mateusz też nie miał lekko. Pracował przy zrębie. Obsługiwał jedną z tych wielkich maszyn, do których ona początkowo bała się

nawet zbliżyć. Drzewa padały jak zapalki, a Eriksson się cieszył, bo fabryki produkujące meble stały do niego w kolejce po surowiec. Przyjeżdżał co miesiąc do Osady i przechadzał się po niej jak pan na włościach, którym w zasadzie był. Ich Osada była cała polska. Nawet można by powiedzieć, że mazurska. Żukowski załatwił Erikssonowi robotników z Krutyni i okolic. Pewnie byli tańsi niż Szwedzi. Choć nie było co narzekać. Mogli trafić gorzej. Praca w kiruńskiej kopalni rudy żelaza – głównej żywicielce okolicznej ludności – wydawała się o wiele cięższa.

Z tą kopalnią to w ogóle był problem. Przez nią Kiruna zaczęła się zapadać. Nawet oni, mieszkający daleko, czasem w nocy czuli tąpnięcia spowodowane wybuchami pod ziemią. Rezultat był taki, że władze postanowiły przenieść całe miasto. Póki był na to czas. Póki wszystko nie legło w gruzach. Wybrano stosowne miejsce na byłym torfowisku i ustalono, że właśnie tam przeprowadzi się Kiruna. Oczywiście przetransportowanie wszystkiego – całego układu urbanistycznego, wszystkich budowli jeden do jednego nie było możliwe. Akcja zatem – jak można się było domyślić – wywołała bunt wśród lokalsów. Ich to jednak średnio interesowało. O tyle, o ile, bardziej w charakterze dziwnej anegdotki opowiadanej rodzinie przez telefon podczas cotygodniowych rozmów-raportów, jak je Niki nazywała. Matka cały czas pytała, kiedy córka wróci. Ojciec rzadko się odzywał. A o siostrze to już w ogóle szkoda gadać.

W każdym razie starali się jakoś urządzić. Jednak odosobnienie i samotność w ogromnych i lodowatych lasach gdzieś na skraju Europy nie wpływały dobrze na samopoczucie. Z ludzi zaczynały wychodzić najgorsze instynkty.

Tego ranka, gdy Nikola jak zwykle szła do pomieszczeń gospodarczych, skracając sobie drogę przez błotniste tereny wkoło jeziora, już z daleka zobaczyła grupkę ludzi przed wejściem do budynku. Mieściły się w nim kuchnia, gdzie gotowano posiłki dla robotników, świetlica i magazyn z narzędziami. Niki przypomniała sobie, że to był dzień odwiedzin Erikssona. Zazwyczaj jednak przyjeżdżał tylko ze swoim asystentem. Olof Molin mu było. Mało

się odzywał. Rzadko kiedy wychodził z auta. Wtykał sobie tylko snus pod wargę i kiwał się w takt muzyki puszczonej z samochodowego odtwarzacza. Nikołą ten tytoniowy rytuał z jednej strony brzydził, z drugiej fascynował. Zastanawiała się, dlaczego chłopak nie może sobie po prostu zapalić papierosa. Ci Szwedzi byli naprawdę dziwni. Do tego objadali się ohydnyymi słodyczami zawierającymi lukrecję. Sam widok czarnych glutów o obrzydliwym smaku doprowadzał Nikołą do rozstroju żołądka. Choć – skoro już mowa o kulinariach – nie znała większego świństwa nad kiszzonego śledzia. Nazywało się to *surströmming* i gdyby Nikola zapragnęła kiedyś poddać kogoś torturom, to z miejsca zrezygnowałaby z waterboardingu, a pomogła sobie tym sfermentowanym rybskiem. Kiedy pierwszy raz w życiu miała styczność ze szwedzkim przysmakiem, skończyło się to dla niej objawami przypominającymi chorobę morską. Trwającymi bity tydzień. Eriksson, który poczęstował ją paskudztwem, długo nie mógł przestać się śmiać. Wciąż zresztą, gdy się spotykali, nagle wybuchał niekontrolowanym rechotem. I Nikola od razu wiedziała, co sobie przypomina ten stary cap.

Teraz Wójcik zastanawiała się, skąd wzięło się tu tylu ludzi. Nie mogła ich rozpoznać. Z pewnością nie było wśród nich Polaków. Podeszła jeszcze bliżej. Niestety, nie znała języka szwedzkiego. Przez te trzy miesiące coś tam podłapała, ale były to pojedyncze zwroty, nic więcej. Nie miała się gdzie uczyć, w końcu na co dzień przebywała w zasadzie tylko z Polakami, rozmawiali więc w ojczystej mowie. W kontaktach z tubylcami posługiwała się swoim szkolnym angielskim – nie był najlepszy, ale zawsze dawało się jakoś dogadać. Czasem też w Osadzie pojawiał się Boguś – Polak, który od lat mieszkał na stałe w Szwecji. Pracował jako dziennikarz w lokalnej gazecie w Kirunie i oczywiście doskonale znał język Stiega Larssona i Camilli Läckberg – to byli Szwedzi, których Nikola, zagorzała wielbicielka literatury gatunkowej, kojarzyła. Boguś pomagał więc wtedy w międzynarodowym porozumieniu, choć z pewnym ociąganiem. Przyjeżdżał do Osady w zasadzie nie wiadomo w jakim celu. Twierdził, że lubi te tereny i chce po prostu zaznać spokoju w podbiegunowym lesie. Niki jednak przypuszczała, że dziennikarz

ma inne zamiary. Pewnie, myślała sobie, zbiera materiały do jakiegoś artykułu. O czym jednak miałyby on traktować? W tym względzie wyobraźnia już ją zawodziła. A wstydziła się spytać.

Teraz dopiero zauważyła, że nowi – było ich pięcioro: trzy kobiety, dwóch facetów – byli nastawieni agresywnie. Okrążyli Hansa i coś gniewnie wykrzykiwali. Kiedy z budynku wyszedł Tomek, jeden z drwali pracujących razem z Mateuszem, rzucili się także na niego.

– O co chodzi? – spytała, gdy już stanęła w progu świetlicy.

– Nie wiem! – Tomek starał się przekrzyknąć awanturników. – Przyjechali zaraz za Hansem. Jakby go śledzili. A to kto? – zdziwił się głośno.

Nikola też usłyszała zbliżający się odgłos silnika samochodowego. Wyjrzała zza rogu budynku. W ich stronę zmierzało dość rozklekotane volvo. Zderzak miało nieco przekrzywiony, karoserię nadzartą rdzą, a szyby niemyte chyba od nowości.

– Boguś! – sapnęła Niki.

Rzeczywiście po chwili volvo zaparkowało nieopodal, ślizgając się na pokrytej błotem nawierzchni. Przydzwoniło zderzakiem w drewniany płot. Drzwi jęknęły, a ze środka wytoczył się znajomy dziennikarz. Boguś nie witał się z nikim, tylko stanął obok awanturników i Erikssona. Wyjął notes i zaczął w nim coś skwapliwie zapisywać.

– Panie Bogusiu, o czym oni gadają? – zaczepiła go Nikola.

– Szszsz! – uciszył ją żurnalista i notował w najlepsze. Tymczasem zgraja dalej się przekrzykiwała.

– Miejże pan litość – zwrócił się do Bogusia Tomek. – Też chcemy wiedzieć.

– To ekolodzy – wysyczał przez zęby dziennikarz. – Protestują przeciwko zrębowi. Mówią, że Eriksson to sprzedajna dziwka Stowarzyszenia Leśnego – relacjonował, wciąż utrwalając wszystko w swoim kapowniku.

– Stowarzyszenia? – zapytała zdziwiona Nikola.

– To urząd pilnujący, żeby przestrzegać prawa leśnego – tłumaczył Boguś. – Według niektórych to prawdziwa leśna mafia. Spiknęli się z tymi wszystkimi dyrektorami przedsiębiorstw meblarskich. Razem sobie jeżdżą na polowania. Ci drudzy fundują urzędasom wczasy, rauciki, cholera wie co jeszcze. Dogadali się chłopaki – podsumował. – I rzną lasy na potęgę.

– Ale przecież to jest prywatny teren Erikssona – zauważyła Nikola. – To chyba może sobie z nim robić, co zechce?

– Niby tak... – Dalszą część jego wypowiedzi przerwały jeszcze głośniejsze protesty ekologów.

– Tłumacz pan! – naciskał Tomek.

– Ten łysy mówi, że przez takich jak Eriksson zwykły człowiek ma gówna z lasu – wyjaśnił. – Że są dwa jego rodzaje. Znaczy lasu, nie gówna – uściślił. – Gówna pewnie więcej – dodał na marginesie. – Jeden las to taki jak ten wasz – ma służyć jako źródło drewna dla spasionych prezesów królestwa meblarskiego. Drzewa tu rosną w równych rządkach, wszystko pięknie poukładane, takie prawie sztuczne.

– A drugi rodzaj? – zaciekawiała się Nikola i owinęła się ciasniej kurtką, bo już zmarzła, stojąc tak długo bez ruchu.

– Rezerwaty – wyjaśnił Boguś. – Tam z kolei niczego nie można ruszyć, nawet kwiatka wyrwać. Pikniku nie zrobisz, przyroda tam rządzi. To gdzie się ma zwykły człowiek podziać? – zadał pytanie, na które ani Nikola, ani Tomek nie znali odpowiedzi.

– To czego chcą od Hansa? – poinformowała się Wójcikówna.

– Żeby przestał się bratać z tymi od meblościanek i nie wyrzynał tak dużo.

– Mateus! – zawołał Hans Eriksson, kalecząc polskie imię.

Musiał dostrzec chłopaka Nikoli, który właśnie wyłonił się zza linii drzew. Pewnie przyszedł na pierwszą tego dnia fikę. Właściciel lasu

czuł z jakichś przyczyn pewną miętę do Orła. Chłopak stał się jego przybocznym. Gdy tylko Hans zjawiał się w Osadzie, Mateusz zawsze mu towarzyszył, oprowadzał po terenie, pokazywał postęp prac. Kilka razy zdążył już z nim też pojechać do Kiruny.

Mateusz podszedł do zgromadzenia i stanął niepewnie przy swoim pracodawcy. Zauważył Nikolę i pomachał do niej. Jego twarz rozjaśnił uśmiech. Eriksson pociągnął chłopaka za łokieć parę kroków od ekologów i począł coś do niego szeptać zawzięcie. Wreszcie mężczyźni odwrócili się i wsiedli do terenówki należącej do Erikssona. Zanim jednak zdążyli zamknąć drzwi, w ich stronę poleciały jajka. Pierwsze rozbiło się o maskę samochodu, jednak już drugie trafiło w czapkę na głowie Orła. Hans zdołał się schronić we wnętrzu, zanim jajeczny grad się nasilił. Z całej sytuacji zadowolony zdawał się tylko Boguś, który porzucił notowanie, wyjął zza pazuchy telefon i zabrał się do fotografowania zajścia.

– Cudownie! – mrucał do siebie. – Będzie jedyńka!

Nikola miała dość. Weszła do budynku gospodarczego i wzięła się do obierania ziemniaków na obiad, który mieli, jak co dzień, zjeść wspólnie wszyscy mieszkańcy Osady. Rybacy powinni przynieść do tego coś z połowu. Obserwując równe obierki lądujące w koszu, Wójcik zastanawiała się, jak długo tu jeszcze wytrzyma.



Teraz, Krutyń

Rozalia Ginter była wściekła. Najchętniej wpakowałaby wielebnego Konopniaka na dno jeziora, obciążyla dziada kamieniami i zostawiła tam na wieki wieków. Co by nie mówić, miała wprawę... Duchownemu coraz bardziej odbijała palma. Nie dość, że przywłaszczył sobie (w przekonaniu Rozalii) spadek po Jadwidze, to jeszcze pajacował przed tą grupką młodzieży jak ostatni oszołom. Przynosił hańbę rodzajowi ludzkiemu!

Z chęcią przyjęła propozycję spaceru wysuniętą przez męża. Wyszli na główną ulicę ciągnącą się przez wieś i ruszyli przed siebie

chodnikiem. Minął ich pędem wściekle pomarańczowy busik z napisem: „Pływaj z nami! Wodniak” i podanym numerem telefonu. Ciągnął za sobą przyczepkę wypełnioną piętrowo niebieskimi, czerwonymi i żółtymi kajakami.

– Wstrzymaliście spływy? – spytała męża.

– Tylko na czas pracy techników. Teraz już można – odparł.

Nogi jakoś same powiodły ich do karczmy Filipa Orła. Przed wejściem na schodkach siedział jakiś mężczyzna, jakby bronił wstępu.

– To pan. – Rozalia rozpoznała swojego dzisiejszego woźnicę.

Facet przyjrzał jej się bez słowa.

– To ja – przyznał wreszcie. – Państwo postawią kormoranka. – Bardziej stwierdził, niż zapytał. – Wiśnię w piwie – sprecyzował.

Po czym zerwał się z pozycji siedzącej – dość żwawo jak na swoje lata – i poprowadził Ginterów na werandę. Wybrał stolik i się za nim rozsiadł. Poklepał ławę obok siebie. Małżeństwo popatrzyło po sobie i niechętnie dołączyło do mężczyzny.

– Witek jestem – przedstawił się wreszcie. Nagle pod jego nogi wbiegł kudłaty pies, którego Rozalia zapamiętała z przenoski obok młyna. – A pan komisarz na długo u nas zostanie? – Widać wieści roznosiły się w Krutyni jeszcze szybciej niż w Mikołajkach.

– Dopóki będzie trzeba – odparł Paweł i zamówił trzy piwa u rozeźlonej kelnerki, która, by dać upust targającym nią uczuciom, co rusz waliła tacą o blaty mijanych stolików.

– A jej co? – zaciekawiała się Rozalia.

– Vanesska ma muchy w nosie. – Witek roześmiał się, ukazując białą-czarną klawiaturę zębów, na której pianista mógłby wygrać niejedną partyturę. – W zasadzie od zawsze. Trudno ją winić. – Zawiesił głos.

Rozalia pożałowała, że zachęciła dziada do zwierzeń. Miała już dość tego dnia. Chciała jedynie w spokoju napić się piwa

(preferowała wino, ale karta oferowała tylko jakieś domowe produkty, których konsumpcji wolałaby nie ryzykować). Pomilczęć. I wreszcie pójść spać. Choćby i do tego przekłętego namiotu! A temu się zebrało na pogaduchy.

– No bo jedno, że jej siostrę zamordowali – kontynuował nieproszony, a Rozalia przypomniała sobie, że to rzeczywiście jest siostra zmarłej Nikoli. Zdziwiła się, że kobieta po tak wielkiej tragedii osobistej przysłała do pracy. Zobaczyła też, że Paweł nadstawia ucha. – A drugie, że zawsze była tą bardziej poszkodowaną z nich dwóch. Wiecznie tą gorszą. Mimo że starsza, to nie potrafiła sobie ułożyć życia z żadnym chłopem. Albo i babą – zezwolił. – Podczas gdy Niki miała Mateusza, a potem...

Przerwał mu Ginter, który gwałtownie wstał od stołu i wszedł do karczmy.

– Muszę do toalety – skłamała Rozalia i podążyła za mężem. Ciekawiło ją, co też kombinuje.

Tuż za wejściem skręciła w prawo i przeszła do pomieszczenia z barem. Za ladą stała Vanessa, a na wysokim stołku po przeciwnej stronie usadowił się Paweł. Rozalia przeszła obok nich obojętnie i zatrzymała się przy drewnianym regale wypełnionym miodami lokalnej produkcji. Ze zdumieniem odkryła, że mają nawet taki o smaku czekoladowym. Z przesadną uwagą zaczęła oglądać szklane pojemniczki, a tak naprawdę podsłuchiwała rozmowę męża z kobietą.

– Pani Vanessa Wójcik? – zagaił.

– A kto pyta? – rzuciła kobieta i zlustrowała Gintera wzrokiem, który Rozalii się nie spodobał. Oj, nie spodobał! Jej mąż był przystojniakiem. Wysoki, z falującymi, gęstymi włosami, mocną szczęką i o spojrzeniu przyprawiającym większość kobiet o drżenie nóg, zwracał na siebie uwagę płci przeciwnej. Swojej zresztą też.

– Komisarz Paweł Ginter. – Jej ukochany machnął blachą, w samą porę zmywając cień zainteresowania z twarzy Wójcikówny. Rozalia zauważyła w oczach kobiety... Tak, to był strach. – Prowadzę sprawę morderstwa pani siostry – wyjaśnił, a Vanessa jakby odetchnęła

z ulgą. A przynajmniej Ginterowa odniosła takie wrażenie. – Rozmawiałem już z pani rodzicami. Właściwie dlaczego jest pani dzisiaj w pracy? – dociekał, kierowany najwyraźniej podobnymi do Rozalii myślami. – Nie wzięła sobie pani wolnego?

– Po co? – odpyskowała kobieta, odgarniając ze spoconego czoła wyliniałą grzywkę. – Żeby słuchać w domu użalania się matki i ojca? Że stracili ukochaną córeczkę? I nie mają już po co żyć? – dopytywała, wycierając kufel białą ściereczką. Rozalia miała wrażenie, że jeszcze chwila i naczynie pęknie pod naporem jej gorączkowych barmańskich poczynań. Ta kobieta nie wyglądała na pogrążoną w żałobie. Ona przypominała wulkan tuż przed erupcją.

– Nie przepadała pani za siostrą?

Vanessa odstawiła kufel z brzękiem obok rzędu tych już wypucowanych. Dokładnie wytarła dłonie w ścierekę. Popatrzyła komisarzowi prosto w oczy.

– Kłamała nie będę – obiecała. – Wielkiej miłości między nami nie było. Jej zawsze wszystko uchodziło na sucho. Młodsza ukochana córeczka. W życiu miała łatwiej niż ja. Ładniejsza była. To nietrudno zresztą, sam pan widzi – przyznała z wyjątkowym samokrytycyzmem. – Wszystkie chłopaki we wsi się za nią uganiały. Na mnie żaden sensowny dotąd nie spojrział. I jeszcze tę robotę złapała przez Żukowskiego w Szwecji.

– Pani nie chciała jechać? – dociekał Ginter.

– Pewnie, że tak! – zapewniła. – Ale trzeba było znać chociaż podstawy angielskiego. A ja nie mam talentu do języków. Do niczego zresztą nie mam.

– Gdzie pani była dzisiaj nad ranem? – zapytał Paweł.

Rozalii przypomniało się, że mąż zdążył jej zdradzić, że przybyły na miejsce tragedii patolog przyciśnięty przez komisarza wymamrotał nieoficjalnie, że Nikola Wójcik musiała zostać zamordowana tego samego dnia we wczesnych godzinach porannych. Precyzyjnego wypowiedzianego odmówił i przypomniał gliniarzowi, że godzinę

śmierci co do minuty określać mogą sobie te wszystkie patałachy piszące scenariusze filmów albo kiepskie powieści kryminalne. W prawdziwym życiu na takie ułatwienia ze strony nauki śledczy nie mogli liczyć.

– Zależy o której – bąknęła Vanessa i otarła łzę z policzka. – Wie pan, co jest najgorsze? – Zmieniła temat. – Że teraz już jest za późno! – podniosła głos. – Na to, żebyśmy się z Niki dogadały! Żebym jej powiedziała... – zająknęła się. – Powiedziała... że ją kocham! – Załkała i schowała twarz w brudnawej ścierce.

Rozalia łypnęła na kobietę spod oka. Przedstawienie – to było to, na co właśnie patrzyła.

– Powiedzmy od trzeciej do siódmej rano – uściślił Ginter, ignorując osobiste wyrzucenia Vanessy Wójcik.

– Spałam – bąknęła, uspokoiwszy się nieco. – We własnym łóżku. Sama. Tu przyszłam dopiero na dziewiątą. Chyba pan nie sądzi, że to ja zamordowałam własną siostrę?

– To rutynowe pytanie – odparł Paweł Ginter.

Ale jego żona widziała, że tak jak ona nie dał się zwieść tej pełnej pretensji kobiecie. Odłożyła słoik z miodem na półkę i wreszcie poszła do toalety.



Drogi pamiętniczku,

w nocy nie mogłam spać, gdyż nie przywykłam drzemać pod zjełczałą plandeką walącą grzybem i jeszcze rozstawioną gdzieś w polu. Na co dzień – gdyby kto zapomniał – rezyduję w luksusowej willi wybudowanej tuż przy promenadzie w Mikołajkach nad jeziorem i moje standardy życia odbiegają od tego tutaj koczowiska. Dlatego trudno się dziwić, że Morfeusz mnie opuścił. Wlazłam więc na spoczywającą na wznak Rozalię i usadowiłam się na jej wątej klatce piersiowej. Oddychała miarowo. Czyli żyła. A już miałam nadzieję, że Pawełek będzie tylko mój. Rozpoczęłam żmudny proces udeptywania podłoża. Mimo woli uruchomiło się moje burczenie, przez które niektórzy niemądrzy sądzą, że jestem brzuchomówczynią. „Bur-bur-bur”, tak to leci i jest przyczyną mego oryginalnego imienia. Jeszcze inni ciemni jak tabaka w rogu utrzymują przez to, że jestem samczym osobnikiem. Bo moje imię niby jest tego rodzaju. Nie będę komentowała tej tępoty, bo mi kajaka nie starczy na pamiętnikarskie rozważania.

W każdym razie uwaliałam się wreszcie wygodnie i zasnęłam w spokoju. A gdy Rozalia zaczynała się wiercić i próbowała mnie zrzucić z siebie, to waliłam ją łapą przez dziób i rezygnowała z podrygiwań. Jakoś dotrwałyśmy do rana.

Niektórzy (znów – pozbawieni krztyny inteligencji) mogliby się zastanawiać, dlaczego, skoro tak bardzo kocham Pawelka, śpię na Rozalii. Otóż trzeba mieć pod kontrolą swojego wroga! Tak mówi stara wojenna zasada. Zatem ja pilnowałam swej niewolnicy na każdym kroku.

Także jeszcze przed śniadaniem, gdy wymknęła się z obozowiska z komórką ukrytą w kieszonce sukienki, którą naciągnęła na grzbiet. Wzięłam ją na cel i rozpoczęłam śledztwo. Nie było ono długie, zawile i pełne niebezpieczeństw, ponieważ Ginterowa udała się po prostu w krzaki. A ja za nią. Tam wyjęła smartfona i wybrała jakiś numer.

– Jest doskonała okazja – powiedziała do słuchawki. Bez żadnego „Dzień dobry, tu mówi Rozalia Ginter, niewolnica królowej Burbury” albo chociaż prostackiego „Elo, mordo”. – Zostajemy na kempingu w Krutyni. Bo wpadłam na trupa w rzece i Paweł musi znaleźć mordercę. I on też tu jest – wyszeptała. – Znaczący nie morderca, tylko ON! – podkreśliła ostatnie słowo. Ja nic z tego nie rozumiałam, ale najwyraźniej ten ktoś po drugiej stronie linii i owszem. – Co to za hałas? – Chciała wiedzieć Rozalia, co i mnie zaciekało.

Rozejrzałam się wokoło, ale zobaczyłam tylko chabazie. I jeszcze jakieś pety oraz puszki po browarach porzucone tu przez miłośników przyrody. Tymczasem rżężenie narastało.

– U ciebie też tak trzeszczy? – zapytała Rozalia swojego rozmówcy.

Nim uzyskała odpowiedź i zanim się zorientowałyśmy, co jest grane, tuż za naszymi plecami hałas osiągnął apogeum, po czym ustał w jednej sekundzie. Potem trzasnęły drzwi samochodu, zaszleściły krzaki, a po chwili usłyszałyśmy:

– Co to za cholerne prerie?! Jak ja nienawidzę przyrody! – powiedziała ta sama baba, którą widziałam już wcześniej spiskującą wraz z Ginterową u wybrzeży Jeziora Mikołajskiego. Tym razem też miała na stopach niebotycznie wysokie szpilki, a na zadku jakąś zupełnie nieprzystającą do wakacyjnych okoliczności garsonkę. Uznałam, że prewencja przede wszystkim. Muszę ją pierwsza podrapać po girach, zanim ona nadeptnie mi łapkę jedną z tych szpil.

– Co ty tu robisz?! – Rozalia się zapowietrzyła.

– Przyjechałam z pomocą – oznajmiła nieznajoma. Nie dosłyszałam jej imienia. – Wierz mi. Bez Potomek-Chojarskiej sobie nie poradzisz – zapewniła, przedstawiając mi się przynajmniej z nazwisk. Może sama nie pamiętała, jak ma w dowodzie, skoro pominęła pierwszą część miana? Z pyska wyglądała mi na jakąś Hermenegildę.

– Gdzie będziesz nocować? – zaciekała się Ginterowa.

– Och, pewnie mają tu jakiś hotel. – Potomek-Chojarska wzruszyła ramionami.

Rozalia na to tylko pokręciła głową. Co i ja uczyniłam. Już oczami wyobraźni widziałam tę paniusię zmuszoną do rozbicia namiotu.

– To co to za trup? – zainteresowała się jeszcze nowo przybyła. – Chodź, wyjaśnisz mi w samochodzie – zaordynowała.

Oho! Musiałam się trzymać blisko. Niech sobie te dwie konspiratorki nie myślą, że mnie wysiudają z całej tej hucpy. Bo że się takowa szykowała, było dla mnie więcej niż pewne!

Przelażły z powrotem przez krzaki. A ja ich śladem. Tam już na nie czekało wielkie czarne beemwu. Potomek-Chojarska kliknęła automatycznym zamkiem i otworzyła tylne drzwi, by wygrzebać stamtąd torebkę. W trakcie manewrów polegających na rozwieraniu i zawieraniu kolejnych wrót, ładowaniu się do środka dwóch wychudzonych panień, ja wskoczyłam za fotel pasażera i już byłam gotowa do nasłuchu.

Rozalia zaczęła relacjonować sprawę morderstwa Nikoli Wójcik, jednak Potomek-Chojarska ziewnęła i bezceremonialnie przerwała:

– Gdzie to masz?

– W namiocie – odparła Rozalia, najwyraźniej od razu wiedząc, o jakie „to” chodzi. – Przyniosę – obiecała i nim się obejrzałam, zostawiła mnie sam na sam w aucie z tą potworą!

Poczułam zbliżające się palpitacje serca. Zazwyczaj jestem groźną zabójczynią, ale obcych to się jednak boję. A ta tutaj w ogóle nie wyglądała na przyjaźnie nastawioną, więc tym bardziej zjeżyłam futerko. Chwilę siedziała bez ruchu, po czym wyjęła oprawioną w złoty kondom komórkę, postukała długim pomalowanym na czerwono paznokciem w ekran i przytknęła słuchawkę do ucha, brzęcząc o nią również złotym kolczykiem zawieszonym w uchu jak u jakiej oznakowanej krasuli.

– Adolfie! – powiedziała po chwili słodkim głosem. – Tęsknisz za mną?

Nie wyobrażałam sobie, żeby ktoś za taką heterą tęsknił. Wspomniany Adolf musiał być chyba wytrawnym kłamcą, bo Potomek-Chojarska wyglądała na usatysfakcjonowaną odpowiedzią. Albo się jej bał i ściemniał dla własnego dobra.

– To świetnie – powiedziała. – Załatwiam jedną sprawę. Ale potem zaraz do ciebie wracam – zaćwierkała.

Ja bym na miejscu wspomnianego chłopca tę wypowiedź potraktowała w charakterze groźby. Kobieta dwojga nazwisk dalej nawijała przez telefon, jednocześnie zdejmując buty. Musiały ją szkity boleć. Jeszcze chwila spędzona nad Krutynią i się orientuje, że jedynym słusznym obuwiem są tu gumowe człapaki. Wszystko inne przegrywa w przedbiegach. Uwolniła giry i... rzuciła butami w moją stronę! Kolejna! Czy to jaki nowy sport narodowy?! Tylko cudem te holcoki nie trafiły mnie w twarzoczaszkę! Łupnęły tuż obok, a ja naprędce zaczęłam obmyślać plan zemsty. Obgryzanie nie wchodziło w rachubę, bo nie chcę zostać bezzębną sierotą, która nie będzie mogła nawet porządnie chapsnąć własnej niewolnicy, gdy ta wyprowadzi ją z równowagi, gdyż gołe dźwiska nie sprawdzą się w tym zakresie. Pazury jeszcze mi dobrze nie odrosły po ostatniej barbarzyńskiej akcji pielęgnacyjnej. Pozostało więc jedno wyjście. Ustawiłam się zatem w pozycji startowej. Na pierwszy cel obrałam sobie lewy trzewik. I siknęłam jak koń na blachę. Kobieta wciąż nawijała przez smartfona, więc niczego nie zauważyła. Potem zajęłam się drugim butem. Powtórzyłam akcję. I wtedy już się zorientowała... Szarpnęła się na siedzeniu, odwróciła w moją stronę, spojrzała w me żółte oczy i... zaczęła wrzeszczeć, jakby samego belzebuba zobaczyła.

Już doprawdy bez przesady. Sama nie wyglądała dużo lepiej. Niech się więc zapozna z przysłowiem o kotle i garnku.

Babsko zakończyło rozmowę, tłumacząc się Adolfowi bełkotliwie. Przez przednią szybę dojrzałam zbliżającą się Rozalię.

– Co to?! – darła się Potomek-Chojarska, bardzo nieelegancko wskazując na mnie.

Nie dość więc, że była niewychowana, to jeszcze gamoniowata, skoro nie rozpoznawała kota.

Moja niewolnica wskoczyła do wozu, a na kolanach położyła sobie jakąś reklamówkę.

– Coś mi wskoczyło do auta! – Potomek-Chojarska wciąż podnosiła głos i dalej wystawiała palec w moim kierunku. – I nasikało do butów! – poskarżyła się.

Konfidentka.

Rozalia obejrzała się za siebie i przewróciła oczami. Widać mój spryt przestał ją już dziwić.

– To Burbur – przedstawiła mnie Ginterowa. – Moja kotka. Musiała tu za mną przyjść. Bardzo mnie kocha. – Wyciągnęła wniosek, sama nie wiem skąd. Z zadka najpewniej. Kochałam to ja Pawełka. I niech się nikomu nie wydaje, że jeszcze kogoś. Lista była krótka, jednoosobowa i zalaminowana na tak zwany ament! – Niedobry kot. – Weterynarka ośmieliła się mnie skrytykować. – Nie wolno! – bredziła.

– W zasadzie nie szkodzi – mruknęła Potomek-Chojarska. – Mam w bagażniku kilka zapasowych par. Doświadczenie – wyjaśniła, gdy obie z Rozalią popatrzyłyśmy na nią z konsternacją. – To przez takiego jednego kundla... Nieważne. Dawaj to!

Ginterowa dobyła z siatki wypchaną teczkę i podała swojej nowej znajomej.

– Gdzie on? – Potomek-Chojarska znów zadała lakoniczne pytanie.

– Mieszkają w domkach – wyjaśniła Rozalia. – Chodźmy.

No to poszłyśmy.

Siema, koleżanki i koledzy,

do Rozalii przyjechała koleżanka. Chuda, wysoka i ubrana bardzo elegancko. Nie pamiętam jednak, jak jej na imię. Spodobały mi się jej buty. A raczej pudełka, w których je trzymała. Wiem o nich, bo śledziłem Burburkę, która śledziła Rozalię, idącą na potajemne spotkanie z tą panią. Zrobiło się zamieszanie, nastąpiło otwieranie bagażnika, zmiana obuwia – i wtedy ja wszystko zaobserwowałem.

Zapałałem pragnieniem posiadania takiego pudełka. A musicie wiedzieć, że my, koty, mamy to do siebie, że się nigdy nie poddajemy. Jeśli nam coś nie wychodzi, to próbujemy do skutku. Jeśli nie drzwiami, to kominem!

Zatem ta ładna pani ma jak w banku, że się będzie musiała podzielić ze mną choćby jednym kartonikiem...

CZĘŚĆ 3

W której Burbur zachowuje się niekulturalnie, a potem bierze udział we włamie. W Osadzie trwa impreza. Paweł i Rozalia mają wyrzuty sumienia. Znana pamiętnikarka śledzi włamywacza. Wielebny Konopniak przeżywa ostrzał z otoczków. W Krutyni pojawia się znany skądinąd dziennikarzyna. Pewna prawniczka żąda wygód, a potem dopuszcza się kradzieży. Karczma przeżywa najazd Helg. Pedro zostaje uwięziony w bagażniku.

Poranek był jeszcze wczesny. Rodzina spała. Nad Krutynią unosiła się mgła. Dzikie ptaki odpoczywały w przybrzeżnym sitowiu. Trawę pokrywała rosa. Jednak w powietrzu już było czuć, że zapowiada się parny dzień.

Rozalia Ginter w pierwszej chwili była w szoku, że jej prawniczka osobiście zjawiała się na Mazurach, by pomóc w realizacji planu, który wspólnie opracowały. Jednak po namyśle uznała, że tak rzeczywiście będzie lepiej. Wsparcie się przyda.

O tej porze na kempingu wszyscy jeszcze spali, zmęczeni po nocy spędzonej nad ogniskiem z kiełbaskami, śpiewami w rytm gitary i konsumpcją napojów wysokokowych. Taki stan rzeczy działał na korzyść obu konspiratorek. Rozalia miała nadzieję, że nikt ich nie zauważy.

Potomek-Chojarska wyjęła z bagażnika nową parę szpilek, włożyła je i razem udały się w stronę domków kempingowych pamiętających jeszcze zapewne lata osiemdziesiąte zeszłego wieku. Rozalia przypomniała sobie, że była raz na koloniach nad jakimś zalewem. Mieszkali wtedy w podobnych budkach – postawionych z papendekla, o więcej niż skromnym metrażu, z przeszkloną werandką osłoniętą od środka sięgającymi podłogi zakurzonymi firanami. Obok drzwi wejściowych pokutowały kostropate ławki pomalowane jaskrawoniebieską olejną farbą, podobnie jak framugi

okienne i drzwi domków, które w efekcie wyglądały jak chatki Smerfów.

Ginter już wcześniej przeprowadziła rekonesans, więc bezbłędnie trafiła pod domek zamieszkały przez wielebnego Konopniaka.

– Podaj amunicję – nakazała jej adwokatka.

Rozalia przekazała jej wciąż ścisną w rękę reklamówkę. Prawniczka wyjęła z niej pewien przedmiot i na próbę zamierzyła się na wakacyjną siedzibę wielebnego.

Uczestnicy oazowego spływu zajmowali domki wieloosobowe. Ich przewodnik jednak korzystał z uprzywilejowanej pozycji i mieszkał w pojedynkę. Co ułatwiało sprawę. Mniej świadków.

– Na pozycję! – rozkazała prawniczka.

Rozalia schowała się więc za sąsiednim domkiem, przygotowała sprzęt, zauważając, że wciąż pod nogami płacze jej się Burbur. Jednak przeganianie kotki nie miało teraz sensu. Tylko narobiłaby zbędnego hałasu. Domek Konopniaka był położony na końcu rzędu sobie podobnych. Dalej już stała ściana drzew. To wśród nich schowała się Potomek-Chojarska. Zrobiła to zaraz po tym, gdy rzuciła otoczakiem w okno domku wielebnego. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Rozalia wcisnęła w smartfonie przycisk nagrywania. A już po chwili z kempingu dobiegło szuranie i ciąg wyrażen doprawdy mało cenzuralnych. Potem zaskrzypiały zawiasy i na ganku stanął wielebny we własnej osobie. A także w piżamowych gaciach i T-shircie z logo hotelu Na Wodzie, jak ze zdziwieniem zauważyła Ginterowa.

– Co, do kurwy nędzy?! – wypowiedział się duchowny.

Rozglądał się wokół siebie. Nie miał pojęcia, skąd padł strzał. Odwrócił się plecami do lasu i wtedy Potomek-Chojarska znów uderzyła. Chrząst poniósł się echem. Wielebny odskoczył na bezpieczną odległość. Znów zajęło mu chwilę, by się zorientować, co się właśnie wydarzyło. Po czym pognał pędem do domku. Tam zapewne odkrył kolejny kamień na wykładzinie, prędko więc przydyrdał z powrotem na dwór.

– Zabiję! – wrzasnął, wygrażając pięścią.

Miotał się, sam nie wiedząc, w którą stronę się udać ze składaniem pretensji. Adwokatka wykorzystała kolejny moment nieuwagi swojej ofiary i wystrzeliła trzeci pocisk. Na to Konopniak dostał już prawdziwego szału. Pluł jadem, rwał włosy z głowy, szarpał swoją koszulkę na dobrze odżywionym torsie. Wyzywał przy tym nieznanym adwersarzy od szatanów, belzebubów i pomiotów piekielnych. Wreszcie odsapnął nieco i podjął decyzję. Podciągnął spodnie niemal po pachy i pognął w kierunku budynku, w którym rezydował kierownik obiektu.

Na to tylko czekała Rozalia. Z rozmysłem wybrały tak nieludzką porę na swoją akcję. W ciągu dnia Konopniak ciągle kręcił się w pobliżu, a teraz element zaskoczenia i zaspanie księdza działały na ich korzyść. Ginterowa wyszła z ukrycia i szybkim krokiem podążyła w kierunku domku wielebnego. Nie miała wiele czasu. Znalazła się w środku dusznego, zalatującego stęchlizną, potem i... marihuaną (?!) domku kempingowego. Zaraz za jej plecami stanęła Potomek-Chojarska. Przyjrzały się wnętrzu z obrzydzeniem. Łóżko z rozbebeszoną pościelą, części brudnej garderoby na podłodze, a na stoliku resztki nadpsutego żarcia.

– No jeszcze tu tylko nasrać na środku. – Prawniczka rzuciła komentarzem typowym dla matki zaglądalej do pokoju nastoletniego dziecka. – Teraz by się tu przydał ten twój kot – zwróciła się do Rozalii.

A Burbur i owszem weszła do środka, jednak widząc pobojowisko, szybko wycofała się na ganek.

– Prędko! – Potomek-Chojarska pogoniła Ginterową.

Ta wyjęła z kieszeni gumowe rękawiczki, nałożyła je na dłonie, po czym podniosła materac w łóżku Konopniaka i umieściła pod nim część materiałów wydobytych z teczki. Następnie namierzyła torbę podróżną, której ksiądz do końca nie rozpakował, i na jej dno wetknęła resztę wydruków.

W tym momencie z ganku dobiegło ich głośne, alarmujące: „A-uuu! A-uuu!”.

– Burbur ostrzega – szepnęła Rozalia. – Chodu!

Kobiety wymknęły się chyłkiem z domku i zniknęły w pobliskim lesie.

Za nimi podążyła biała kotka. Nieśpiesznie. Z wysoko uniesionym szarym, przegowanym ogonem.



– Widział nas?! – dopytywała zasapana Rozalia. – Myślisz, że nas zauważył?

– Wyluzuj – pouczyła ją Potomek-Chojarska i wreszcie przystanęła. Ginterowa z podziwem obserwowała jeszcze przed chwilą, jak pani adwokat sady metrowe susy na swoich szcudłach, ani razu się nie potykając czy chwiejąc. Miała wprawę. To, co zrobiły, z pewnością odbiegało od litery prawa na długie kilometry. Rozalia jednak nie zamierzała się przejmować przestrzeganiem zasad. Miała wyższy cel. A jego osiągnięcie uświęcały środki. Tyle w temacie.

Wracały na kemping poboczem ulicy. Rozalia wzięła na ręce syczącą z wściekłości Burburkę w obawie, że kotka się spłoszy i wpadnie pod jakiś przejeżdżający samochód. Na przykład ten, który właśnie śmignął obok nich ze stanowczo nieprzepisową prędkością, jeśli już były przy temacie obowiązującego prawa. Na mijanej latarni Ginter zauważyła kilka identycznych plakatów zachęcających do wyjazdu do pracy w Szwecji. Chętni powinni się kontaktować z Dobromirem Żukowskim.

Kiedy już skręcały na pole namiotowe, Rozalię ogarnęły nagłe wątpliwości. Czy jej się zdawało, czy skądś znała auto? To, które je przed chwilą minęło... Musiało jej się jednak wydawać. Nadmiar emocji wpłynął niekorzystnie na jej zazwyczaj trzeźwe postrzeganie rzeczywistości.

– Dobra, to jeszcze telefon – zapowiedziała Potomek-Chojarska. I wyjęła smartfon. – Ukryj numer – wymamrotała do siebie, wybierając tę funkcję w aparacie. Po czym stuknęła w jakiś kontakt z zapisanej na urządzeniu listy i odczekała chwilę. – Halo! – zaskrzeczała zmienionym głosem. – Redaktor Szpon? Dzwonię z szokującą informacją. „Bez Ściemy” powinno być zainteresowane! Co? – Na chwilę straciła rezon. – Nie dopytuj się pan, kto mówi, tylko słuchaj. – Szybko go jednak odzyskała. – Nie, nic za to nie chcę! – Znow się zezłościła. – Dzwonię z poczucia obywatelskiego obowiązku. No to teraz zamknij pan jadaczkę i rejestruj! – zażądała i opowiedziała Olkowi Szponowi, znanej w całym już kraju żurnalistycznej hienie, przygotowaną wcześniej bajeczkę, która stanowiła istotny element ich planu. – No, a teraz idę podzwonić za miejscem w hotelu – powiedziała, gdy się już rozłączyła. – Widzimy się później.

Rozalia pokiwała tylko głową i dotarła do swojego namiotu.

– Mamo, gdzie byłaś?! – przywitała ją Hania z pretensją w głosie. Pomyślałby kto, że córka tak się za nią stęskniła. – Co na śniadanie? – Szybko rozwiązała ewentualne wątpliwości co do swoich intencji.

– Już robię – odparła Ginterowa i zabrała się do przygotowywania posiłku dla całej rodziny.

Paweł wrócił właśnie z porannego prysznica i pomógł jej odpalić turystyczną kuchenkę gazową, na której zagotowała jajka. Czajnik pstryknął, zgłaszając gotowość dostarczenia wrzątku na kawę i herbatę. Ginterowie wykupili dostęp do prądu i dostali przedłużacz do swojej dyspozycji, mogli więc szaleć z napojami. Burbur i Pedro na wyścigi wylizywały ze swoich misek krewetki w tuńczyku. Kocurkowi konsumpcja poszła szybciej, więc zaczął zaglądać do talerza matki, lecz natychmiast został przegoniony. Burbur warczała groźniej niż niejeden pies. Dziewczynki kłóciły się o jakiegoś rapera, który obecnie był ich największym idolem. Rozalia zupełnie nie rozumiała tej fascynacji kolesiem, który nosił spodnie zwisające w kroku i sugerujące, że ich właściciel nie zdążył w porę do toalety. A do tego to jego całe śpiewanie sprowadzało się do wykrzykiwania

częstochowskich rymów (z niezbyt poprawną dykcją) oraz postękiwania w odmierzonych odstępach czasu. Jednak co pokolenie, to inne bożyszczka.

Rozalia rejestrowała te wszystkie drobne, codzienne zdarzenia mimochodem. Wykonywała też czynności kuchenno-kulinarne niejako z automatu. Cały czas jej głowę zajmowała jedna myśl.

Skąd, u licha, znała ten samochód?!



Osiemnaście miesięcy wcześniej, Osada

Nikola Wójcik siedziała przy kuchennym stole i malowała paznokcie na czerwono. Zamówiła sobie cały ten zestaw na Blocket: lakier, podkład, utwardzacz, a do tego pilniczki, także te polerujące, i była bardzo zadowolona. Manicure wyglądał prawie jak hybrydy zrobione w salonie.

Tego dnia miała wolne. Wieczorem wybierali się z Mateuszem na imprezę, którą organizowano w świetlicy pracowniczej. Mieli przyjść wszyscy mieszkańcy Osady. Polska muzyka, jedzenie i alkohol. Już nie mogła się doczekać. Zdawało jej się, że powoli zaczyna wariować w tym leśnym odosobnieniu. Zderzenie marzeń z rzeczywistością okazało się prawdziwą kraksą.

Wyprasowana kreacja wisiała na drzwiach szafy. Odkąd tu przyjechali, jeszcze nie miała okazji jej włożyć. Kufaje, swetry, ciepłe rajstopy – to był jej codzienny outfit. Cieszyła się na tę miłą odmianę. Swoje długie włosy zakręciła na papiloty, na twarz zaś nałożyła maseczkę.

Mateusz powinien już wrócić ze swojej zmiany. Wybrała dla niego koszulę, taką śmieszna, kolorową, w print z małych ananasów. Tymczasem on się spóźnił.

Spojrzała przez ozdobione zazdrostką w niebieską kratkę okno. Śnieg sypał wielkimi płatami. Zacinał z ukosa. Zadrzała. Powinna dorzucić drewna do stojącej w kuchni kozy, ale teraz groziło to

zniszczeniem manicure'u. Zamachała dłońmi z rozcapierzonymi palcami, żeby przyśpieszyć schnięcie lakieru. Wreszcie trzasnęły drzwi wejściowe i w progu stanął Mateusz. Przytargał na fińskich sankach trochę drewna do kominka. Przez ostatnie dni napadało mnóstwo śniegu. Nie nadążali z odgarnianiem. Wokół domu ciężko się było poruszać na piechotę. Dlatego świetnie się sprawdzał ten dziwny pojazd przypominający skrzyżowanie chodzika dla niedołączonych starców z hulajnogą na płozach. Mateusz początkowo wstydził się go używać, ale po paru spektakularnych upadkach w zasy docenił sprzęt. Do pracy zaś często jeździł na biegówkach. Okazywały się najwłaściwszym środkiem transportu w takich warunkach pogodowych.

– Kochanie, wróciłem! – zawołał. Niczym bohater jakiejś amerykańskiej telenoweli. – Przyszedł do ciebie list.

Wszedł do kuchni, pocałował ją w policzek i położył przed nią białą kopertę oklejoną znaczkami o kilkudziesięciogroszowych nominałach.

– Z domu – zauważyła, przyglądając się pieczętce.

Rozerwała papier i wyjęła kartkę w kratkę nierówno wyrwaną z zeszytu i zapisaną tanim, rozmazującym się długopisem.

– Od Vani – powiedziała, zerkając na podpis. – Dziwne, maila nie mogła napisać?

Potem, gdy po raz setny zastanawiała się nad listem siostry, doszła do wniosku, że Vanessa musiała wybrać taką staromodną formę korespondencji z jednego powodu. Chciała jej bardziej dopiec. Mail czy esemes można przeoczyć albo przeczytać pobieżnie, zignorować. Jednak słowa wyryte atramentem na papierze są bardziej osobiste, dosadne. Potrafią mocniej zranić.

– Kochanie! – Dopiero po chwili dotarł do niej jakby z oddali głos Mateusza. – Pytałem, czy tak może być. – Obrócił się dookoła własnej osi już przebrany w wyjściowy strój.

– Co? – Była rozkojarzona. – Nie. Znaczy, tak. Przepraszam.

Mateusz usiadł obok. Podała mu kartkę.

– Niki – czytał na głos. – *Nie wiem, czy mnie jeszcze pamiętasz, swoją siostrę wieśniaczkę, jak zapewne postrzegasz mnie z perspektywy swojej wielkiej zagranicy. Piszę, żeby ci pogratulować wyjazdu do Szwecji. Trzeba było odwagi, by tak spakować całe swoje życie do jednej walizki i wyjechać na kraniec Europy. I to jeszcze z chłopakiem, który wcale nie jest twoim mężem. Ba! Nawet nie poprosił cię o rękę, pewna więc być nie możesz, czy nie pozna tam jakiejś długowłosej blondynki i cię dla niej nie porzuci. Swoją drogą ciekawe, dlaczego jeszcze nie klęknął na jedno kolano? Wiem, że udajesz nowoczesną i twierdzisz, że niepotrzebne ci żadne zobowiązania czy papierki potwierdzające trwałość związku, ale musisz przyznać przynajmniej sama przed sobą, że w głębi duszy marzysz o ślubie. Mnie nie oszukasz* – przeczytał Mateusz i popatrzył na ukochaną badawczo. – Skąd... – zaczął i szybko urwał. – Bo ja... Bo ja planowałem... Ale jeszcze... – jąkał się.

– Daj spokój – mruknęła Niki.

I na próbę postukała pomalowanym paznokciem w blat stołu. Lakier chyba już porządnie wysechł. Sięgnęła więc po sukienkę, by się przebrać, a chłopak wrócił do listu.

– *Nie zimno ci tam?* – czytał Mateusz. – *Nie popadasz w depresję?* – Ja pierniczę – stęknął. – *U nas wszystko w porządku, jeśli cię to interesuje. Wprawdzie rodzice już nie są najmłodszy, ale jakoś dają radę. Na szczęście zostałam im ja, skoro ukochana córeczka ich opuściła. Czekają, aż nas odwiedzisz. Jednak rozumiem, że nie masz na to czasu i szkoda ci pieniędzy. Loty nie są tanie. Stary Żukowski chwalił się, jak wam tam dobrze. Jaką świetną fuchę wam załatwił. Pamiętaj, że mnie możesz powiedzieć prawdę. Mnie nie oszukasz. No nic, kończę już, bo niektórzy muszą się zaopiekować matką... Uściski! Vani* – zakończył recytację. – Moim zdaniem – odezwał się po kilku minutach milczenia – ją zżera zazdrość. Nie powinnaś się przejmować.

– I się nie przejmuję – zapewniła Nikola. Jednak wcale nie była o tym przekonana.

Dopiero gdy już byli na imprezie, wokół panował gwar, dudniła muzyka, znajomi się przekrzykiwali, opowiadając sobie anegdotki z pracy, do Wójcikówny zaczął docierać sens listu Vanessy.

Siostra jej nienawidziła.



Na imprezie zjawilo się więcej ludzi, niż się spodziewała. Oprócz mieszkańców ich Osady – samych Polaków – przyszli też tubylcy z sąsiednich wiosek. U nich na Mazurach często jedna miejscowość była oddalona od drugiej o długie kilometry, odgradzona lasami czy jeziorami, jednak tu te dystanse wydawały się jeszcze bardziej nieskończone. To nie stanowiło problemu dla grupki Szwedów, których znajomi drwale zaprosili na przyjęcie. Zapakowali się w samochody terenowe i przyjechali do Osady. Robili wokół siebie sporo hałasu. A gdy spróbowali polskiej wódki, którą ostatnio Tomek przywiózł z wizyty w domu rodzinnym, to już w ogóle zaczęła im odbijać palma.

Faceci dobrali się w pary, puścili z komputera jakąś rzewną muzykę ludową wygrywaną na skrzypcach, po czym w każdej dwójce jeden mężczyzna się schylił i... włożył głowę między nogi swojego partnera. Ten złapał go za tyłek, podniósł i przesunął się z dyndającym w powietrzu kolesiem pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Następnie ten z głową wetkniętą w krocze kolegi unosił się z funflem przewieszonym sobie przez plecy. I cała konfiguracja powtarzała się raz po raz. Nikola przyglądała się tym wygibasom z uniesionymi brwiami.

– *Björndans* – krzyknął jej do ucha jeden z nielicznych Szwedów, którzy nie przyłączyli się do dziwnych podrygów. – Taniec niedźwiedzi – wyjaśnił, przechodząc płynnie na angielski.

Nikola naprawdę nie wiedziała, co ma na to odpowiedzieć. Uśmiechnęła się tylko niepewnie.

– Olof – przedstawił się chłopak i wyciągnął do niej w geście powitalnym dłoń wielkości chlebowego bochna. – Olof Molin.

– Nikola – odwzajemniła się. – Nikola Wójcik. – Roześmiała się.

To był ten kierowca starego Erikssona. Chyba po raz pierwszy usłyszała jego głos. Dotąd był milczący. No i dzisiaj nie żuł tego wstrętnego snusu. Szwed mimo swojej postury Hagrida – tyle że całkiem przystojnego – wyglądał sympatycznie i jakoś tak niegroźnie. Miał jak nic ze dwa metry, szerokie bary, potężne kończyny, a buty pewnie szły na wymiar. Nosił brodę, a na czoło opadała mu blond grzywka. Policzki – przymrożone zimową aurą – czerwieniały. Uśmiechał się do niej, prezentując rząd śnieżnobiałych zębów.

– Miło mi cię poznać, Nikolo. Nikolo Wójcik – przedrzeźnił ją.

– Nie przyłączysz się? – zakpiła Niki i kiwnęła głową w stronę spoconych już, umęczonych jak po dniówce w lesie i czerwonych na obliczach „niedźwiedzi”.

Mężczyzna pokręcił tylko głową i zagryzł mięsiste wargi.

– Zatańczymy? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, porwał Wójcikównę na parkiet.

Na szczęście dziwaczny utwór dobiegł już końca, a zastąpiła go Lady Gaga wyśpiewująca o pokerowej twarzy. W zasadzie cały taniec przegadali. Olof nachylał się nad nią i pytał o życie w Polsce. Doszły go słuchy od kolegów, którzy zapuścili się w te niezbadane południowe rejony i wrócili ukontentowani, że w tym kraju jest niezwykle tanio, kobiety są piękne, alkohole kopią odpowiednio i nikt ich nie reglamentuje. Krótko mówiąc, można się dobrze zabawić. Niki potwierdziła, że w rzeczy samej tak właśnie jest. Zwłaszcza jeśli w kieszeni ma się szwedzką wypłatę. A potem kątem oka zobaczyła, że na sali pojawił się Mateusz, dotąd rozmawiający w pomieszczeniu kuchennym ze swoimi współpracownikami. Świdrował ich wzrokiem. Zakończyła się piosenka, więc pociągnęła Olofa do Mateusza i przedstawiła ich sobie. Orzeł nie wyglądał na uradowanego. Czyżby był zazdrosny? Już bez przesady! Nie dość, że siostra ją dzisiaj tak zdenerwowała, to jeszcze chłopak strzelał fochy. Nic złego nie

zrobiła. Odwróciła się na pięcie i podeszła do stołu zastawionego kanapkami, smażonymi rybami – połów z przerębla – koreczkami i muffinkami – niezbyt wykwintne menu, ale każdemu smakowało. Potem miał być jeszcze podany gar bigosu na rozgrzewkę. Wgryzła się w kanapkę z polędwicą. Kapka majonezu spadła jej na dekolt. Chwyciła szybko serwetkę, żeby wytrzeć plamę, ale oczywiście tłusty ślad pozostał.

Niki miała dosyć. Poszła po kurtkę i nie mówiąc nikomu, wróciła do chaty.

W samą porę.

Jakiś kwadrans później usłyszała oburzone głosy dobiegające z dworu. Okazało się, że to sam Eriksson przyjechał rozgonić towarzystwo. Uczestnicy imprezy usłyszeli wykład o marnowaniu prądu, braku odpowiedzialności. Padły też groźby o potrąceniach z pensji...

Nikola odłożyła upaprana sukienkę do prania i poszła do łóżka. Sen jednak jeszcze długo nie nadchodził.



Teraz, Krutyń

Rozalia Ginter siedziała na werandzie karczmy i stukała papierową słomką w brzeg szklanki, z której już dawno zniknął sok porzeczkowy z lodem. Z każdym ruchem czuła coraz większe obrzydzenie. Ekologia ekologią, ale to rozmemłane świństwo nie nadawało się do niczego. Co plastik, to plastik. Szklanych rurek – wymysłu ostatnich lat – też nie tolerowała, bo nikt jej nie przekona, że były odpowiednio czyszczone.

Wstręt! To było to, co teraz czuła. Głównie jednak do siebie samej. Przez całe swoje życie była poukładaną, zrównoważoną osobą. Być może aż nazbyt. I całkiem możliwe, że ta przesada i nadgorliwość zemściły się i teraz Rozalia robiła rzeczy, które wcześniej nawet by się jej nie przyśniły. Wystarczy wspomnieć spowodowanie

śmiertelnego wypadku, ukrycie ciała teściowej (wprawdzie wrednej baby, ale jednak...), współpraca z lokalną mafią, współudział w kolejnym wypadku, w którym utopiła się jej pracownica (wprawdzie kochanka jej męża, ale wciąż...). Także zatuszowanie tego zdarzenia. A teraz podkładanie świni proboszczowi (wprawdzie wieprzowi, ale mimo wszystko...).

Czy naprawdę przeobraziła się w potwora? Ale przecież miała dobre intencje! Robiła to dla rodziny! Poprzysięgła sobie, że uczyni wszystko, by nie stracić bliskich. I trzymała się tego postanowienia. Czasem jednak, jak teraz, dopadały ją wątpliwości.

– Jeszcze jeden – złożyła zamówienie u snującej się po knajpie Vanessy.

Pozginała rurkę i włożyła ją do szklanej popielniczki ułożonej na środku zielonego blatu.



Paweł Ginter siedział za kierownicą radiowozu, który przydzieliła mu miejscowa policja, i stukał w deskę rozdzielczą długopisem. Lewą ręką odkręcił korbkę w drzwiach i uchylił okno. Klimatyzacja w tym bolidzie nie działała, musiał więc liczyć na przeciąg. Tereny Krutyni nie były mu obce. W końcu pochodził z Tałt, niedaleko stąd. Pamiętał, gdy w dzieciństwie przyjeżdżali tu czasem w wakacje, by popływać kajakami. Rzeka ze swoim nurtem stanowiła atrakcję przy nudnym jeziorze Tałty czy Mikołajskim. Teraz jednak odebrano mu możliwość cieszenia się urokami natury. Musiał znaleźć mordercę Nikoli Wójcik.

Rozalia przyjęła wiadomość o jego błyskawicznym zatrudnieniu wyjątkowo dobrze. Pewnie wciąż była na niego zła, choć zapewniała, że już mu wybaczyła zdradę. Paweł sam siebie jeszcze nie rozgrzeszył z tego skoku w bok. A do tego gryzło go sumienie z powodu... morderstwa? Nieszczęśliwego wypadku raczej. Ilona zniknęła w odmętach wód jeziora Tałty, a on niespecjalnie się rwał, by ją wyławiać. To Rozalia – wbrew pozorom – naciskała na niego, by

rzucił się dziewczynie na ratunek. Jednak nic z tego koniec końców nie wyszło. A oni zatuszowali sprawę.

Jak wciąż mógł być policjantem?

Wolał nie szukać odpowiedzi na to pytanie. Przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył przed siebie. Musiał jeszcze raz dokładnie obejrzeć miejsce zdarzenia. Technicy kryminalistyczni wstępnie twierdzili, że morderca najpierw uderzył Nikolę w głowę czymś ciężkim, a potem zepchnął jej ciało z drewnianego tarasu Baru przy Młynie wprost w nurt Krutyni. Ekipa znalazła ślady na barierce okalającej taras. Ciało wpadło do wody, która poniosła je jeszcze kilkadziesiąt metrów. Potem zatrzymało się na mieliźnie. A następnie trafiła na nie Rozalia.

Paweł Ginter czuł, że czeka go interesujące śledztwo.



Drogi pamiętniczku,

siedziałam sobie przed namiotem i brzdękałam pazurem w podtrzymującą go linkę. Miałam nadzieję, że wreszcie sznurek się zerwie i zwali wszystkim na łby. Robiłam to z nudów, a nie z czystej złośliwości, jak pewnie pomyślałaby większość postronnych obserwatorów. A ja po prostu nie miałam co ze sobą począć. Rozalia porzuciła mnie i poszła do tej usmarkanej karczmy, do której wolałabym za często nie wracać po tym, jak próbowali mnie tam ugotować żywcem. Czy ja komu wyglądam na jakiego durnego homara, żeby mnie poddawać niehumanitarnej obróbce termicznej? Przypuszczam, że nie sądzę...

Mój ukochany Pawełek pogłaskał mnie po brzuszku (jemu jedyne mu pozwalałam na taki stopień poufałości – każdy inny śmiałek po podobnym wyczynie łądował zazwyczaj na OIOM-ie) i powiedział, że musi iść do pracy. Znowu uganiał się za jakimś mordercą.

Patyczaki wbiły się w skąpe bikini i polazły się opalać. Gdybym była ich matką, to spralabym je po dupie za tak nieobyczajne zachowanie. Ale nie byłam. Na szczęście. Jedyne, którego wydałam na świat i wciąż musiałam pilnować, był Pedro. A on świętek piątek chodził w swoim futrze, więc przynajmniej tego typu etycznych zmartwień mi nie przysparzał. Teraz zaś spał w namiocie i nie zamierzał uatrakcyjnić mi tego popołudnia. Nawet próbowałam go jakoś rozruszać, waląc łapą w jego dekiel, ale namruczał tylko na mnie i dalej uderzał w kimono. Skaranie. Żaden z moich towarzyszy podróży się mną nie interesował. No ŻODYN!

Zatem postanowiłam poszukać sobie rozrywki na własną łapę. Długo nie musiałam się namyślać, co by tu zmalować, bo okazja sama napatoczyła mi się przed mój słodki pomarańczowy nosek. Otóż na teren kempingu wdarł się jakiś samochodowy zdechlak, a następnie z jego wnętrza wyskoczył wysoki, chudy

i przylizany lalúś. Wyjął z tylnego siedzenia torbę z aparatem – nie byle jakim, bo takim z długą lufą obiektywu. Przewiesił sobie toto przez ramię. Na nos założył ciemne okulary. Podciągnął niemal pod pachy szorty z widocznym zapewne nawet z kosmosu logo firmy produkującej sportową odzież. I ruszył w obchód.

Od wstępu śmierdział mi sensacją, więc podążyłam za nim. Wydawało mi się też, że gdzieś już widziałam tę wypacykowaną mordę, ale niestety moja pamięć jest dobra, choć krótka. Podejrzany kręcił się a to trochę w prawo, a to nieco w lewo, aż wreszcie obrał sobie za cel tę część stancy, na której stały domki kempingowe. Ledwie nadażyłam za tym wielkoludem na moich krótkich i krzywych nóżkach. Sapałam ciężko, wydając przez swoją równie krzywą przegrodę nosową chrapnięcia. Z trudem próbowałam łapać oddech. Dlatego też doprowadziłam do kraksy drogowej! Nie zauważyłam mianowicie, że ten z aparatem nagle się zatrzymał, i przydzwoniłam w jego tydkę.

– lii! – pisnął jak podszczypywana panienska i podskoczył w przestrachu.

Nabrałam do niego odrobiny respektu. Wszak każdy rozsądny człowiek się mnie boi. Ten nie mógł więc być skończonym gamoniem.

– A kysz! – rzekł rzeczony. I pomachał w moim kierunku łapskiem, jakby przeganiał jakąś osraną kurę z podwórka. – Poszedł, Filemon! – dodał.

Cofam wszystko to, co powiedziałam kilka linijek wcześniej. Toż to był kretyn pierwszej wody! Żeby mnie przepędzić! Mnie! To trzeba mieć głodującego mózgojada w czaszce. Każda zniewaga, jak wiadomo, krwi wymaga, zatem i tym razem nie było wyjątku. Wybiłam się z moich jednak do czegoś przydatnych tylnych kangurów, a przednimi – uzbrojonymi w odrastający manikiur – wbiłam się dziadowi w udo.

– Ajajaj! – przemówił.

Bogate słownictwo miał, nie ma co. Zeskoczyłam z tego ułoma zupełnie rozczarowana. To nie był godny mnie przeciwnik. Przysiadłam na zadku parę metrów od niego. Pobiadolił jeszcze chwilę. Pomasował się po pokiereszowanej nodze. Po czym przystąpił do najwyraźniej wcześniej już zaplanowanych działań. Przeszedł się po pustym o tej porze kempingu – te religijne świry z wielebnym Konopniakiem na czele wybyły już na wycieczkę. Podśluchiwałam, gdy się zbierali z rana i dzięki temu godnemu asów wywiadu nasłuchowi teraz wiedziałam, że pojechali zwiedzać okoliczne kościoły. Które konkretnie, nie ustaliłam, bo temat mnie znudził u zarania. W każdym razie nie należało się ich prędko spodziewać, bo tych świątyń było w okolicy od groma i jeszcze trochę, więc Konopniak będzie tę biedną młodzież maltretował zapewne do wieczoru. Swoją drogą powinnam wystąpić z petycją do Rozalii, by także patyczaki przyłączyły się do tej grupy. Może walnięty księżulo nauczyłby je nieco dyscypliny, bo osobiści rodzice przegrywali w tej konkurencji już na starcie. Ja bym im chętnie dała do wiwatu, ale mi się nie chciało.

A tak na marginesie, to Rozalia i Potomek-Chojarska mogły teraz, skoro droga była wolna, przeprowadzić włam, a nie się (i mnie!) narażać na niebezpieczeństwo po nocy. Zero logiki!

Zamyśliłam się i dopiero po chwili zauważyłam, że ten z aparatem grzebie przy zamku u drzwi domku wielebnego. Oho! Kolejny! Zawyłabym na alarm, ale – tak, tak,

zgadliście – nie chciało mi się. Byłam też ciekawa, co on tam kombinuje, więc zamiast niepotrzebnie nadwyręzać struny głosowe, podążyłam jego śladem.

Pierwsze, co zauważyłam po przekroczeniu progu, to chlew. Być może jestem przewrażliwiona, w końcu mieszkam pod jednym dachem z Rozalią Ginter, perfekcyjną panią domu, ale ten tutaj jednak przesadził. W dziennym świetle wyglądało to jeszcze gorzej niż w nocy. Smród stęchlizny, potu i brudu uderzył w moje nozdrza. Myślałam, że zemdleję. Postąpiłam jeszcze kilka kroków i ujrzałam zatykającego sobie gębę i kichol włamywacza kierującego się prosto w stronę barłogu, na którym musiał sypiać Konopniak. Facet podniósł materac i wy dobył spod niego... teczkę. Ją też już chyba gdzieś widziałam...

Coś mi się wydaje, że powinnam zacząć jeść orzechy włoskie, inaczej groził mi ten cały Alzheimer.

Śledzony wyjął aparat z etui i robił zdjęcia jak pomyłony. Wystarczyło wyjść przed tę budę, a znalazłby tam o wiele ładniejsze widoki. Ale ten nie, uparł się i tu focił. Dwunożnych nie zrozumiesz.

Capnął teczkę, schował ją do etui, aparat zawiesił na szyi i zaśmiał się jak jaki Gargamel. Już, już miał robić w tył zwrot, gdy dojrzał mnie stojącą w progu. Z dumą stwierdzam, że dostrzegłam w jego oczach przerażenie.

Cienias.

Ponieważ nie mam żadnej przyjemności w starciach z takimi słabeuszami, po prostu się wycofałam, prychając na typa z pogardą. Wskoczyłam na ławkę ustawioną przed domkiem. Kątem oka dostrzegłam jakiś ruch w pobliskim lasku. Wyłupiłam oczy w tamtym kierunku.

Głowy nie dam, ale całkiem możliwe, że ujrzałam tę prawniczką dziunię dwojga nazwisk. Co jednak taka damulka miałaby robić w lesie? Tego dociekać nie miałam ochoty.

Siema, koleżanki i koledzy,

zastanawiam się, czy nie wystosować oficjalnego pisma do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Muszę im naskarżyć na mamonia, który stosuje wobec mnie nieuzasadnioną przemoc! Ja tu sobie spokojnie śpię, a własna rodzona matka napada na mnie i wali po pysku! Jeszcze mi wąsa wykrzywi i nie będę wyglądał już jak Herkules Poirot. Wprawdzie nie mam pojęcia, kto zacz, ale nazywa się całkiem spoko. Rozalia mi powiedziała, że jestem do niego podobny właśnie dzięki białemu wąsowi na tle czarnej facjaty.

W każdym razie uznałem, że najlepszym sposobem na powściągnięcie przemocowych zapędów mamusi będzie jej ignorowanie. Zemszczę się potem, gdy się tego będzie najmniej spodziewała. Naskoczę jej na łeb! Ot co!



Rozalia Ginter ujrzała go z daleka. Tę żurnalistyczną gnidę. Najchętniej utopiłaby Olka Szpona w wodach Krutyni, jednak Potomek-Chojarska się upierała, że dziennikarz pracujący dla brukowca najlepiej się przysłuży ich sprawie.

Ponieważ w okolicy nie było zbyt dużego wyboru, jeśli chodzi o punkty gastronomiczne, mogła założyć, że Szpon po dobrze wykonanej robocie przyjdzie się posilić właśnie tu. Wolałaby, żeby jej nie rozpoznał. Nasunęła na nos ciemne okulary. Zasłoniły jej pół twarzy. Na głowę założyła wyjęty z torebki i na szybko rozprostowany słomkowy kapelusz z szerokim rondem. Powinno wystarczyć.

Szpon zbliżał się wielkimi krokami, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony. Wlazł na werandę, zasiadł dwa stoliki od Rozalii i pstryknął na Vanesę.

– Piwa! – zażądał. – Jakiegoś lokalnego! Duży kufel! – wydawał polecenia. – Raz, raz!

Rozalia miała nadzieję, że kelnerka ochrzci mu browara. Sama by tak zrobiła. Vanessa zniknęła w barze, a Ginterowa ujrzała kolejną znajomą postać. Potomek-Chojarska bieżyła chwiejnym krokiem w kierunku karczmy. Wyglądała jakoś dziwnie... Włosy miała w nieładzie, okulary słoneczne przekrzywione na nosie, ubranie zmiętolone i wyraźnie znać było, że coś ją boli. Wybrała główne wejście, obojętnie mijając werandę. Po chwili do Rozalii dobiegł znajomy, nieznoszący sprzeciwu głos.

– Ależ musi się coś znaleźć! – darła się adwokatka. – Albo pana pozwę! Wybieraj pan!

Rozalia ostrożnie wstała zza stołu i wymknęła się do wnętrza budynku. Musiała się dowiedzieć, o co ta awantura.

– Moja kancelaria Potomek-Chojarska i Synowie rozniesie pana na strzępy, jeśli nie znajdziesz pan dla mnie wolnego pokoju! – perorowała prawniczka, pokładając się na barze.

Za ladą stał znękany Filip Orzeł. Widać było, że nie ma pojęcia, jak się bronić.

– Oszalałaś? – interweniowała Rozalia.

– To ty! – Adwokat spojrzała na Ginterową, a ta dopiero teraz zauważyła, że znajoma ma przekrwione oczy i wory pod nimi. Ewidentnie się nie wyspała. – Ty sobie wyobrażasz, że on mi odmawia wynajęcia pokoju?! – Wskazała drżącą dłonią na teraz już nie na żarty przerażonego Orła. – A ja dłużej w tym namiocie nie wytrzymam! – Głos jej się załamał. – Nigdzie! Nigdzie nie ma wolnych miejsc! Objeździłam całą okolicę! – zapewniła. – Pozostał mi albo namiot, albo samochód. Pomyślałam, że jednak wygodniejszy namiot. Choć ostatnio spałam pod nim chyba w przedszkolu. Poszłam więc i kupiłam to badziewie. I teraz mam za swoje! – gardłowała. – Przecież to nie są warunki dla ludzi! Co ja jestem? Jakaś nastolatka na zielonej szkole?! Ja jestem Potomek-Chojarska, do jasnej cholery!

– Ciiiicho. – Rozalia próbowała uspokoić prawniczkę i poklepała ją po ramieniu.

Jednak było już za późno. Wrzaski dobiegły do Olka Szpona, który usłyszawszy znajomy głos, przycwałował do baru.

– Nie wierzę! – wydarł się i wskazał palcem na Potomek-Chojarską. – To niemożliwe! Po co ty tu?! – chciał wiedzieć.

– Och, odczep się, Szpon, bo ciebie też pozwę – zagroziła mu adwokatka.

Okręciła się na obcasie. Potknęła. Zaklęła. I oddaliła w sobie tylko znanym kierunku.

– Ciebie też już gdzieś widziałem... – odezwał się żurnalista, łypiąc okiem na wciąż zakamuflowaną Rozalię.

„Cóż za spostrzegawczość”, pomyślała Ginterowa.

I poszła w ślady swojej prawniczki.

Olek Szpon został przy barze z rozdziawioną gębą. Zamknął ją czym prędzej, gdy zobaczył, kto przekracza próg restauracji.



Paweł Ginter od razu rozpoznał tego gnojka. Ostatnio nieźle zaszedł całym Mikołajkom za skórę. Tylko co robił w Krutyni? Podobno pochodził ze Śląska, w żadnej więc mierze nie był to jego rejon zawodowych poczynań. Czyżby spodobały mu się Mazury i, nie daj Boże, kupił sobie w pobliżu domek? Ale przecież to nie byłoby raczej możliwe z dziennikarskiej pensji!

– Co tu robisz? – spytał wprost żurnalistę.

Podszedł do mężczyzny blisko, niemal nadeptując mu na czubek buta. Komisarz dorównywał mu wzrostem i bujnością włosów. Jednak w odróżnieniu od Szpona nie ładował sobie co rano na głowę połowy opakowania żelu do modelacji fryzury.

– A kto pyta? – odpyskował Olek.

– Sklerozę masz? – poinformował się policjant.

– To nie twój rejon – dukał Szpon, niejako powtarzając wcześniejsze myśli oponenta.

– Czyli mnie jednak pamiętasz. – Komisarz Ginter uśmiechnął się dość nieprzyjemnie. – Po cholere tu przyjechałeś?

– Pracuję! – zapiszczał dziennikarz. – Poza tym tajemnica służbowa!

– Służbowa! – prychnął Ginter i bez słowa zostawił gogusia samemu sobie.

Przybył tu w innym celu. Po obejrzeniu po raz kolejny miejsca zbrodni kontynuował rozpytywanie osób powiązanych z ofiarą. Przyszedł znów czas na siostrę Nikoli, Vanesę Wójcik.

– Jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać? – zapytał, zerkając znacząco na nadstawiającego ucha Szpona.

Kelnerka odłożyła niepewnie tacę, pobrzękując stojącym na niej szkłem, i poprowadziła Pawła na zaplecze. Trudno mu było określić

jej wiek. Mogła mieć równie dobrze dwadzieścia pięć, co i czterdzieści lat. Niezbyt ładna, niezbyt zgrabna, niezbyt uprzejma... Po prostu niezbyt. Upomniął się w myślach. Nie mógł z góry uprzedzać się do świadków.

– Proszę przyjąć moje kondolencje – zaczął.

Vanessa pokiwała tylko głową i przysiadła na składanym krześle. Splotła dłonie w koszyczek i ścisnęła je kurczowo. Tkwiła w niewielkiej salce służącej zapewne pracownikom jako miejsce, gdzie mogą zostawić swoje prywatne rzeczy czy spędzić przerwę w pracy. Po podłodze wały się porzucone plecaki. Z oparcie krzesła zwisały ciuchy. A w kącie stał stolik z czajnikiem elektrycznym, kawą rozpuszczalną, herbatą w torebkach i brudnymi kubkami. W powietrzu unosił się duszny, zatęchły zapach niewietrzonego pomieszczenia.

– Jak układały się pani relacje z Nikołą? – Od razu przeszedł do rzeczy.

– Zwyczajnie – burknęła po chwili milczenia. – Jak to między siostrami.

– Sam nigdy nie byłem niczyją siostrą. – Gadał głupoty, ale nie wiedział, jak rozmawiać z tą kobietą. Unikała jego wzroku. Rozpuściła spięte w kucyk włosy i zasłoniła nimi twarz jak firanką.

– Raz na wozie, raz pod wozem – powiedziała. – Niki była młodsza, lepiej jej się w życiu układało. Jednak tak to już jest, pan komisarz rozumie. – Uśmiechnęła się krzywo.

– Kiedy widziała ją pani po raz ostatni?

– Dzień wcześniej. Zanim... – Załamał jej się głos. Pawłowi trudno było zdecydować, czy kobieta rzeczywiście się wzruszyła, czy ostentacyjnie udaje. Nie potrafił jej rozgryźć. Jeszcze. – Byłam w pracy, a ona wpadła do karczmy na chwilę.

– Miała chłopaka... – zagadnął tonem niezobowiązującej pogawędki policjant.

Już wcześniej udało mu się ustalić, że Nikola Wójcik miała partnera, którego przywiozła tu ze Szwecji, gdzie pracowała niemal przez dwa lata w Osadzie, jak wszyscy tutaj nazywali to miejsce. Generalnie chodziło o wyrąb lasu, ale i dla kobiet znajdowała się tam praca. W emigracji miejscowej ludności na koło podbiegunowe pomagał niejaki Dobromir Żukowski, lokalny biznesmen. I właśnie Nikola była jedną z tych osób, które zdecydowały się spróbować szczęścia za granicą. Paweł postanowił, że musi dowiedzieć się czegoś więcej o tej tajemniczej Osadzie.

– Szybko zapomniała o Mateuszu. – Vanessa przerwała jego tok myślowy.

– Mateuszu? – Ginter uniósł brwi.

– Jej byłym – wyjaśniła Wójcik. – Pan, widzę, mało zorientowany.

– A co z nim?

Kelnerka pokręciła tylko głową. Już chciała coś dodać, ale w tym momencie drzwi do kanciapy stanęły otworem, a w nich Filip Orzeł.

– Vani! – warknął. – Wycieczka niemieckich emerytów. Właśnie się wytoczyli z autokaru. Przepraszam, panie komisarzu – zwrócił się do Pawła. – To będzie musiało poczekać.

Ginter wstał i ruszył do wyjścia.

– A jej niech pan tak do końca nie wierzy – dodał jeszcze w przelocie Filip.

– Proszę? – Komisarz przystanął.

– Vani kochała się w moim synu – wyjaśnił. – Mateuszu – dodał, widząc zbaraniałą minę policjanta. – Mam podejrzenia, że specjalnie się tu u mnie zatrudniła, żeby się do niego zbliżyć. Jednak on wolał jej młodszą siostrę – dokończył z westchnieniem.

– *Herr Adler!*^[1] – huknęła za plecami Filipa jakaś staruszka.

A może to był staruszek? Pawłowi trudno było rozstrzygnąć. W każdym razie osoba ta z pewnością wywodziła się z zachodniej granicy, lubiła nosić beżowe szorty do kolan, odprasowaną koszulkę

polo i krótko ścięte siwe włosy. Persona bez zapowiedzi rzuciła się na szyję karczmarza w powitalnym geście.

Paweł Ginter zaś umknął z przybytku gastronomicznego.



Drogi pamiętniczku,

podobno do odważnych świat należy, a wiadomo, że nie ma dzielniejszej kotki niż ja, zatem postanowiłam wyzbyć się strachu i wrócić na miejsce zbrodni. Broń Boże nie mam na myśli tej wstrętnej rzeki, w której taplał się trup dziewczuchy. Kąpiele są mi obrzydliwe. A już zwłaszcza te krwawe. W kwestii higieny jestem samowystarczalna. Siadam, ustawiam się w różnych pozycjach jogowych: a to kot z głową w dół, a to pozycja dziecka, to znowu wojowniczkki, i rozpoczynam lizanko. Nawet ta nawiedzona baba z telewizji z białą rękawiczką nie dorówna mi w poziomie czystości po takich zabiegach.

W każdym razie ponownie poszłam do karczmy, gdzie mnie niemal żywcem ugotowano. A to dlatego, że już mi się znudziło to żarcie, którym mnie Rozalia karmiła. Ile można? Chciałam zakosztować odrobiny wykwinności. Jakąś świeżą rybką bym nie pogardziła...

Po chwili już wkraczałam na drewnianą werandę. Ludzi tam było jak w ulu. Porozumiewali się jednak jakimś dziwnym, niejasnym dla mnie narzeczem. Do tego wyglądali jak stado klonów. Wszystko to chyba były chłopcy, bo każdy miał wąsa. Jedni bardziej wyrazistego, inni takiego ledwo, ledwo, ale wciąż. Jeden miał na imię Helga. Wnioskuje stąd, że siedzący naprzeciw niego kolega wciąż się tak do niego zwracał. Trochę mnie to zdziwiło, bo wydawało mi się, że to jest żeńskie miano. Ten Helga nie wyglądał jednak na kobietę. Miał na sobie flanelową koszulę w kratkę z metką Tchibo odstającą na plecach. Poznałam po logo. To mnie znowu zdezorientowało, bo to przecież była marka kawy, a nie ciuchów. Helga miał też na nogach spodenki w kolorze khaki, a na stopach białe skarpetki i sandały ortopedyczne. Rozalia – niewątpliwie kobieta – w życiu by się tak nie ubrała, więc Helga musiał być mężczyzną. Zwłaszcza zważywszy na kielkujący pod nosem zarost.

I tak, wiem, że ja też mam wąsy i to całkiem spore – niektórzy nawet twierdzą, że takie jak ten mąż narodu, co to się nazywał Piłsudski – ale to jest zupełnie inna para kaloszy! Mnie po prostu wszystko wolno. Również nosić męsko brzmiące imię. Bez konsekwencji! A co wolno wojewodzie, to nie tobie smrodziuchu, jak to mówią.

Przeszłam się między stolikami, wypatrując ofiary. Znalazłam ją całkiem szybko. Jeden z tych identycznych Helg udał się zapewne za potrzebą, a znana mi już skądinąd Vanessa Wójcik właśnie przyniosła mu talerz z – co poznałam po zapachu – parującą jeszcze sielawą i frytkami. Kelnerka zostawiła półmisek na stole i oddaliła się do swoich obowiązków. A ja? Ja zrobiłam hop-siup-tup i już po sekundzie konsumowałam wymarzoną rybkę. Musiałam się całkiem zatracić w smaku, bo zdębiałam, gdy nagle nad mą głowę rozległ się wrzask.

Wrzeszczał Helga, po swojemu, trudno mi teraz przytoczyć dokładnie co, boym musiała zapisywać fonetycznie, a i tak się w obcych dialektach nie wyznaję. Sądząc jednak po tonie głosu, nie było to nic miłego. Najwyraźniej miał pretensje o to, że się poczęstowałam. Z tej Helgi musiał być niezły kutwa. Zeskoczyłam więc łaskawie ze stołu na ławę, z ławy na podłogę i z uniesionym dumnie ogonem udałam się do baru.

Tam zaś zastałam dwóch spiskowców! Była to już wspomniana Vanesska oraz właściciel tego kramu, Filip Orzeł. Stali za barem, niby to przecierali obmacane kufle, ale głównie szeptali między sobą. Usadawiłam się na wysokim stołku obok jakiegoś chłopca. Nawet mnie nie zauważyli. Przyjrzałam się sąsiadowi. Czeka, czeka... Z wrażenia mało nie spadłam na podłogę! To był ten włamywacz! Łypnęłam na niego złym okiem. A ten co tu robił?

– Yyy – powiedział.

I uciekł.

„Biegnij, dziadu, biegnij!”, mu poradziłam. I skierowałam wzrok na bar.

Czegoś bym się napiła po tej rybce. Jednak nie mazurskiego trójniaka czy piwa Kormoran, jakie tu oferowano. Wolałabym na przykład śmietanki...

– Na pewno nie chcesz wolnego? – zapytał Filip Orzeł i zlustrował gwałtowne ruchy swojej pracownicy.

Od razu pojęłam, że nie martwi się o zdrowie psychiczne kobiety z pewnością nadwyrężone po śmierci siostry, tylko o swoją zastawę, bo ta aż zgrzytała pod naporem łapsk Vanesski.

– Nic mi nie jest – odparowała niewdzięcznica. – Ty nie poszedłeś na urlop po tym, gdy Mateusz... No wiesz – zająknęła się.

– Praca była dla mnie ratunkiem – przyznał Orzeł. – Nadal jest!

No i tu się różniliśmy. Ja nie pracowałam w o-gó-le! Na samą myśl o tym, że miałabym się wysilić, robiło mi się słabo. W końcu od czego mam niewolnicę? Jedzenie pod nos poda. Kuwetę wyszoruje. Zabawki kupi. Miękkie posłanie pościeli. Od czasu do czasu puści kociego Netflixa z ćwierkającymi ptaszkami. Po co sobie zatem samej łapy brudzić?

– Wciąż się zastanawiam – wyznała Vanessa Wójcik. – Kto mógł ją zabić. Jak myślisz?

Filip najwyraźniej nic nie myślał, bo tylko wzruszył ramionami.

– Źle jej nie życzyłam, w końcu to moja siostra. Wstyd się przyznać jednak, bo wiesz co? – zapytała i przerwała wycieranie – ku widocznej uldze karczmarza. – Czuję, że teraz, po jej śmierci, będzie tylko lepiej.

To rzekłszy, Vanessa oddaliła się na werandę, gdzie czekała horda wciąż wygłodniałych Helg.

– O, tak! Dobrze, że nie żyje – powiedział do siebie Filip Orzeł.

I zarechotał śmiechem szaleńca.

Nie zauważył jednak, że przecież ja go słyszę.

A w progu stoi ktoś jeszcze.

Siema, koleżanki i koledzy,

mama wspominała, że spotkała w karczmie jakichś Niemców. A nie mówiłem, żeby się tam nie szlajać? Ja i tak mało rozumiem z tego, co się do mnie rozmawia, a już jak kto zaczyna w obcym narzeczu, to może sobie darować na samym wstępie.

Z nudów chwyciłem przednimi łapami wypchaną kocimiętką pluszową mysz i z pomocą tylnych rozszarpałem ją na strzępki.

Od razu poczułem się o niebo lepiej!



Chwilę wcześniej

Paweł Ginter wyszedł z karczmy i pogrążony w myślach ruszył w stronę kempingu. Kątem oka dojrzał jakiś znajomy kształt przemieszczający się w przeciwnym do niego kierunku. Zignorował go jednak, analizując w głowie dotychczas zebrane informacje o nieszczęsnej Nikoli Wójcik. Dotąd nie udało mu się porozmawiać z jej chłopakiem, Olofem Molinem. Facet gdzieś wyparował. Siostra wydawała się dziwna. Nastawiona mało przychylnie. Choć może to był po prostu szok. Nie odkrył też, co się stało z byłą sympatią Nikoli, Mateuszem Orłem. Tym, z którym wyjechała do Szwecji. Miał jeszcze wiele do zrobienia. Mnóstwo świadków do przesłuchania. Musiał się zorientować, o co w tym wszystkim chodzi.

Obawiał się, że dziewczyna mogła po prostu paść ofiarą jakichś przypadkowych bandziorów. Znaleźć się w złym miejscu w nieodpowiednim czasie. Nagle przerwał swoje rozważania. Czy to przypadkiem nie Burbur?! Ten kształt maszerujący w stronę karczmy?

Komisarz zawrócił na pięcie i pognął z powrotem do restauracji. Wpadł na werandę, ale nigdzie nie zauważył kocicy. Przeszedł do baru.

– O, tak! Dobrze, że nie żyje. – Usłyszał słowa wypowiedane z satysfakcją przez Filipa Orła. A potem jego diaboliczny chichot.

– Dlaczego panu tak wesoło? – zapytał Paweł Ginter.

Z twarzy karczmarza zniknął wyraz zadowolenia. Ściskany w ręce kufel zgrzytnął i pękł. Szkło posypało się z brzękiem na podłogę. A z dłoni mężczyzny pociekła krew.



Rok wcześniej, Osada

Znów nastały niekończące się dni, podczas których Nikola Wójcik nie potrafiła się wyspać. Miała też inny powód, który pozbawiał ją możliwości wypoczynku.

A na imię mu było Olof.

Olof Molin.

Odkąd na tamtej imprezie zapoznała się bliżej z kierowcą i asystentem Erikssona, nie mogła przestać o nim myśleć. Jak się szybko okazało, fascynacja była obustronna. Olof przyjeżdżał za każdym razem, gdy jego szef odwiedzał Osadę. Poza tym zjawiał się także bez Erikssona. Wynajdywał przeróżne wymówki dla swoich wizyt. A to, że boss czegoś zapomniał. A to, że on sam zostawił kurtkę (Nikola mogła się założyć, że zrobił to specjalnie). Jego przyjazd anonsował zgrzyt silnika samochodowego – Wójcik nauczyła się go rozpoznawać. W jej uszach brzmiał zupełnie inaczej od pozostałych.

Wymykali się razem na długie spacery po lesie. Rozmawiali, komunikując się swoim niedoskonałym angielskim. Olof opowiadała jej o miejscach, które chciałby odwiedzić. Marzył o podróżach. Chciał się bawić, korzystać z życia. Czerpać z niego jak najwięcej, dopóki może. Nikola coraz szerzej otwierała oczy. Także w przenośni. Dotąd jakoś nie przyszło jej do głowy, że można żyć inaczej. Nie iść wydeptaną przez pokolenia ścieżką: szkoła, praca, małżeństwo, dzieci, praca, emerytura, cmentarz. Otóż można szaleć. Nie przejmować się zobowiązaniami. Ten facet ją fascynował. A w porównaniu z nim Mateusz stawał się w jej wyobrażeniu coraz bardziej szarobury.

Przez jakiś czas udawało im się ukrywać swoją znajomość. Nikola mieszkała jednak w Osadzie. A tu – jak w każdej innej wiosce – wszyscy wszystkich znali i wiedzieli o sąsiadach więcej niż oni sami. Było więc kwestią czasu, aż zaczną krążyć plotki. Na razie nie dotarły one jeszcze do Mateusza. Zresztą nawet gdyby się tak stało, Nikola nie miała sobie nic do zarzucenia. Technicznie rzecz biorąc. Do niczego między nią a Olofem nie doszło. Przyjaźnili się. Taka była oficjalna wersja. Pod powierzchnią jednak kipiało od zakazanych emocji.

Tego popołudnia, zanim Wójcik usłyszała terkot starego pick-upa na podziurawionej po przymrozkach drodze dojazdowej i się ucieszyła na widok Olofa, zdążyła jeszcze przeżyć szok.

Po powrocie z pracy postanowiła trochę posprzątać. Nie była perfekcyjną panią domu, ale bałagan przekroczył już granice jej tolerancji. Pozbierała więc porozrzucane po domu ciuchy i rzuciła je na łóżko, by potem wszystko posegregować i odłożyć do szafy lub komody. Odkurzyła podłogę, przeciągnęła po niej mopem, na końcu wróciła do ubrań.

W górnej szufladzie komody trafiła na znalezisko, które śmiertelnie ją przeraziło.

Wkładała koszulki Mateusza do środka, gdy zahaczyła dłonią o coś kanciastego i twardego. Odruchowo wyjęła przedmiot i obróciła go w dłoniach. Od razu pojęła, co to jest i jakie niesie ze sobą implikacje.

Kwadratowe pudełeczko.

A w środku pierścionek. Zapewne zaręczynowy.

Przysiadła na wciąż rozgrzebanym i zawalonym ciuchami łóżku, bo poczuła, że uginają się pod nią kolana. Nogi zamieniły się w dwie kolumny z waty. Starła się oddychać głęboko, tak jak ją tego uczyła trenerka na zajęciach z pilatesu: wdech nosem, wydech ustami.

Wdech nosem.

Wydech ustami.

Dopiero gdy przestało jej się kręcić w głowie, zaczęła myśleć. Rzeczywiście ostatnio Mateusz chodził podenerwowany. Choć może to nie było właściwe słowo. Ekscytacja – ona nim kierowała. Teraz to sobie uświadomiła.

Musiał pojechać do Kiruny z Erikssonem, znaleźć jubilera i kupić ten pierścionek. Nikola wyjęła go z opakowania i włożyła na palec. Był trochę za duży. Nie pasował.

Tak jak ona do Mateusza.

Nagle zobaczyła to ostro i wyraźnie. W zasadzie wiedziała już o tym od dawna. Jednak przyzwyczajenie robiło swoje. Przywiązanie. Wygoda. Znali się jak łyse konie. Spędzili razem dzieciństwo. Od zawsze wiedzieli, że skończą razem. Jednak Nikola dorosła. A wraz z dojrzałością, po tych długich miesiącach spędzonych na dalekiej północy, przyszły zmiany. Także w jej sercu. Nie mogła z tym walczyć. Nie chciała.

Wpatrywała się w połyskujący w świetle żarówki kamień. I czuła narastające przerażenie. Przyszedł czas decyzji.

Pora wyrwać się z tego obozu pracy. I z tego bezsensownego związku. Wrócić do Polski i ostrzec w Krutyni innych, by tu nie przyjeżdżali. Nikt z emigrantów dotąd głośno nie protestował. Bali się Erikssona. W końcu to on tu rządził. Mógł im zaszkodzić. Do tego wśród miejscowych krążyła plotka o zaginionych w dziwnych okolicznościach mężczyznach. Nikt do końca nie wiedział, ani o kogo chodzi, ani co naprawdę się wydarzyło, ale wyobrażenia każdemu podpowiadała najgorsze scenariusze. Lepiej więc było trzymać gębę na kłódkę i odwalać pańszczyznę. Niki postanowiła przerwać ten łańcuch milczenia.

I wtedy usłyszała zgrzyt silnika i terkotanie kół na pełnej wybojów drodze. Takie znajome. I niosące nadzieję.



Mateusz Orzeł nic z tego nie rozumiał. Przecież się kochali. Chcieli spędzić ze sobą życie. Było tak od zawsze. Co takiego się zmieniło? I dlaczego on nawet tego nie zauważył? Jak mógł być aż tak ślepy? Szedł szybkim krokiem – niemal biegł – wzdłuż brzegu jeziora. Dłoń, pozbawiona rękawiczki, marzła mu okropnie. Wciąż trzymał w niej pudełeczko z pierścionkiem, który tak starannie wybrał u jubilera w Kirunie. Nikola położyła je przed nim zamiast talerza z zupą na obiad. I powiedziała, że między nimi koniec. I żeby lepiej sprezentował to jakiejś innej kobiecie. Która na to zasługuje bardziej niż ona.

Tylko tak mówiła. W rzeczywistości wcale nie chodziło o to, że on był dla niej za dobry. Doskonale o tym wiedział. Kiedy zażądał wyjaśnień, długo krążyła wokół sedna. Wreszcie jej się wyrwało – znudziła się nim. Taka była konkluzja. Stał się dla niej przewidywalny. Obiecował, że się zmieni. Nawet się popłakał! (Miał nadzieję, że nikt się o tym nie dowie). Nic to jednak nie dało. Nikola okazała się nieprzejednana.

Dopiero gdy dotarł do rzędu opustoszałych jeszcze domków letniskowych, uświadomił sobie, że musiał być ktoś jeszcze. Nie zauważył żadnych sygnałów ostrzegawczych. A przecież pewnie się pojawiały. Usiadł na mostku wdzierającym się w jezioro i zapatrzył na szczyty górskie wznoszące się po drugiej stronie akwenu. Kto to mógł być? Któryś z chłopaków z Krutyni? Tomek? A może poznała kogoś przez Internet? Musiał przeprowadzić śledztwo! Znajdzie tego złodzieja narzeczonych.

A potem go zabije.

W nawracających falach złości i żalu tak właśnie pomyślał. I nawet sobie uwierzył.

Najpierw jednak powinien znaleźć inne lokum. Nie mógł zostać z Nikolą pod jednym dachem. Może chłopaki go przygarną w swojej chałupie? Budynków mieszkalnych w Osadzie było niewiele. Musiał sobie jednak jakoś poradzić.

Zrobiło mu się zimno. Wstał i otrzepał spodnie. Ostatni raz spojrzął na ściskany w dłoni pierścionek. Wziął zamach. Rzucił pudełeczkiem najdalej, jak potrafił. Obiło się o kry dryfujące wciąż na jeziorze. A potem na zawsze zniknęło w jego głębinach.



Teraz, Krutyń

Że też do tego morderstwa nie mogło dojść w jakimś mieście, pomyślał komisarz Paweł Ginter i skrzywił się na widok posterunkowego, którego przydzielono mu do pomocy. Nie mógł się ze szczyłem dogadać. Chłopak robił, co chciał, a najbardziej chciał się zdrzemnąć. Paweł już dwa razy przyłapał go pochrapującego w cieniu pod drzewem, podczas gdy powinien zakasać rękawy i wziąć się do roboty!

Wracając jednak do lokalizacji zbrodni, to gdyby morderca wybrał choćby Mikołajki, byłaby szansa, by uchwycił go miejski monitoring. Wprawdzie ten w Mikołajkach często szwankował, ale w ogóle był. Za to tu w tych lasach komisarz mógł co najwyżej przesłuchać dzikie zwierzęta – a nuż widziały coś podejrzanego i byłyby skłonne podzielić się swoimi obserwacjami z policją.

Dzięki technikom kryminalistycznym udało się ustalić prawdopodobny przebieg wypadków tego feralnego poranka, gdy zginęła Nikola Wójcik. Z pomocą przyszedł też ten Szwed, jej chłopak, którego Pawłowi wreszcie udało się odnaleźć i przesłuchać. Choć może „przesłuchanie” nie było słowem w pełni oddającym *clue* rozmowy.

Ginter pojechał ponownie z wizytą do domu rodziców Nikoli. Pojawił się tam już wcześniej, by przekazać im tragiczną nowinę o śmierci ich córki. Byli oczywiście zdruzgotani, jednak nie okazywali jakoś wylewnie swoich emocji. Usiedli przy kuchennym stole. Milczeli. Kiwali głowami. Tak jakby się spodziewali, że coś takiego może spotkać ich młodszą latorośl. Dopytywani przez Gintera nie potrafili jednak udzielić mu żadnych przydatnych informacji. Nie

widzieli Nikoli tego wieczoru, nie wiedzieli, czy miała jakichś wrogów, nie domyślali się, co mogło jej się przytrafić.

Okazało się, że Nikola nie mieszkała z rodzicami. Odkąd przyjechała wraz ze swoim szwedzkim chłopakiem w rodzinne strony, osiedlili się w starym drewnianym domku należącym jeszcze do dziadków. Stał pusty, więc wnuczka się w nim zadomowiła.

– Wstyd – wyrwało się ojcu dziewczyny, Marianowi Wójcikowi.

Pod wpływem wzroku żony umilkł, ale Ginter i tak wyciągnął z faceta, że rodzinie nie podobał się nowy partner Nikoli. Ani fakt, że z nim zamieszkała.

Oboje z żoną uznali jednak, że zawsze to lepiej, żeby Nikola i Olof mieszkali w chacie niż z nimi. Paweł wziął od nich adres i nawet bez problemu udało mu się odnaleźć domek. Stał samotnie w lesie. Prowadziła do niego długa i wyboista droga dojazdowa ciągnąca się przez zarośla. Gdy komisarz wysiadł z samochodu, z oddali dobiegł do niego szum rzeki. Ptaki skrzeczały na potęgę. Nie docierały tu odgłosy z drogi. Miejsce było urokliwe, ale też w pewien sposób przerażające. Aż dziwne, że młodzi ludzie dobrowolnie chcieli się zaszyć na takim odludziu. Choć może przywykli do podobnych warunków w tej swojej Osadzie na północy Szwecji?

– Zaczekaj – powiedział Ginter do posterunkowego, którego nazwiska nawet nie potrafił zapamiętać.

Młokos działał mu na nerwy. Łapał się na tym, że tęskni za Radziem Romaniukiem, który pracował z nim w komisariacie w Mikołajkach. Może i był zbyt kochliwy – co przeszkadzało Pawłowi, zwłaszcza gdy za obiekt westchnień obrał sobie jego córki (obie jednocześnie) – ale przynajmniej nie prezentował się niczym patentowany leń, jak ten tutaj, jak mu tam było, do jasnej cholery! Teraz wolał, żeby chłopak nie plątał mu się pod nogami podczas przesłuchania. Posterunkowy oczywiście ucieszył się, że może zostać w aucie, i rozłożył przednie siedzenie. Ginter oddalił się od wozu, rozglądając wokoło.

Chata ledwie trzymała się w pionie. Pewnie gdyby nie była otoczona szpalerem drzew, dawno powaliłby ją jakiś silniejszy wichur. Dach wołał o pomstę do nieba albo o natychmiastową naprawę. Jedyne ogród odstawał od ogólnego wizerunku rozpadu – wypielegnowany, żadnych chwastów, zarośniętych byle czym połaci. Tylko równo pociągnięte grządki, a na nich... Paweł nie wierzył własnym oczom! Rosła marihuana... Kwestia odosobnienia stała się tym samym bardziej zrozumiała.

Wszedł na ganek i zastukał do drzwi. Odpowiedziała mu cisza.

– Halo! Panie Olofie! – zawołał. Załomotał ponownie.

Wreszcie ze środka dobiegło go szuranie. Potem drzwi stanęły otworem, a w progu ukazało się coś na kształt wikinga. Wielgachny chłop z blond czupryną, rozwiniętymi mięśniami i błędnym wzrokiem.

– Dobry! – oznajmił radośnie.

Ginter jęknął w duchu. Od razu zrozumiał, że to nie będzie łatwa przeprawa.

– Pan Olof Molin? – zapytał.

– Olof! – Znów huknął Szwed i poklepał się dłonią w rozmiarze chlebowego bochna w pierś. Aż zadudniło. Zachowywał się wyjątkowo radośnie jak na kogoś, kogo dziewczyna właśnie została zamordowana. Choć może to tylko pozory.

– Paweł Ginter. Policja – przedstawił się gliniarz i zastanowił, czy ten niewydarzony posterunkowy rzeczywiście powiadomił Molina o śmierci Nikoli, jak mu przykazano. A może zasnął po drodze.

– Olof – zaprezentował się Olof. I znów huknął się w klatę, nie żałując uśmiechu.

– Porozmawiamy o Nikoli? – Ginter zrobił krok naprzód, licząc na to, że Szwed wpuści go do środka.

I rzeczywiście facet cofnął się do wnętrza, a komisarz podążył za nim. Od razu tego pożałował. W środku unosił się słodkawy, dławiący

zapach zielska. Tak intensywny, że Paweł obawiał się, że po tej wizycie sam zaliczy narkotykową fazę. A już na pewno prześmierdną mu ubrania. Rozalia będzie miała używanie.

– Nikola! – zgodził się Molin. I wreszcie zrobił smutną minę. – Nie ma – dodał.

Widać, że dziewczyna nauczyła go co nieco polskiego.

– Właśnie dlatego chciałem pogadać – wyjaśnił policjant.

– *Is dead.* – Szwed przeszedł na angielski. – *Kaput* – dodał po niemiecku, przyglądając się Pawłowi z podejrzliwością. – Krrr – wydał z siebie niezrozumiały dźwięk, a dla lepszego efektu przejechał kantem dłoni po gardle.

– Tak, ktoś ją zamordował – przyznał Paweł i rozejrzył się po chatce.

Urządzeniem wnętrza musiała się jeszcze zajmować babcia Nikoli i od tamtego czasu niewiele tu zmieniono. W oknach wisiały poszarzałe zazdrostki, w kuchni, do której przeszli, stały stare, solidne, drewniane meble, nie żadne tam paździerze z Ikei, w zlewie zaś piętrzyły się brudne gary. Ginter zwałił na podłogę stos jakichś papierzysek i usiadł za stołem na ławie.

– Espresso! – wykrzyknął nagle podekscytowany Szwed i nieproszony wziął się najwyraźniej do przygotowywania trunku.

– No może być – burknął Paweł, w pamięci mając naukę, by nie odmawiać propozycji napitku przesłuchiwanemu, aby ten poczuł, że akceptuje się jego gościnę, i być może stał się bardziej rozmowny. – Kiedy ostatni raz widział pan Nikolę? – zapytał komisarz, jednocześnie starając się oddychać przez usta. Czy to mogło zapobiec zjaraniu?

– Nikola! – rzekł na to indagowany. – Espresso! – dodał. I zalał dwa kubki wrzątkiem. Wcześniej nasypał do nich po czubatej łyżce zmielonej kawy, a teraz zamieszał energicznie. – *Finito!* – zapewnił. I znów na migi poderzwał sobie gardło.

– *Do you speak English?* – Paweł postanowił ułatwić sobie sprawę. Przecież jakoś musieli się z dziewczyną porozumiewać. Wątpił, by Nikola tak szybko opanowała szwedzki.

– *Do you?* – zapytał, niemal filozoficznie, chłopak i przejechał ręką po blond czuprynie. Po czym wypił swoją kawę do dna, nie zważając na to, że z pewnością parzyła go w usta.

– *I do* – powtórzył cierpliwie Paweł. – *I am now. When was the last time you've seen Nikola?*

– Nikola! – Olof się ucieszył i wydudlił kawę przeznaczoną dla Pawła. – Psieplasiam – powiedział, gdy zorientował się, że popełnił gafę. Palnął się w czoło rozpostartą dłonią. – Espresso! – ryknął i rozpoczął produkcję napitku od nowa.

Paweł Ginter zaczął podejrzewać, że popada w szaleństwo. Nie miał pojęcia, jak gadać z tym dziwadłem. Czy Olof Molin rzeczywiście był takim półgłówkiem, na jakiego wyglądał? A może to tylko poza, która miała zmylić komisarza? Albo po prostu się zjarał i trawa uderzyła mu do głowy... Jedno z trojga.

– Nikola! – Paweł podniósł głos. – Olof! – huknął, skupiając na sobie uwagę chłopaka, który już zdążył zalać dwie nowe małe czarne. – *When ostatnio together?* – Przez tego czubka już sam zaczął mieszać języki i własne zmysły.

– Wieciorem – odparł Szwed nad wyraz trzeźwo. Postawił kawę na stole i zasiadł naprzeciw policjanta. – *Before Nikola kaput* – bełkotał. – *We went for a walk.* A wcześniej Nikola pośła do karczma – rzekł.

Czy Ginter popadał w obłąd, czy rzeczywiście to, co mówił Olof Molin, zaczynało nabierać coraz więcej sensu?

– Poszła do karczmy? – upewnił się.

– Do Filip Oziel – potwierdził Olof. – Zieby dał nam placa – wyznał. – Nasie kolony *kaput* – wywnętrzył się. – *We needed money.*

– I co, dał wam tę robotę? – Paweł okręcił w dłoniach filiżankę.

– *Nein*. – Nie wiedzieć dlaczego Molin sądził, że dogada się ze swoim polskim znajomym po niemiecku. – On nie da.

Z dalszego wywlekania wołami informacji z Olofa Molina wynikało, że Nikola rzeczywiście udała się do karczmy, poprosiła o jakąś fuchę dla siebie i swojego chłopaka, spotkała się z odmową, a potem widziała się z Olofem i mu o tym powiedziała. Twierdziła, że Filip Orzeł nie tylko jej nie zatrudnił, ale i wyrzucił ją z karczmy.

– Zalaz wlacam. – Podobno to były jej ostatnie słowa wypowiedziane do ukochanego. Choć Paweł przypuszczał, że Wójcik raczej nie sepleniał. Poszła nie wiadomo dokąd.

I nie wróciła.

Niestety Olof zorientował się, że ukochanej nie ma, dopiero następnego ranka. Zioło, które wypalił wieczorem, na dobre ścięło go z nóg. Gdy odzyskał przytomność, słońce stało już wysoko na niebie, a do jego drzwi pukał posterunkowy, jak mu tam, i oznajmił, że Nikola Wójcik została zamordowana.

A przynajmniej taka była wersja wydarzeń prezentowana przez Szweda.

Paweł Ginter sam już nie wiedział, kogo ma podejrzewać. Czy tego faceta o wyglądzie drwala, który mógł przecież załatwić swoją dziewczynę choćby i w narkotykowym zwidzie. Czy może karczmarza, który – jak się po raz kolejny okazywało – nie przepadał za kobietą. Jednak dlaczego?

– Masz jakieś zdjęcia Nikoli? – zapytał jeszcze.

– Nikola! – Szwed wrócił do powtarzania imienia ukochanej z durnowatym uśmiechem na jowialnej twarzy.

– Foto! – Paweł czuł, że zaczyna się cofać w rozwoju. Ten facet działał na niego ogłupiająco. – Cyk, cyk! – oznajmił, prezentując pantomimę mającą imitować robienie zdjęć. – *Do you have any?*

O dziwo, podziękowało.

Szwed zwlekł się z siedzenia, padł na kolana przed komodą, zanurkował w jej czeluściach i po chwili wrócił z tabletem. Odpalił go, kliknął parę razy i zaprezentował policjantowi galerię fotografii ewidentnie wykonanych jeszcze w Szwecji. Paweł przeglądał je uważnie jedna za drugą. Patrzył na roześmianą młodą dziewczynę. Bardzo ładną. Zgrabną, o długich włosach, z błyskiem szczęścia w oczach. Na jednym z ujęć ubrana była w imprezową sukienkę – fotka musiała zostać zrobiona na jakiejś dyskotecie. Dziewczyna unosiła ręce ku górze. Cekiny błyszcząły na jej ubraniu. Oprócz nich w zasadzie nie nosiła biżuterii – jedynie skromną, turkusową, drewnianą bransoletkę na nadgarstku. Wyglądała na zadowoloną.

A teraz już jej nie było wśród żywych.

Ktoś brutalnie zakończył jej młode życie. Ginter poczuł narastającą wściekłość. Złapie mordercę. I wsadzi go za kratki. Choćby miał przetrząsnąć tę wiochę wzdłuż i wszerz.

– Olof kupił. – Molin wytrącił komisarza z zamyślenia. Chłopak musiał zauważyć, że Ginter przygląda się zdjęciu z bransoletką dłużej niż pozostałym. – Niki szczzcz... – walczył z materią języka polskiego. – *Happy!* – skapitulował.

Policjant dowiedział się jeszcze, że Niki oznajmiła, że z tym prezentem nigdy nie będzie się rozstawać. Olof był bardzo z siebie dumny. A Paweł podłamany kondycją męskiej egocentrycznej natury. Szwed zachowywał się co najmniej tak, jakby dał dziewczynie diamentowy diadem. Przy czym można było odnieść wrażenie, że Olof jakby podśmiewywał się z sentymentalizmu Nikoli.

Paweł z ulgą wyszedł z marihuanowego domku. Pomachał Olofowi Molinowi na pożegnanie. Minął wypielegnowane grządki. Podeszedł do samochodu, w którym zastał drzemiącego w najlepsze posterunkowego. Już chciał wrzasnąć i postawić lenia na nogi. Miał jednak jeden problem.

Nie wiedział, jak się do niego zwrócić!



– Będę potrzebował tego więcej – usłyszała w słuchawce Potomek-Chojarska przezornie zakrywająca głośnik chusteczką.

Mogłaby w zasadzie użyć jednej z tych aplikacji zmieniających głos, jednak nie zdążyła się przygotować. Nie sądziła, że będzie jej to potrzebne. Tymczasem Olek Szpon oddzwonił jakimś cudem na jej telefon (to całe ukrywanie numeru musiało nie zadziałać tak jak trzeba) i żądał więcej obciążających wielebnego Konopniaka dowodów, bo w przeciwnym wypadku nie opublikuje artykułu.

– Dobra – wyskrzeczwała prawniczka, zastanawiając się gorączkowo, co tu jeszcze spreparować. – Załatwi się – zapewniła.

Po drugiej stronie na chwilę zapadła cisza.

– Czy my się przypadkiem nie znamy? – odezwał się wreszcie żurnalista.

– Chciałbyś – odparowała i czym prędzej się rozłączyła.

Ten bubek nie mógł wiedzieć, z kim rozmawia! Olek Szpon nie był specjalnie bystry, więc Potomek-Chojarska nie martwiła się nadmiernie. Rozpięła śpiwór i z trudem wygramoliła się ze swojego prowizorycznego posłania. Nigdy w życiu nie przypuszczała, że upadnie tak nisko! Że przyjdzie jej spać na ziemi! Jak jakimś włóczędze! Jednak na te pieprzone Mazury zdała się przybyć cała Polska! A niby rodacy jeździli na wczasy do Chorwacji czy tam innego Egiptu. Jeśli ją spytałby kto o zdanie, oceniłaby, że krajanie są podróżniczymi patriotami i wszyscy – jak jeden mąż – pchają się na urlop do krainy wielkich jezior. I zajmują miejsca noclegowe! Koniec końców ona musi kimać pod namiotem!

Wysunęła się tyłem na czworakach spod brezentu. Z wypiętym zadkiem już na zewnątrz, a głową w dole wciąż w środku, rozejrzała się wokoło. Widziała wszystko do góry nogami. Miała nadzieję, że nikt się jej nie przygląda. Cóż za kompromitacja! Gdyby zobaczyła ją w tej pozycji ta gruba i wredna dziennikarka o durnym zestawieniu imienia z nazwiskiem, pewnie posikałaby się ze śmiechu. A Potomek-Chojarska sama siebie złożyłaby w grobie w poczuciu ostatecznego upokorzenia. Na szczęście nikogo nie dostrzegła. Tylko jakiś tłusty

kot gapił się na nią żółtymi oczami i zadzierał nosa. Pomarańczowego! Pewnie był chory na wściekliznę czy inną zarazę. Powinno się go natychmiast zaprowadzić do weterynarza. Może jej klientka mogłaby się tym zająć?

Pani adwokat wepchnęła opuchnięte od gorąca i swędzące od pogryzień komarzyc stopy w szpilki (woreczek z klapkami pod prysznic włożyła sobie pod pachę) i pokuśtykała w stronę sanitariatów. Tam ogarnęła się o tyle, o ile, klnąc w głos na los, który stał się jej udziałem.

Malediwy!

To był kierunek wakacyjny, który by ją interesował. Nie to przekłete łono polskiej, zakomarzonej, zapchlonej, zabłoconej natury!

Nagle z sąsiedniej kabiny dobiegły ją jakieś chichoty. Spokoju nawet w ustępie!

– Goły facet! – Usłyszała takie właśnie zdanie, raczej wypiszczane niż wypowiedziane. – Ale ciacho! – kontynuowała zachwyty osoba z pewnością, jeśli sądzić po tonie głosu, nieletnia.

Potomek-Chojarska się zaciekawiła. Zastanowiła się, czyby do tego, co naprędce zaplanowała, nie zdjąć szpilek, przeważało jednak poczucie obrzydzenia. Ustawiła więc swoje odziane w louboutiny stopy na desce klozetowej. Chwyciła się krawędzi przegrody z płyty kartonowo-gipsowej oddzielającej jeden kibelek od drugiego. I wyjrzała.

W dole dostrzegła trzy nastolatki pochylające się nad tabletem. Na ekranie leciał właśnie jakiś film produkcji amatorskiej. Pornograficzny! Przynajmniej tak wyglądał na pierwszy rzut oka. Na drugi zresztą też. Jego krótka – odtwarzana raz po raz z niecichącym piskiem zachwyty – fabuła sprowadzała się do tego, że w rozmodlony krąg młodych ludzi trzymających się za ręce i wyśpiewujących chwalące pana pieśni wbiega para golasów. Kobieta i mężczyzna. Bez ubrań. Galopowali prosto na członków i członkinie kościelnej oazy. Wreszcie rozbili ich zwarty krąg. Wparowali w jego środek. Odańczyli między zgromadzonymi pseudoludowy taniec. Po czym

wpadli do jeziora, chlupiąc wodą na boki. Tymczasem kółko modlitewne po chwili niemej konsternacji wpadło wprawdzie nie do jeziora, ale w dziki zachwyty. Ich rechoty poniosły się echem daleko po lesie. Jedyne, który wyglądał na niezadowolonego, okazał się księdzem. W czarnej sutannie i koloratce rzucił się za bezbożnikami. Stał na brzegu i wygrażał parze pięścią.

– Zabiję was! Ja was zamorduję! – wrzeszczał.

Tym duchownym był jako żywo wielebny Konopniak.

A to się trafił prezent Potomek-Chojarskiej! W życiu by się nie spodziewała, że jej problemy zostaną tak szybko zniwelowane. Teraz już się nie czając, zeskoczyła z sedesu. Otworzyła najpierw drzwi do jednej kabiny, potem do tej sąsiedniej.

– Dawać mi to! – zażądała, wyciągając rękę we władczym geście.

Nastolatki zamarły. Zrobiły się na pryszczatych facjatch czerwone jak pomidory. Dziewczyna dzierżąca w dłoni tablet odzyskała jednak rezon, schowała urządzenie za plecy i zaprezentowała nieprzejednaną minę.

– Proszę – powiedziała.

I podała prawnicze... ściągniętą z haczyka rolkę papieru toaletowego!

Doprawdy, ta dzisiejsza młodzież ma zero szacunku wobec starszych, pomyślała Potomek-Chojarska. Zero! Nie zamierzała tu jednak prowadzić godziny wychowawczej. Ani się wyklócać. Wkroczyła między siksy i tej najbardziej bezczelnej po prostu wyszarpnęła tablet.

– A tylko powiedz komuś! – zagroziła jeszcze na odchodne. – To z piekła cię własna matka nie wyciągnie!

Wetknęła urządzenie do reklamówki z klapkami. I wymaszerowała z toalety z poczuciem dobrze wykonanego obowiązku. Ale też ze świadomością, że miała farta. Oraz nadzieją, że dziewczyny będą się bały komukolwiek poskarżyć w obawie, jeśli nie przed stwórcą czy

wielebnym Konopniakiem, to przynajmniej rodzicami, których z pewnością nie ucieszyłaby informacja, że ich wysłane na obóz oazowy pociechy spędzają wolny czas na oglądaniu pornoli w kiblu.



Drogi pamiętniczku,

ale miałam ubaw! Aż się wywróciłam na grzbiet i pomachałam łapami w powietrzu z zadowolenia. Otóż wstałam rano, przeciągnęłam się, strzeliłam Rozalię w pysk (nie zauważyła, tylko mlaszcząc, obróciła się na drugi bok i spała dalej) i wyszłam z namiotu zaczerpnąć świeżego powietrza. Cóż ujrzałam? Tę wredną prawniczkę wyłazącą jak glista także z namiotu. Ucieszyłam się, że jednak jest jakaś sprawiedliwość na tym łez padole. Nie tylko ja muszę się gniesć na urlopie pod zatęchłym szmaciskiem, ale i ta adwokacka gnida.

Zadowolona udałam się za potrzebą. Gdy wróciłam, Potomek-Chojarska także zjawiała się przy namiocie. I to naszym! Wywlekła z niego Rozalię i obie udały się na jakąś tajną naradę. A jeśli zamierzały obgadywać mnie? „Nic o mnie beze mnie!”, zakrzyknęłam, co mogło w uszach niektórych zabrzmieć jak jakieś pospolite „miau”.

Tak czy siak, deptałam im po piętach. Doszliśmy pod taki drewniany daszek zakrywający ławeczki. Babsztyłe spoczęły na tychże, a ja wskoczyłam na stół i zaglądałam im zza ramienia na to, co trzymały w wypielęgowanych dłoniach. Okazało się, że to jeden z tych kalkulatorków, w które ludzie wgapiąją się jak durni, zamiast podziwiać takie dorodne kotki jak ja. Ten był jakiś większy, z całkiem sporym ekranem. Musiałam prędko odwrócić wzrok, gdyż ujrzałam na monitorce najpierw bandę tych nawiedzeńców, którzy ostatnio mnie obudzili jakimiś porannymi modlitwami, a potem dwóch golasów. Zgorszyłam się. Można o mnie powiedzieć wiele, ale nie to, że jestem jakimś zboczeńcem! A te dwie najwyraźniej miały odchyły, bo wpatrywały się w rozneglizowanych z upodobaniem!

– To jest Nikola Wójcik i Olof Molin – powiedziała Rozalia.

– Hę? – poinformowała się na to prawniczka, w zasadzie wyrażając i moje zdanie.

– Poznaję – ciągnęła. – Paweł pokazywał mi zdjęcia. Tego faceta. To jest chłopak tej dziewczyny. A ona... – zająknęła się. – To ta zamordowana.

Mimowolnie łypnęłam raz jeszcze. Rzeczywiście to była ta, która zatarasowała nam spływ Krutynią.

– I Konopniak im grozi, że ich zamorduje... – zastanowiła się głośno Ginterowa. – Myślisz, że dasz radę zrobić kopię? – zapytała.

Potomek-Chojarska tylko prychnęła.

– Jedna dla Szpona – powiedziała jakby do siebie Rozalia. – A druga dla Pawła. Coś czuję, że jeszcze dostaniemy pochwałę od komendanta głównego za pomoc w rozwiązaniu sprawy morderstwa – powiedziała moja niewolnica.

Nie wiem, na jaką nagrodę liczyła. Na razie mogłam jej zaoferować możliwość nakarmienia mnie krewetkami w tuńczyku. Niejeden dałby się za to pokroić.

Wprawdzie nie wiem, który niejeden, ale na pewno by się jakiś znalazł.

Siema, koleżanki i koledzy,

znowu pojawiła się na horyzoncie chuda pani – posiadaczka kartonów. Teraz już sobie nie odmówiłem. Wykorzystałem chwilę nieuwagi i wskoczyłem do otwartego bagażnika jej samochodu. Pudełek tam ci było do wyboru, do koloru. Namierzyłem w miarę niewielkie. Wszak im trudniej się w takim zmieścić, tym bardziej się nadaje do użytku. Podważyłem dekiel jednym pacnięciem głowy (Rozalia czasem mówi, że musi mi wreszcie sprawić kask, bo sobie zrobię krzywdę, waląc łepetyną w co popadnie, ale ja tam nie zauważam na razie żadnych skutków ubocznych takiej metody postępowania). Wymierzanymi kopami, szarpaniem zębiskami i znów waleniem z bańki w karton udało mi się z niego wyrzucić buty. Wreszcie stał pusty i cały mój!

Już, już się brałem do wydobywania go z bagażnika, gdy nagle zobaczyłem pędzącą w moją stronę klapę.

A potem nastąpiła ciemność.

CZEŚĆ 4

W której wścibska sąsiadka donosi. Rozalia spotyka starego znajomego. Tymczasem w Osadzie Mateusz widzi za dużo, a Nikola Wójcik powraca z niej na dobre. Burbur przeprowadza akcję na cmentarzu. Wczasowiczami wstrząsa treść pewnego artykułu. Nastaje środa – Dzień Loda. Niki i Olof idą w tany.

– Skąd to masz? – chciał wiedzieć Paweł Ginter, ale mógł sobie wywnioskować z jej zaciśniętych ust, że guzik się dowie.

– Skąd mam, to mam – odparła, nie zamierzając wyjawiać swoich źródeł. – Przepraszam, muszę odebrać. – Od odpowiedzi na kolejne dociekania męża wybawił ją dzwonek telefonu. – Słucham? – odezwała się, widząc na ekranie numer swojej przychodni.

Paweł na szczęście oddalił się z pendrive'em w rękę, którego zawartość przed chwilą obejrzał na laptopie, wciąż jednak popatrując podejrzliwie przez ramię na Rozalię.

– To ja – usłyszała mało zrozumiały syk w słuchawce.

– Co za ja?

– Ewa. Ewa Jamioł. – Jej sąsiadka wciąż zniżała głos.

– Dlaczego dzwoni pani z przychodni? – chciała wiedzieć Ginterowa.

– Zakradłam się – wyjawiała Jamioł. – Do recepcji. Gdy ten cały Rafałek poszedł do toalety.

– Co się stało? – Rozalia nie miała ani czasu, ani nerwów na użeranie się ze wścibską znajomą.

– Wracaj lepiej, kochana – wyszeptała kobieta. – Jak najszybciej. Bo jeszcze trochę i własnego interesu nie poznasz!

– O czym pani mówi? – Ginter przyglądała się grupie kajakarzy sunących wzdłuż brzegu. Poruszali miarowo wiosłami. Łabędzie

i kaczki ustępowały im drogi.

– Rafałek się tu rozpanoszył! – donosiła Ewa Jamioł. – Swoje porządki zaprowadza! A przecież on nawet weterynarzem nie jest! – Ewa Jamioł każde zdanie kończyła wykrzyknikiem. – Odprawia stałych klientów – wyznała. A Rozalia się domyśliła, że pewnie tą stałą klientką była właśnie sąsiadka. Miała w zwyczaju przychodzić do lecznicy tylko po to, żeby poplotkować albo wywęszyć, co u kogo w Mikołajkach słychać. Nie opiekowała się żadnym zwierzęciem, ale to nie przeszkadzało jej w prowadzeniu szeroko zakrojonej akcji szpiegowskiej w przychodni. Ginter nie miała więc pretensji do swojego – choćby zatrudnionego po znajomości i na siłę – recepcjonisty za spławianie tej namolnej baby. – A w zamian przyjmuje jakichś typów spod ciemnej gwiazdy! – relacjonowała dalej Jamioł. – Gęby mają poobijane. Z oczu im źle patrzy. Jeden mnie nawet popchnął! I wcale nie przyprowadzają ze sobą psów czy kotów! Zamykają się z Rafałem na zapleczu i w ogóle nie mogą podejrzeć, co tam robią! – emocjonowała się.

Rozalia za to się domyślała, w czym rzecz. Młody Osipczuk zapewne kontynuował współpracę z Janem Sobottką – miejscowym szefem lokalnej mafii. Król Sielaw, jak nazywano Sobottkę, sprowadzał swoich bandziorów do przychodni Rozalii, gdzie ci w razie potrzeby byli opatrywani i otrzymywali leki.

Rozalii wydawali się – ci mikołajscy przestępcy – wyjątkowo gamoniowaci. Bo co rusz któryś trafiał pod jej opiekę. Ona wprawdzie była lekarką czworonogów, jednak z pewnością na udzielaniu pierwszej pomocy знаła się lepiej niż Osipczuk. Nawet z pewną dozą rozbawienia pomyślała o tym, jak ta zgraja niedorajd spod ciemnej gwiazdy będzie wyglądała po jej urlopie, jeśli zasywaniem ich ran zajmuje się nieopierzony student. Ekonomii!

– To jak, kiedy wracasz, złotko? – Ewa Jamioł przerwała te rozmowy.

– Nie tak prędko – odparła Rozalia.

Miała nadzieję, że sąsiadce znudzi się wtykanie nosa w nie swoje sprawy. Gdyby bowiem ona dowiedziała się o konszachtach Ginterowej z Sobottką, zostałyby o nich poinformowane całe Mikołajki.

A na to Rozalia Ginter nie mogła sobie pozwolić.



Tego wieczoru w stancy wodnej w Krutyni zapanowało poruszenie. Turystyczny gwar przeniósł się z wody na jej brzegi. Kajakarze mieli już dosyć całodziennego wiosłowania, poza tym zgłodnieli i się zmęczyli. Nadszedł czas na odpoczynek. Powyciągali więc na ląd swoje kajaki. Rozbili namioty. Ci, którzy mieli więcej szczęścia bądź refleksu, zameldowali się w wynajmowanych domkach czy pokojach gościnnych. Po czym wylegli znów na dwór. Część popędziła do karczmy na obiad. Inni wzięli się do rozpalania ogniska. W powietrzu unosił się zapach dymu, podpałki do grilla, smażeniny i sprayu na komary. Z telefonów dobiegała muzyka. Jakiś typ, siedząc wygodnie na leżaku i popijając piwo Kormoran prosto z butelki, puszczał sobie nawet na ekraniku smartfona kolejny odcinek serialu na platformie streamingowej. Panowała atmosfera ogólnego rozprężenia.

Spokój trwał do czasu, gdy pierwsza osoba trafiła na ten artykuł. Potem poszło niczym lawina. Albo efekt domina. Pełną parą ku katastrofie!

– „Krwawa kąpiel nad Krutynią”?! – Jakaś wczasowiczka polegająca na kocu rozłożonym przy ognisku odczytała na telefonie tytuł tekstu. – Gdzieś ty mnie, Staszek, zabrał?! – zwróciła się z pretensją w głosie do dorzucającego gałęzi do ognia męża.

– Co znowu? – Staszek nie bardzo słuchał swojej żony, bo mu to cholerne ognisko znowu wygasало, mimo że postępował wedle instrukcji zasłyszanej jeszcze na obozie harcerskim, na jaki udał się, mając lat około dwunastu. Mianowicie podpałkę w postaci zmiętych gazet dał pod spód. Na to cienkie, gołe drewnienka – takie, które najłatwiej powinny zająć się ogniem. I dopiero na górę większe

pniaki. Podpalił wszystko zapalką i patrzył, jak jego misternie ustawiona konstrukcja się chybcze, a potem pada jak jaka wieża WTC. – Noż jasna dupa! – rzucił ze złością Staszek.

– Wyrażaj się – upomniała go luba, po czym wróciła do interesującego ją tematu. – Olek Szpon tak pisze! – donosiła, wciąż z nosem w telefonie. – Że tu, o, w tej rzece... – wskazała na płynącą parę metrów od nich Krutynię – ...doszło do morderstwa. Krwawego! A ty mi się, stary, kazałeś dzisiaj w tym kąpać! – zezłościła się. – To nie wiadomo, czy ja teraz jakiego syfa nie dostanę!

– Co ty bredzisz, Małgoniu? – Staszek spojrzał na swoją wybranekę.

W tym momencie nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego lata świetlne temu właśnie ją poprosił o rękę. Co nim mogło kierować? Chwilowe zaćmienie umysłowe, być może.

– Ja bredzę?! – Małgonia aż zmieniła pozycję na siedzącą z tego wzburzenia. – Ja ci tylko cytuję! Słuchaj, ignorancie! – zaapelowała i zaczęła odczytywać zdanie po zdaniu. – Jak w „Bez Ściemy” tak piszą, to to musi być prawda! – dodała jeszcze. – *Krwawa kąpiel nad Krutynią!* – artykułowała. – *Antoni Konopniak (55 lat), proboszcz parafii Matki Bożej Różańcowej w Mikołajkach, bohaterem skandalu! Wielebny Konopniak od lat prowadzi obozy młodzieżowe skupione wokół środowiska oazy, w tym spływy Krutynią. Nikt jednak nie przypuszczał, co tak naprawdę kryje się pod płaszczykiem tych niby to religijnych wyjazdów.*

– Jak to co? – wszedł jej w słowo Staszek. – Pedofile, patologia i pederacji!

– Nie przerywaj! – warknęła Małgonia i przesunęła palcem po ekranie, by ominąć wyskakujące podstępnie reklamy i dobrać się do dalszego ciągu. – *Tego lata Konopniak znów zabrał na rzekę grupę nastolatków. Musieli jednak chwilowo przerwać spływ, ponieważ jakieś dwa kilometry za wsią Krutynią doszło do morderstwa!* – Małgonia zaakcentowała ostatnie słowo.

– Ciszej, garkotłuku, bo dzieci wystraszysz! – zauważył jej ślubny.

– Ja ci dam garkotłuku, ty matole! – Teraz to już Małgonia straciła nerwy. Porzuciła telefon na kocu, poświęciła się i wstała. Ruszyła na starego niczym rozjuszony byk. Albo raczej krasula.

– Morderstwo? – Przekaz podłapała wysoka kobieta, tak na oko po złej stronie trzydziestki, a w jej oczach zaświeciły kultowe w niektórych kręgach politycznych kurwiki. Po czym rzuciła się do swojego telefonu i odszukała rzeczony artykuł. – Kochanie, słuchaj tego! – Zwróciła się do swojego męża, który odmawiał wyjścia na ląd i wciąż kręcił kółka w kajaku, to oddalając się od brzegu, to do niego podpływając. – *Ofiara to Nikola Wójcik (25 lat), rodowita mieszkanka Krutyni, która niedawno wróciła w te strony z pracy zarobkowej na północy Szwecji. Policja pod dowództwem komisarza Pawła Gintera szuka winnego. A tymczasem pod nosem stróżów prawa broi wielebny Konopniak. W moje ręce trafiły właśnie dowody na to, że duchowny powinien nie tylko zostać odsunięty od pełnienia posługi kapłańskiej, ale i zamknięty za kratkami!* – wydarła się kobieta, bo jej druga połówka znów odpłynęła spory kawałek i kręciła bączki w szuwarach po drugiej stronie rzeki. – Zaplątałeś się tam? – zapytała zaniepokojona.

– Mogłabyś mi pomóc? – dobiegło ją nawoływanie.

Westchnęła i porzuciła lekturę. Trzeba było ratować niewydarzonego kajakarza.

– Za kratkami? – zaciekawiał się Piotrek, trzynastoletni uczestnik wspomnianego spływu. – Ja pierdziu! Ale turbo! – rzekł i w mig namierzył na swoim iPhone'ie zasłyszany artykuł. – Mordy, słuchajcie! – zwrócił się do grupki kolegów. Każdy z nich gapił się we własną komórkę, zatem chwilę potrwało, nim oderwali oczy od monitorków i zwrócili wzrok oraz uwagę na Piotrka. – *Wielebny Konopniak...* – czytał nastolatek. – Czaicie? To o naszym księdzu! – ekscytował się. – *Więc ...wielebny Konopniak groził śmiercią Nikoli Wójcik oraz jej chłopakowi Olofowi Molinowi (30 lat), co zarejestrowała kamera uczestnika jednego z poprzednich spływów Krutynią. Mówił – tu cytat – że ich zabije. Trudno chyba o bardziej bezpośrednie przyznanie się do winy. Ze zdobytego przez naszą*

redakcję nagrania wynika, że proboszczowi nie spodobało się to, że Wójcik i Molin postanowili wykąpać się nago w rzece. Wcześniej przemaszerowali środkiem obozu, ukazując się w strojach Adama i Ewy członkom oazy. Konopniak groził im ekskomuniką, rzucał w nich kijkami do smażenia kiełbasy nad ogniskiem, wzywał szatana, by ten zrobił z nimi porządek, a gdy nie zdołał wzbudzić w parze żadnej refleksji, wyjawiał chęć dokonania morderstwa. Czy to tylko przypadek, że jakiś czas później do zabójstwa rzeczywiście doszło?

Piotrek popatrzył po kolegach. Jeden położył się na trawie i wyglądał, jakby spał. Drugi grał w coś na telefonie. Trzeci korespondował z kimś na WhatsAppie. Czwarty zaś, patrząc nań tępym wzrokiem, rzekł:

– Kurwa, stary, ale przynudzasz. Idziemy na browara?

Choć chłopcy uczestniczyli w imprezie wyjazdowej o charakterze z założenia religijnym, to Piotrek tak przedstawionej propozycji nigdy nie odrzucał. Nie był nowicjuszem. Przecież z przyjaciółmi – w czasach gdy służyli do mszy jako ministranci – już nie raz i nie dwa obalili wino mszalne. Zнали się więc na rzeczy.

– Zabójstwo! – powtórzył otyły, na wpół posiwiasty, na wpół ołyśiały facet, który bardzo się cieszył, że znalazł sobie drugą, dużo młodszą żonę, bo przynajmniej miała siłę wiosłować za nich dwoje na tym całym niewydarzonym spływie. On już swoje przeżył i nie zamierzał się wysilać, gdy to nie było absolutnie konieczne. Siadał więc z tyłu kajaka i pozwalał się ciągnąć żonie w dół rzeki. Silna była jak koń! To jej trzeba przyznać. Teraz wyjął swój telefon i zaczął przeszukiwać sieć. Za jasną cholerę nie potrafił jednak znaleźć strony „Bez Ściemy”. – Kochanie! – zawołał. – Mogłabyś mi tu wygugłać? – zapytał. W końcu po coś drugi raz bawił się w tę całą żeniączkę. W obsłudze tych wszystkich diabelnych urządzeń, których z każdym rokiem przybywało jak psych gówien na trawnikach wraz z roztopami i bez których niedługo nie będzie już można bąka puścić, druga żona też okazywała się niezwykle przydatna.

Stary pierdziel – jak często sam o sobie myślał z rezygnacją – odebrał od wybranki telefon z ustawioną stroną z artykułem tego całego Olka Szpona, i kontynuował lekturę.

– Podkreślmy to z całą mocą! – czytał dalej mężczyzna. – Wielebny Konopniak miał motyw, by zamordować Nikolę Wójcik. Mógł nim kierować fanatyzm religijny. Publicznie groził, że to zrobi. Czy policja poczyniła jakieś kroki w tej sprawie? Będę jej deptał po piętach i informował Państwa na bieżąco. Jak zawsze na posterunku, Olek Szpon!

Facet poklepał się z satysfakcją po brzuchu opiętym przepeconym podkoszulkiem i poszukał wzrokiem swojej drugiej żony. Miał nadzieję, że przyniesie mu coś do jedzenia. Bo za nic nie chciało mu się ruszać z leżaka. A nawet gdyby nabrał na to ochoty, obawiał się, że zwyczajnie nie będzie w stanie się z niego podnieść. W zasadzie uświadomił sobie właśnie, że znalazł się w doprawdy kłopotliwym położeniu. Dobrze, że spał na pieniądzach. Były gwarantem tego, że druga żona się zbyt szybko do niego nie zniechęci. Zwłaszcza że zadbał o intercyzę.

– Już ja mu nadepnę na piętę! – warknął Paweł Ginter, także uporawszy się z lekturą „Krwawej kąpieli nad Krutynią”. – Ukatrupię tego bubka! – powtórzył nieświadomie groźbę wielebnego Konopniaka.

W przeciwieństwie do wczasowicza w wymagającym przepierki T-shircie podniósł się ze swojego leżaka bez problemu, z gibkością właściwą raczej dwudziestoparo- niż czterdziestoparolatki. Przeczesał palcami swoje bujne, pofalowane włosy, dzięki którym niektórzy porównywali go do tego hollywoodzkiego aktora, którego nazwiska nikt – łącznie z dziennikarzami telewizyjnych śniadaniówek – nie potrafił wymówić poprawnie.

I pognał do radiowozu.



Rozalia Ginter nie podzielała zdania Potomek-Chojarskiej. Uważała, że wciągnięcie Olka Szpona w ich plan było posunięciem nie tylko nierozsądnym, lecz wręcz głupim. Ten facet był nieprzewidywalny. A do tego o inteligencji średnio rozgarniętego osła. I z parciem na szkło, co zazwyczaj przysparzało kłopotów. Musiała więc być czujna. Szpon odpalił już pierwszą podsuniętą mu przez nie bombę. Druga – grubszego kalibru – miała posłużyć za narzędzie szantażu.

Na razie Rozalia miała jednak inny problem. Nie mogła nigdzie znaleźć Pedra. Dotąd kot nie oddalał się od namiotu. Trzymał się blisko, w odróżnieniu od tej powsinogi Burbury. Teraz przepadł jak kamień w wodę, mimo że chodziła po całej stancy i nawoływała go – dość rozpaczliwie – po imieniu. Zdenerwowała się nie na żarty.

Dała sobie spokój z kempingiem i postanowiła przejść się po wsi. Może kocurek zawędrował gdzieś dalej i teraz nie wie, którądy wrócić. Zaczynała tracić panowanie nad sobą. To biegła, to zwalniała. Rozglądała się na wszystkie strony. Czowała wypieki wykwitające na policzkach.

– Pedro! Pedrus! Gdzie jesteś?! – wołała, ściągając spojrzenia przechodniów.

Uniesienia brwi. Chichoty. Miała to gdzieś. Musiała znaleźć swojego kotka!

Dotarła do skrzyżowania, na którym, skręciwszy w prawo, można było się dostać do „przewozów łodzi” – jak głosiła biała tablica zawieszona na słupie, tuż obok podobnej, tyle że niebieskiej, reklamującej z kolei punkt informacji turystycznej. Stał tam w sąsiedztwie ulicznej zebry kiosk, w którym można się było zaopatrzyć w lody, pączki, naleśniki oraz gofry – a przynajmniej tak twierdziła reklama wieńcząca białą budkę z blachy falistej. „Zawsze słodko”!, pisano jeszcze na zachętę. Oraz na wystawionym na chodniku koźle mniej wybrednie: „Środa. Dzień Loda”.

– Przepraszam! – Rozalia dopadła do okienka, w którym tkwiła ubrana w biały fartuch młoda dziewczyna. – Nie widziała pani

czarnego kotka z białą krawatką? I wąsem? – dopytywała, oddychając ciężko.

– Panienko! – usłyszała za plecami. – Ale ja tu stałem – oznajmił bełkotliwie jakiś facet. – Teraz moja kolej!

Rozalia odwróciła się na pięcie i stanęła twarzą w twarz z menelikiem. Tak, by ten mógł jej się przyjrzeć i uświadomić sobie, że nie jest żadną panienką. (O co, zgodnie z zasadą głoszącą, że z tyłu liceum, z przodu muzeum, można by ją jeszcze podejrzewać). I że z pewnością nie ma sensu wchodzić z nią w niepotrzebne dyskusje.

Wyraz wkurzenia malujący się jeszcze przed sekundą na twarzy pani weterynarz zniknął w okamgnieniu. Zachwiała się. By nie upaść, chwyciła się drewnianego brązowego płotka pociągniętego wzdłuż chodnika. Znała tę wyniszczoną latami chlania taniej wody i jeszcze tańszego wińska, poczerwieniałą gębę. Te świdrujące, małe, wodniste oczka.

Przed nią we własnej osobie stał wujek Stasiu.



Nie był jej wujkiem. Ani w ogóle żadną rodziną. Wszyscy po prostu zwracali się do niego per „wujku”. Był wsiowym menelem wystającym całymi godzinami pod sklepem i barem U Ani w Tałtach. Miał w zwyczaju awanturować się z kim popadnie. I oskarżać wspomnianą, swoją drogą, Bogu ducha winną, Anię, że otruła go sprzedanym mu na krechę winem marki wino.

Jego egzystencja w ogóle nie interesowałaby Rozalii Ginter. Mógł tak sobie sterczeć i chlać, ile dusza zapragnie. Pech jednak chciał, że wujek Stasiu znalazł się w złym miejscu o nieodpowiednim czasie. I zobaczył zbyt wiele. Wprawdzie był – jak zwykle – pijany jak bela i drzemał w przydrożnym rowie. Jednak tego wieczoru rozpętała się ulewa. Ten naturalny prysznic musiał go otrzeźwić o tyle, o ile. I sprawić, że dziad stał się na wpół świadomym świadkiem wypadku. Wypadku, który spowodowała Rozalia Ginter. Ze skutkiem śmiertelnym.

A potem się okazało, że pojawiły się też fotografie stanowiące dowód przestępstwa. Posłużyły do szantażu – na szczęście w porę go udaremiono. Niewiele brakowało, a tajemnica Rozalii wyszłaby na jaw. Trudno stwierdzić, na ile wujek Stasiu kojarzył fakty. Wszak jego zwoje mózgowy były srogo przepalone. A ta, która wiedziała wszystko, leżała już gdzieś w głębinach jeziora Tałty. To menelisko jednak wciąż mogło Rozalii zaszkodzić.

Ginterowa, po chwili zamroczenia, wyminęła Stasia. Ten jednak się nią zainteresował.

– Halo! – zawołał za weterynarką. – Halo, panienko! Czy my się przypadkiem nie znamy?

Rozalia nie zamierzała odpowiadać. Przyśpieszyła kroku. Wiała, ile sił w nogach, z powrotem do stancy. I tylko się zastanawiała, co u diabła wujek Stasiu robi w Krutyni?! Przecież nie przyjechał na wakacje. Przypuszczała, że to mógł być pierwszy raz w życiu wujka Stasia, kiedy opuścił granice Tałt. No, może zdarzyło mu się zajrzeć do sąsiednich Mikołajek. Raz na dekadę.

Z każdym krokiem przybliżającym ją do pola namiotowego Rozalia utwierdzała się w tym przekonaniu.

Wujek Stasiu nie pojawił się tu przypadkowo.



Siedem miesięcy wcześniej, Osada

Mateusz usłyszał rżenie silnika. Czyżby zasnął do pracy i koledzy przyjechali po niego ciężkim sprzętem pod sam dom? Hałas to narastał, to słabł. Orzeł przewrócił się na bok. Wreszcie uchylił powiekę. Poczł szarpiący ból w plecach. Spanie od miesięcy na dmuchanym materacu rzuconym na podłogę odbijało się na jego zdrowiu. Ocknął się. Uniósł na łokciach. To nie terkotał żaden pojazd, tylko Tomek, który chrapał na łóżku tuż nad nim. Mateuszowi udostępnił podłogę w swoim pokoju, gdzie chłopak koczował, odkąd Niki z nim zerwała.

Początkowo miał jeszcze nadzieję na odzyskanie jej względów. Jednak intuicja go nie myliła. Wójcik miała na oku kogoś innego. I to jeszcze kogo! Tego cholernego, wiecznie milczącego Szweda, który przyjeżdżał do Osady jako kierowca Erikssona. Nazywał się Olof Molin i Mateusz szczerze go nienawidził. Jego zdaniem ten rosły blondyn wyglądał jak miks niedorozwiniętego umysłowo drwala z Muminkiem. Czym się tu było zachwycać, tego nie pojmował.

Sam się sobie dziwił, że tak dobrze znosi tę sytuację. Pomagało to, że na całe dni wybywał do pracy w lesie. A wieczorem nie miał już siły, żeby się ruszyć choćby do świetlicy, więc z rzadka widywał Nikołą. Tylko w przelocie, z oddali. Jednak wiedział, że jego była niemal narzeczona spotyka się z tym dryblasem. Ludzie gadali. A on nie był głuchy. Jego babcia zawsze powtarzała, że czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal, więc starał się być przynajmniej ślepy.

Szło mu dobrze. Aż do tego popołudnia. Miał wolne. Wybrali się z Tomkiem i jeszcze dwoma kolegami na biegówki. W Polsce w życiu nie miał na nogach nart. Z Mazur w góry za daleko. Tu był to podstawowy sposób poruszania się, zwłaszcza gdy nad okolicę nadciągały chmury śniegowe i biały puch pokrywał ziemię na długie miesiące. (Nawet teraz, w maju, warunki narciarskie wciąż były zadowalające). Szybko się więc podszkolił i teraz takie wyprawy sprawiały mu prawdziwą przyjemność.

Pojechali trasą wzdłuż brzegów jeziora. Bez żadnych wysokościowych szaleństw, tylko ścieżkami przez las. Po dwóch godzinach zrobili sobie przerwę na niewielkiej polance. Rozpalili ognisko i zagotowali herbatę w specjalnym czajniku, który wzięli ze sobą. Zagryźli bułeczkami cynamonowymi i pogadali trochę o planach na urlop. Tomek wybierał się do Polski, Mateusz jednak nie zamierzał wracać do rodzinnej wsi i świecić oczami przed znajomymi. Już widział te pełne współczucia, ale i ciekawości spojrzenia. Nie potrzebował litości. I nie chciał się tłumaczyć z tego, że Nikola go rzuciła. Może poleci w jakieś ciepłe kraje? Na Kanary na przykład. Szwedzi wciąż tam spędzali wakacje i sobie chwalili. Dlaczego więc on miałby nie spróbować?

Zmarzli, więc przypięli narty i ruszyli w drogę powrotną. Przed nimi była jeszcze jakaś godzina jazdy, gdy ich zobaczył. Najpierw z oddali ujrzał tylko dwie ciemne sylwetki, wtulone w siebie, wsparte o pień drzewa. Dopiero gdy się zbliżyli, zrozumiał, na co patrzy. Na parę uprawiającą seks na łonie natury. Że też im nie było zimno... A kiedy znaleźli się już naprawdę blisko kobiety i mężczyzny, Mateusz stracił impet, pomyliły mu się kroki, zahaczył kijkiem o jakiś głaz i tylko cudem uniknął wywrotki.

To byli Nikola i Olof.

Mateusz poczuł uderzającą niespodziewaną falą mdłości. Para tkwiła dość głęboko w zaroślach. Orzeł minął ich czym prędzej. Musieli go usłyszeć i się schować, bo gdy nadjechała reszta chłopaków, nikogo nie zauważyli. Mateusz pamiętał drogę do Osady jak przez mgłę. Na miejscu rozebrał się i poszedł do ustawionej na brzegu jeziora sauny. Siedział tam, dopóki mało nie omdlał z wycieńczenia i gorąca. Potem wbiegł w mroźne wody jeziora.

I nie czuł nic.

Prócz narastającej wściekłości.



Nikola żyła jak we śnie. Nie przypuszczała, że jej codzienność tak się odmieni. Nie mogła uwierzyć, że jeszcze do niedawna uważała się za buntowniczkę. Za rebeliantkę, łamiącą rodzinne i społeczne tradycje: żyjącą z chłopakiem pod jednym dachem przed ślubem, wyjeżdżającą z nim do obcego kraju, niezakładającą rodziny zaraz po skończeniu szkoły. Teraz dopiero rozumiała, jaka była dziecinna. Oczy otwierały jej się szeroko na świat i możliwości, jakie stwarzał. A to wszystko dzięki Olofowi. On był niczym z innej planety. Na obawy, które wyrażała nieśmiało, śmiał się tylko przyjaźnie i pokazywał jej, że życie może wyglądać inaczej. Co stanowiło też duże pocieszenie w kontekście ciężkiej, niedającej znów tak wielkich, jak oczekiwała, profitów pracy.

Chodziło w zasadzie o drobne rzeczy. Na przykład spontaniczne wypadki do miasta i spędzanie nocy w hotelu. Upojnej, należy dodać. Mateusz nigdy nie wpadłby na taki pomysł. A nawet gdyby ona mu go podsunęła, szkoda by mu było pieniędzy. Racjonalizowałby, że przecież mają gdzie mieszkać i dysponują własnym łóżkiem, w którym mogą zrobić dokładnie to samo, co w tym drogim przybytku noclegowym.

Właśnie w ten weekend Olof znów zaproponował wypad do Kiruny. Mieli pójść na dyskotekę, a potem zatrzymać się w hotelu, który już z nazwy zapowiadał jakieś brytyjskie klimaty. Nikola spakowała niewielką walizkę na kółkach i w piątek po pracy wsiadła w samochód Olofa. Popędzili do miasta. W torbie miała kolejną partię listów. Wysyłała je już od dłuższego czasu. Ta staromodna metoda komunikacji w gruncie rzeczy była prostsza. Wpadła na to, gdy sama dostała przesyłkę od siostry. Internetowi nie mogła ufać. Ich telefony czy komputery mogły być monitorowane. Eriksson był jak wielki brat. Wolała nie ryzykować.

Droga prowadząca przez las zazwyczaj świeciła pustkami. Prędzej można na niej było spotkać renifera niż człowieka czy drugie auto. Jednak tego popołudnia natrafili na spory ruch. Minęli ze dwa wozy jadące w przeciwną do nich stronę, a i w lusterku wstecznym Niki dostrzegła daleko za nimi jakiś pojazd.

Zameldowali się w Bishop Arms – z zewnątrz wyglądało to na niezłą budę, jednak środek ją zaskoczył. Pokój był naprawdę luksusowy, a potem jeszcze trafili do sali wspólnego użytku ze ścianami zastawionymi sięgającymi sufitu regałami pełnymi książek. Do tego skórzane fotele, kominek i Winston Churchill spoglądający na nich z obrazu. Pomieszczenie przypominało jakiś londyński klub dżentelmena z przeznaczeniem tylko dla lordów. Wyjęła pierwszy z brzegu tom z regału i próbowała coś zrozumieć z treści. Niestety był napisany po szwedzku, a ona wciąż nie nauczyła się tego języka. Co nieco rozumiała, ale z pewnością nie była w stanie czytać w nim płynnie książek. W pracy dzień w dzień spędzała z Polakami, co nie ułatwiało sprawy. Nagle poczuła się nieswojo.

Zapieкло ją między łopatkami. Jakby ktoś celował laserem w jej plecy. Odwróciła się powoli w obawie, co zobaczy za sobą.

Nie było tam jednak nikogo. To tylko Winston łąpał na nią swoim pociągniętym olejną kreską okiem.

Napili się z Olofem po piwie w hotelowym barze. Przebrała się w obszytą cekinami sukienkę i ruszyli na zabawę. Po drodze chłopak zaciągnął ją do małego sklepiku z rękodziełem i kupił jej bransoletkę. Drewnianą, składającą się z turkusowych kuleczek. Piękną! Niki z miejsca postanowiła się z nią nie rozstawać! Pomyślała o Vani. A może by tak w ramach zakopania topora wojennego...

Mateusz w życiu nie wpadłby na pomysł, by zrobić jej taki spontaniczny prezent. Owszem, podarował jej – a raczej zamierzał – pierścioneł zaręczynowy. Jednak nie chodziło o wartość nominalną biżuterii, tylko o charakter całej sprawy.

Olof, mimo swych ogromnych rozmiarów, tańczył całkiem nieźle. Podbili więc parkiet i nie schodzili z niego przez długie godziny. Robili sobie tylko przerwy na drinki i toaletę. I właśnie podczas jednej z nich Nikola znowu to zauważyła. Nie wiedziała nawet dokładnie co. Ale... czyżby ktoś ją obserwował? Śledził? Od tego przebywania na odludziu w ciemnym lesie zaczynała popadać w paranoję. W każdym razie pomyślała, że zza filaru ktoś wygląda i kieruje wzrok prosto na nią. Kiedy jednak podeszła bliżej, nikogo tam nie było.

Wykończeni wrócili do hotelu na chwiejnych nogach. Zasnęli, ledwie przyłożywszy głowy do poduszek.

Dopiero przy śniadaniu wszystko się wyjaśniło. Zasiedli w tym przytulnym, przypominającym angielskie salony wnętrzu i zabrali się do swoich porcji. Nikola właśnie wbijała zęby w bułkę z szynką, gdy Olof poderwał się gwałtownie z krzesła, przewrócił kartonik z ekologicznym sokiem gruszkowym, a po blacie zaczęła ściekać biała strużka.

– *Enough!* – warknął po angielsku.

Skoczył za próg i z sąsiedniego pomieszczenia przywłóknął broniącego się słabo Mateusza Orła.

– Co tu robisz? – spytała Nikola przez ściśnięte gardło. – Zwariowałeś?!

Mateusz w pierwszej chwili próbował zaprzeczać oczywistemu. A przecież jasne stało się dla wszystkich, że ich śledził. Przyjechał tu za nimi i zamierzał... właściwie co? Wyglądał naprawdę marnie. Oczy podkrążone, ubranie wymięte. Nikola przypuszczała, że nocował na jakiejś ławce w parku – w każdym razie przywodził na myśl kłozarda. Szybko się poddał. Przyznał do wszystkiego. Wciąż nie mógł przeboleć rozstania.

Nikola utwierdziła się w przekonaniu, że podjęła słuszną decyzję.

Olof bez ceregieli wypchnął Polaka z Bishop Arms. I udzielił mu rady, by nigdy więcej nie deptał im po piętach. Gdyby Nikola była na miejscu Mateusza, z pewnością by posłuchała.



Teraz, Krutyń

Drogi pamiętniczku,

ci, którzy mnie znają, zdają sobie sprawę z tego, że daleko mi do uzyskania tytułu matki roku. Nawet pretendowała nie będę. Dzieci nie znoszę, zwłaszcza własnych. Pech jednak chciał, że Rozalia uparła się, by po tym całym moim porodzie zostawić z nami Pedra. Nawet mnie o zdanie nie spytała. Gdyby to zrobiła, od razu bym jej powiedziała, że nie chcę zatrzymywać żadnego z czterech sraluchów, które sprowadziłam na ten padół łez. ŻODNYGO!

Ale nie, synalek został i nie było dyskusji. Zatem z czasem, chciał nie chciał, przyzwyczaiłam się do gamonia. Na swój sposób się o niego troszczyłam. Palnęłam w ucho, kiedy zachowywał się niestosownie, żeby nauczyć go nieco manier (w dzieciństwie olałam sprawę, ale lepiej późno niż wcale). Nasyczałam, gdy żarł za długo. To w sytuacji, gdy ja już swoją porcję krewetek w tuńczyku skonsumowałam, ale dalej byłam głodna, więc zamierzałam się poczęstować zawartością jego miski. Wszystko dla dobra jego figury!

Zatem pewnie każdy zrozumie moje poirytowanie, gdy tego dnia odkryłam, że Pedro zniknął! Kiedy ja już zdążyłam się przywiązać do tej łajzy, to ona wyparowała!

Od razu rozpoczęłam akcję poszukiwawczą. Nie musiałam się obawiać, że wpadł do rzeki i się utopił. Przepada za kąpielami w takim samym stopniu jak ja, więc do wody by się z własnej woli nie zbliżył. Musiał więc gdzieś poleżeć i się zgubić.

W namiocie go nie znalazłam, chociaż wyróciłam do góry nogami wszystkie zalegające w nim rupiecie. Zniżyłam się nawet do rozmowy z patyczakami.

– Gdzie Pedro? – zapytałam mianowicie, stając przed nimi i podnosząc głos, żeby mnie dosłyszały mimo wetkniętych w uszy słuchawek. Podłączyły je do kalkulatorków, z którymi się nie rozstawały nawet podczas wizyty w kłocie. Pomyślałby kto, że na nich coś liczą, bo tak lubią matematykę. Nic z tych rzeczy. Dokładnie sprawdziłam, zatem wiedziałam, że bliźniaczki zajmowały się głównie oglądaniem na tych ustrojstwach debilizmów. Żeby chociaż gustowały w śmiesznych filmikach z kotkami, tobym była w stanie pojąć. Jednak one wgapiły się tylko w durnoty. Nie przytoczę szczegółów, bo nie będę się zniżać do ich poziomu. Który zresztą zaprezentowały, wreszcie odpowiadając na moje jasne przecież pytanie.

– Ty – powiedziała jedna do drugiej, szturchając siostrę łokciem między żebra (nie pytajcie, która którą, bo ja ich nie rozróżniam). – Burbur się drze.

No, muszę przyznać, że mną zatrzęsło. Taki brak szacunku!

– Może jest głodna – odparł patyczak. Całkiem niegłupio. Ja zawsze chętnie wrzucę coś na ruszt.

– Dopiero co zżarła śniadanie – odezwała się ta druga dziewczucha, najwyraźniej zbyt długo przytrzymana w łonie matki, a przez to niedotleniona w rejonach mózgowych.

– Szukać Pedra, gamonie! – Spróbowałam raz jeszcze przemówić im do rozumu.

Czego ja się jednak spodziewałam, skoro im najwyraźniej zbywało na szarych komórkach?

– Pewnie tak sobie burczy – orzekła jedna z drugą. – Ciszej, Burcok, bo zagłuszasz mi Harry'ego – rzuciła w moją stronę Hania.

Albo Helenka.

Głowy nie dam która. Już ja dobrze wiem, o jakiego Harry'ego jej szło. To taki chuderlawy wymoczek, który niby jest piosenkarzem, ale to już ja pięknie nadwyreżam struny głosowe niż ta nedorajda. Jedno trzeba mu przyznać – szaleję za nim miliony takich patyczaków, jak te Ginterowe. Dlaczego – tego pojąć nie sposób.

Skoro jednak ten fałszujący anorektyk był dla nich ważniejszy od Pedrusia, wypięłam się na nie czterema literami i wzięłam sprawy w swoje łapy. Zrobiłam szybki obchód po kempingu, nawołując synalka. Bez skutku. Wystrachałam się już na dobre, chociaż ja niczego się nie boję. Z zasady. Przebierałam swoimi krótkimi łapkami, ile Bozia w podwoziu dała, i rozglądałam się po kątach. Zauważyłam to wielgachne beemwu należące do znajomej Rozalii zaparkowane na terenie stacji. Strach o synalka strachem o synalka, ale nie omieszkałam zaznaczyć swojego niezadowolenia z pobytu tej chudej jędzy w pobliżu mojej kociej osoby. Już nie miała dokąd się wybrać na wywczas, tylko tam gdzie ja? Czyżby mnie śledziła? Czyżbym miała stalkerkę? Podbiegłam do tego jej krowiego wozu i wbiłam pazur w oponę. Przyznam, że była za twarda i tylko mi się manikiur schrzanił przez tę akcję. Za to lakier na karoserii nie stawiał już tak wielkiego oporu...

Gdy składałam autograf, usłyszałam nagle dziwne dźwięki dobywające się z wnętrza samochodu. Przypominały zawroźdzenie jakiegoś gamonia. Czekał,

czekaj...

Matko z córką oraz ojciec z synem! Toż to Pedro darł japę ze środka auta! Obiegłam dookoła beemwicę i zlokalizowałam tę niedorajdę. Że też takie niepociumane coś stanowiło moją progeniturę. I niech mi jeszcze raz ktoś próbuje wciskać kit o istnieniu tej całej genetyki. Wymysły dla naiwnych, ot co! Dowodem na słuszność mojego sceptycyzmu jest Pedro! To po prostu niemożliwe, żeby odziedziczył po mnie tak mały mózdzek. No chyba że po tatusiu... Jednak kto nim był, nie pamiętam, a i sam ojciec dzieciom jakoś się nie zgłosił, by zapłacić alimenty, więc wpisuję go we wszelkie urzędowe rubryczki jako NN. Do rzeczy jednak! Jakim cudem Pedro pozwolił się zamknąć w furze Potomek-Chojarskiej? Bo wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że właśnie tam przebywa. I niby jak ja go miałam teraz stamtąd wyciągnąć? Przecież nie dysponowałam kluczami.

Mimo to spróbowałam wykonać skok na beemę. Przyniosło to tylko mój upadek w trawę i upokorzenie. Tu nie było co fikać. Tu trzeba zastanowienia. Musiałam znaleźć tę cholerną adwokatkę! Gdzie też mogła się podziać? Wystawiłam swój pomarańczowy nos i niuchnęłam. Poczulałam jakiś intrygujący zapach. Co to mogło być? Nie zawadziło się przekonać. Ruszyłam złapanym tropem. Prowadził w stronę domków kempingowych. Z każdym moim krokiem przybierał na intensywności. Był niczego sobie. Taki... smakowity. Wreszcie dotarłam do jego źródła. Zadarłam głowę. I cóż ujrzałam? Ognisko, a nad nim piekące się kielbaski!

Skoro już się tu pofatygowałam, to żal było nie skorzystać. Przyczałam się więc i w chwili nieuwagi tych wszystkich oazowiczów, którzy zorganizowali sobie piknik, capnęłam leżącą na srebrnej tacce kielbachę i oddaliłam się z nią w celu skonsumowania zdobyczy w spokoju. Jakoś tak przypuszczałam, że mogliby mieć coś przeciwko temu, że się poczęstowałam. Sknery.

Przeżuwałam kęs po kęsie jak na damę przystało (tym się odróżniam od Pedra, który rzuca się na żarcie, jakby nie miał nic w pysku od tygodnia, a potem trzepie łbem na boki i rozwała resztki w promieniu stu metrów; znów za przekazanie mu tych plebejskich zachowań muszę obwinić NN), gdy posłyszałam znajome głosy. Nie przy samym ognisku, tylko dochodzące od strony lasu. Oderwałam się na chwilę od kielbasy i tyknęłam żółtym ślepiem w tamtym kierunku. I dostrzegłam nie kogo innego jak te dwie piekielne baby. Zwały szeregi i kombinowały coś z... panem klechą!

Co ja to chciałam od tej całej Potomek-Chojarskiej? Zaświtało mi w głowie, że chyba jej szukałam. Tylko w jakim celu? Przypomnieć sobie nie potrafiłam! Zbrzydło mi już to pożywienie dla psujów, więc je porzuciłam i ruszyłam do Rozalii oraz bezimiennej adwokatki. Dalej sterczały w tym samym miejscu. Z mojej pozycji doskonale widoczny był chudy tyłek Ginterowej odziany w spódnicę, którą podobno przysłała jej koleżanka Karolina Garczyńska, bo na nią była za mała. Swoją drogą zaczynało być to już moim zdaniem podejrzane. Ta cała Garczyńska regularnie obdarowywała weterynarkę niechcianymi ubraniami. A przynajmniej tak oświadczała Rozalia Pawełkowi, gdy kolejny raz w tym samym miesiącu odbierał paczkę od kuriera. „Och! – powiedziała. – Karolinie nie pasują te trzy kiecki, więc mi przysłała”. Na pytanie Pawełka, zadane na szczęście Rozalii w sporym roztargnieniu, skąd zna tę koleżankę, odpowiadała, że: „Och, jeszcze z dzieciństwa, nie miałeś okazji jej poznać”.

Chłopy wszystko łykną. Nie od dziś wiadomo, że nie są specjalnie rozgarnięte. Ja jednak uważałam za podejrzany fakt, że te wszystkie ciuchy przychodziły owinięte w worki z logo składające się w ozdobny napis: „Karolina Garczyńska”. Ginter zawsze odczytywał je na głos. Która zwykła baba dysponuje takimi spersonalizowanymi opakowaniami? Sami sobie odpowiedzcie na to pytanie, bo na Pawełka nie można liczyć w tej kwestii.

W każdym razie, wracając do tych dwóch cwaniar – stały do mnie tyłem, a przed sobą miały, tak jak słusznie przypuszczałam, wielebnego Konopniaka siedzącego w rowie. Coś tam do niego nawijały. Wtem prawniczka wyjęła komórkę z torebki.

– Szpon, ty gamoni! – warknęła do słuchawki i pognała na lewo, w stronę drogi.

Najchętniej bym się rozdwoiła, żeby nadążyć za przebiegiem wypadków na każdym froncie. Na szczęście nie musiałam. Po kilku sekundach przy widocznym z mojej pozycji wejściu do stancy zaparkował jakiś samochód. Wychynęła zeń ta żurnalistyczna menda Olek Szpon, który najwyraźniej wreszcie się skapnął, że jego tajną informatorką jest nie kto inny, jak znajoma prawniczka na obcasach. Został z miejsca dzielony w dekiel przez rzeczoną, która następnie przemówiła do niego znów nie nazbyt miło.

– Mówiłam, że jeszcze nie teraz, imbecy! – powiedziała mianowicie.

Dziennikarzyna zaczął pyskować, ale adwokatka zamknęła mu dziób krótkim: „Bo cię przeczolgam po sądach, debilu” – widać miała w zanadru cały słownik synonimów tych inwektyw. Na to Szpon rzeczywiście się przyknał i opadł na siedzenie swojego rzęcha.

W tym czasie Rozalia perorowała do Konopniaka.

– Tu – rzekła i postukała palcem w jakiś plik papierów. – Podpiszesz.

– Nie podpiszę! – rzucał się wielebny, ale oczywiste było, że siedzi (bo już nawet nie stał) na straconej pozycji.

– Albo będziesz całkiem skończony – warknęła. – Widzisz go? – zapytała i wskazała na gapiącego się bezmyślnie przed siebie Szpona. – Część materiałów już opublikował. Ale ma dużo więcej dużo gorszych rzeczy – zapowiedziała enigmatycznie. – Jedno moje słowo, a wszystko pójdzie w „Bez Ściemy”.

– Coście mi podłożyły?! – stękał duchowny.

– Podłożyłyśmy albo nie – oznajmiła filozoficznie Ginterowa. – Dowodów nie masz. A my owszem. Podpisuj! – zażądała.

Na to wróciła Potomek-Chojarska i zaczęła cmokać z niezadowoleniem nad księdzem.

Rozalia potrafiła być nieprzyjemna. Jednak do adwokatki było jej w tej konkurencji daleko. Nawet ja się jej trochę wystraszyłam w tym momencie. A co dopiero taka lebiega jak wielebny Konopniak. Złożył podpis zamaszystym ruchem na papierach podłożonych mu pod nos i wspartych na tekturowej teczce.

– A jaką mam teraz gwarancję, że tego jednak nie opublikujecie? – zorientował się poniewczasie.

– Żadnej – odparła mu na to Rozalia. – ŻODNYJ! – powtórzyła.

Moja krew.

W tym momencie znowu mi coś zaświtało. Przecież jeszcze przed chwilą miałam jakąś misję do zrealizowania. Jednak jaką? Kto by to wszystko spamiętał. Rozalia ruszyła w moją stronę, przyciskając papierzyska do piersi, Potomek-Chojarska poszła zaś użerać się ze Szponem. Konopniak siedział w rowie i wzdychał ciężko.

– Bureczek – przywitała mnie moja niewolnica. – A gdzie masz Pedrusia? – zapytała.

No tak! Gdybym miewała wyrzuty sumienia, pewnie palnęłabym się teraz łapą w czołko. Wszelkie negatywne uczucia wobec samej siebie są mi jednak obce. Zatem tylko miauknęłam na Ginterową i poprowadziłam ją w stronę beemwicy. Co parę kroków odwracałam się za siebie, by sprawdzić, czy aby na pewno zrozumiała, co się do niej rozmawia, i czy za mną podąża.

– Co mi chcesz pokazać, Bureczku? – dociekała, udowadniając, że jednak główka pracuje.

„Zatrzaśniętego w bagażniku synalka chcę ci pokazać”, odrzekłam. Nie musiałam się za bardzo silić z dalszymi wyjaśnieniami, bo gdy dotarliśmy do auta, z jego wnętrza dobiegało wyraźne zawodzenie.

Rozalia w mig pojęła, w czym rzecz, i rozpoczęła akcję ratunkową Pedra Gintera. Który oczywiście został odnaleziony cały, zdrowy i siedzący w... pudełku na buty.

Genetyka to jedno wielkie oszustwo.

Będę powtarzać uparcie – to nie może być mój syn. Przecież od kołyski tłukę mu do łba: wille, bogactwo, luksusy! A ten co? Najchętniej zamieszkałby w kartonie!

W każdym razie moja robota była tu już odfajkowana. Poszłam więc do namiotu, sprawdzić, czy jednak nie zostało w misce coś jeszcze ze śniadania.

Siema, koleżanki i koledzy,

otarłem się o śmierć! Moja rada – nigdy nie wskakujcie do bagażnika nieznanego samochodu, bo jakieś wściekłe babska mogą was w nim zamknąć na tak zwany amen. Po chwili ekscytacji i rozejrzeniu się po ciemnym wnętrzu cała afera mi się znudziła i wyraziłem chęć wydostania się na zewnątrz. Nikt mnie jednak nie wysłuchał. Mimo że waliłem makówką w dekiel swojego niespodziewanego więzienia, nie przyniosło to upragnionych rezultatów. Zawarto mnie w tym aucie i zapomniano o moim istnieniu. Wołałem o pomoc, ale ta nie nadchodziła. W pewnym momencie wydawało mi się nawet, że wyczuwam zapach mamonia, jednak musiałem się pomylić.

Nie pozostało mi już nic innego, tylko sięść i płakać. Co też uczyniłem.

Odsiecz przyszła, gdy już całkiem straciłem nadzieję. To była Rozalia razem z tym przerażającym babskiem. Ginterowa wyjęła mnie z więzienia, przytuliła do piersi i użalając się nad moją tragiczną sytuacją, zaniosiła do namiotu. Tam w ramach zadośćuczynienia za poniesione krzywdy poczęstowała mnie nadprogramową saszetą. Wyobraźcie sobie, że Burbur odepchnęła mnie od miski, nasyczała na mnie, a potem mi bezpardonowo zeżarła trzy czwarte dania.

Czy ktoś wie, gdzie można złożyć (i w ilu egzemplarzach) wniosek o wymianę matki na jakąś mniej nienazartą?



Paweł Ginter miał w pamięci swoją poprzednią dużą sprawę kryminalną. Szukał wtedy mordercy pewnego mężczyzny, który zginął u wybrzeży jeziora Tały. Śledztwo szło prawidłowo, jak mu się wydawało, a potem się okazało, że zrobił z siebie głupa. Aresztował nie tego, kogo powinien. Tym razem chciał uniknąć podobnej sytuacji. Zwłaszcza że był tu niejako na gościnnych występach. Musiał się więc postarać jeszcze bardziej, by nie przynieść wstydu sobie i mikołajskiej komendzie, którą reprezentował.

Miał swoje podejrzenia co do tego, kto mógł zamordować Nikołą Wójcik. Gdyby się kierował instynktem, to chętnie zamknąłby w areszcie Filipa Orła. Karczmarz najwyraźniej nie przepadał za Wójcikówną i się z tym wcale nie krył. Obwiniął ją o to, że porzuciła jego syna, gdy razem mieszkali w tej jakiejś Osadzie na północy Szwecji. Zamiast niego wybrała tego dziwnego Olofa. Czy to jednak był wystarczający powód, żeby zamordować dziewczynę? Paweł spotykał się w życiu z bardziej błahymi motywacjami. Człowiek potrafił zadecydować o życiu drugiego, zyskując dzięki temu przysłowiowe dwie dychy. Pawła Gintera niewiele już mogło zadziwić.

Komisarz powstrzymywał się jednak przed radykalnymi krokami. Musiał głębiej wejść w tę sprawę. W tę niewielką społeczność, która najwyraźniej skrywała przed nim jeszcze wiele tajemnic.

Jego rozmyślenia przerwały jakieś niezidentyfikowane odgłosy. Ginter wybrał się na samotną przechadzkę wzdłuż rzeki. Nawet nie bardzo zdając sobie z tego sprawę, zabrnął w zarośla. Teraz jednak poczuł, że nie jest tu sam. Dostrzegł między krzakami jakieś cienie. Instynktownie schował się za drzewem i zaczął nasłuchiwać.

– Mówię ci, z nim jest coś nie tak – przekonywała jakaś dziewczyna.

Paweł wychylił się ostrożnie ze swojej kryjówki i przyjrzał postaciom. Trzy osoby rozmawiały ściszymi głosami, wciąż rozglądając się czujnie wokół siebie.

– To nie był pierwszy raz – przyznała rację tej pierwszej druga. – Wtedy gdy zginęła ta kobieta, też gdzieś łąził po nocy.

Na tę informację Ginter zamarł. Denerwował go najmniejszy szmer niezwiązany z inwigilowaną dyskusją. Najchętniej wyskoczyłby z ukrycia i legitymując się policyjną odznaką, nakazał rzece przestać szumieć. Pod groźbą utraty wolności do lat trzech. Opanował się jednak i słuchał dalej.

– A ja go widziałem, gdy wracał. Już niemal świtało – dodał towarzyszący koleżankom chłopak. – Myślicie, że powinniśmy z tym iść na policję? To niby jest ksiądz, ale same przyznacie, że nienormalny.

– Chyba cię powaliło! – uznała jedna z dziewczyn.

– Lepiej już stąd chodźmy – zakończyła dyskusję druga.

Paweł czekał. Jeżeli trójka by zawróciła i poszła w jego stronę, z pewnością kryjówka zostałaby zdemaskowana. Młodzi ludzie gotowi sobie pomyśleć o nim nie wiadomo co. Sam siebie wziąłby za zboczeńca czającego się w krzakach. Z ulgą jednak stwierdził, że ruszyli w przeciwnym kierunku.

Wyprostował się, otrzepał ubranie i ruszył w poszukiwaniu wielebnego Konopniaka. Bo to przecież tylko o nim mogła być mowa.

Znalazł go siedzącego na molo i moczącego stopy w przepływającej pod nim Krutyni. Wyglądał na zamyślonego. Zauważył Pawła dopiero, gdy ten stanął tuż obok. Duchowny popatrzył na policjanta niewidzącym wzrokiem.

– Szczęść Boże! – przywitał się fałszywie radosnym tonem.

Paweł przykucnął obok. Choć szczerze mówiąc, miał ochotę wepchnąć Konopniaka do rzeki, a na dobitkę palnąć go gałęzią

w czerep. Wiedział, że Rozalia prowadzi potajemną krucjatę przeciwko wielebnemu i jego próbie przejęcia spadku po Jadwidze. Matka wprawdzie sama zapisała parafii swój dom, ale żona nie zamierzała się z tym tak łatwo pogodzić. Mieli w końcu troje dzieci, którym należała się spuścizna po babci. On jednak nie czuł się na siłach szarpać z Konopniakiem. Poza tym wolał się nie wtrącać. Przypuszczał, że Rozalia i tak dopnie swego. Jak zawsze. Niekoniecznie legalnymi sposobami. Lepiej więc było, by on o niczym nie wiedział. Przynajmniej oficjalnie. Co nie zmieniało faktu, że Konopniak ostro grał mu na nerwach. A teraz jeszcze bawił się w jakieś pseudouprzejme pozdrowienia. Ginter postanowił nie owijać w bawełnę.

– Gdzie ksiądz był w noc śmierci Nikoli Wójcik? – zapytał i obserwował twarz rozmówcy. Ta pozostawała niezmienną. Jakby utoczona z wosku.

– Kogo? – Konopniak odezwał się po zbyt długiej chwili milczenia.

Nie żył na Księżycu. Wszyscy już w Krutyni wiedzieli, kim była Nikola Wójcik. Tak miejscowi, jak i turyści. Plotki rozprzestrzeniały się tu szybciej, niż biegł nurt rzeki.

– Gdzie ksiądz był? – powtórzył komendant, nie bawiąc się w niepotrzebne wyjaśnienia.

– Ach, no pewnie spałem – skłamał duchowny. – W swoim domku kempingowym. W którym ktoś powybił szyby! – dodał. – Może tym by się zajęła policja?!

Konopniak wyglądał na wytrąconego z równowagi. Paweł nie miał jednak pewności, czy to wskutek jego pytań, czy chodziło o coś zupełnie innego. Jeszcze większych podejrzeń nabrał, gdy zobaczył wyraz twarzy proboszcza na widok Rozalii. Żona właśnie pojawiła się na horyzoncie. To, co malowało się na facjacie Konopniaka, można było nazwać tylko czystym przerażeniem. No i ciekawa sprawa z tą dewastacją...

– Bo słyszałem, że spacerował ksiądz po okolicy – drażył Ginter. – Po nocy.

– Och, no mogłem się udać za potrzebą – wymamrotał, nie odrywając wzroku od weterynarki.

– I wrócił ksiądz z toalety dopiero nad ranem?

– Kto tak twierdzi? – Konopniak się zirytował. – Te bubki z oazy? – wyrwało mu się.

Paweł tylko uniósł brwi.

– Wieczorem opilem się browara – wyznał. – Co w tym złego? – Przeszedł do ofensywy. – Ile można doić to wstrętne wino mszalne? Panie Ginter, toż to większego sikacza pan nie znajdziesz – poskarżył się. – W kartonach to przywożą na plebanię! No i przez to piwo mnie potem goniło pół nocy. Ale pan komendant chyba nie sądzi, że ja miałem coś wspólnego ze śmiercią tej dziewczuchy?

– Może sędzę – odparł enigmatycznie Ginter. – A może nie.

– O! – ryknął Konopniak. – Dalej mnie trzyma! Przepraszam się z panem komendantem, ale potrzeba wzywa! – rzekł i się oddalił w kierunku sanitariatów.

Zdegustowany Paweł opuścił mostek. Naprawdę miał dosyć towarzystwa duchownego.



Rozalia Ginter z oddali ujrzała swojego męża rozmawiającego z tą gnidą Konopniakiem. Nie wiedziała, czy to wyobraźnia płata jej figle, czy rzeczywiście dostrzegła na twarzy księdza wyraz strachu na swój widok. Miała nadzieję, że tak właśnie było. Niech się boi, złodziej spadków! Minęła ich bez słowa i już chciała zawołać dziewczynki i zaciągnąć je do karczmy, by tam wepchnąć w nie obiad (oficjalnie z powodu diety odchudzającej żywiły się tylko sałatą, ale gdy nikt nie widział, wsuwały czekoladowe batoniki, aż im się uszy trzęsły), gdy rozdzwonił się jej telefon.

Przychodnia.

Odebrała z ociąganiem. Nie miała ochoty na dyskusje z Rafałem Osipczukiem albo – jeszcze gorzej – Ewą Jamioł, jak ostatnio.

– Rozalia – wychrypiał w słuchawce męski głos.

– Robert? – Ginterowa od razu poznała starego Osipczuka.

– W zasadzie nie powinienem dzwonić – wyszeptał. – Mój telefon z pewnością Sobottka ma na podsłuchu. Więc korzystam z aparatu w twojej recepcji – tłumaczył.

– A u mnie to nie ma pluskwy?! – wypaliła ze złością Rozalia.

Dawno nie miała kontaktu z Robertem Osipczukiem. Zaprzyjaźnionym (do czasu) gangsterem. Ostatnio ich drogi nieco się rozeszły. Robert wciąż był na smyczy Jana Sobottki.

– Z tego, co wiem, to nie – wymamrotał Osipczuk. – Słuchaj, muszę się streszczać, bo zaraz Rafał wróci, a nie chcę młodego w to wplątywać.

– W co?

– Bo widzisz – owijał znowu w bawełnę – wydaje mi się...

Rozalia poczuła narastające zdenerwowanie. Osipczuk nie dzwoniłby bez powodu. Jego przydługie wstępy tym bardziej nastrojały ją pesymistycznie.

– Wydaje mi się, że Sobottka coś wie – powiedział wreszcie. – Na temat wypadku twojego syna.

Na tak spuszczoną bombę Rozalia musiała przysiąc tam, gdzie akurat stała, czyli na spłachetku gołej ziemi.

Nagle Osipczukowi zaczęło się śpieszyć. Wyjaśnił, że podczas jednego ze spotkań z Sobottką, odbywających się w zarządzanym przez niego luksusowym hotelu Na Wodzie, położonym u brzegów Jeziora Mikołajskiego naprzeciwko willi Ginterów, w pewnym momencie Robert został w gabinecie zupełnie sam. Sobottka zazwyczaj nie dopuszczał do takich sytuacji. Obsesyjnie chronił swoją prywatność. Nie ufał nikomu. Nawet własnej córce – choć tu akurat miał solidne ku temu podstawy, kobieta niemal doprowadziła

go do bankructwa. Tym razem jednak się zagapił. Ktoś do niego zadzwonił, gangster chciał porozmawiać na osobności, więc wyszedł, zostawiając podwładnego samemu sobie. A ten skwapliwie z tego skorzystał i przejrzał zawartość biurka szefa.

– On ma cały segregator informacji o tym wypadku – wyjawiał teraz Osipczuk. – Nie zdążyłem wszystkiego dokładnie obejrzeć, ale z tych wycinków z gazet, raportów policyjnych i cholera wie, czego jeszcze, wynikało mi, że interesuje go nie tyle sam biały szkwał, co konkretnie wypadek łódki, na której był twój Hubert.

Rozalia w tym momencie pomyślała, że nie zdoła już zebrać się z tej ziemi, podnieść do pionu i kontynuować tego urlopu z piekła rodem. W zamian zaraz po prostu postrada zmysły.

– Ukradłeś chociaż ten segregator? – Chciała wiedzieć.

Osipczuk odparł jednak, że jeszcze mu życie miłe, że i tak nie powinien do niej dzwonić ani w ogóle grzebać w biurku Sobottki. Więc jeśli będzie chciała dowiedzieć się czegoś więcej, musi liczyć tylko na siebie.

Rozalia rozłączyła się i zapatrzyła na rzekę. W ogóle jej jednak nie widziała. Konsternacja przeszła w narastającą wściekłość. Odkąd Hubert odzyskał jako tako świadomość i przemawiał do nich jednym i tym samym zdaniem, Rozalia wiedziała, że coś jest na rzeczy. Że to nie są tylko majaki chorego umysłu syna. A jeżeli teraz wychodziło na to, że to Sobottka miał coś wspólnego z wypadkiem Huberta, Ginter nie zamierzała puścić tej sprawy mimo uszu. Planowała się dowiedzieć, co dokładnie się wydarzyło.

A potem – jeśli będzie trzeba – rozprawi się z Janem Sobottką. Raz na zawsze!



Paweł Ginter zebrał się na odwagę i postanowił po raz kolejny odwiedzić dom rodzinny Wójcików. Był tam raz, tylko przez chwilę, by poinformować rodziców dziewczyny o jej śmierci. Starsi państwo

przeżyli szok. Prawie się do niego nie odezwali. Przez chwilę miał nawet wątpliwości, czy zrozumieli, co do nich powiedział. W swojej policyjnej karierze widział już przeróżne reakcje na złe wiadomości. Nie było jednego wzorca zachowań.

Podjechał pod niewielki położony na skraju lasu domek i zgasił silnik. Budynek wprawdzie był piętrowy, ale tak malutki, jakby zamierzano w nim kręcić ekranizację bajki o siedmiu krasnoludkach. Na parterze jedyne okno wychodzące od frontu miało okiennice. Nad nim w dachu tkwiła jaskółka – także jedna jedyna. Po boku od bryły odstawała wiata na samochód, a dookoła rozkwitał niegdyś zadbane ogródek. W tej chwili Paweł miał wrażenie, że rośliny są lekko przywędłe, a nawet tu i ówdzie wyszarpane. Gospodarze nie zaprzęтали sobie głowy podlewaniem w obliczu tragicznych informacji.

Otworzył furtkę i wkroczył na teren posesji. Zadzwoił do drzwi i zapatrzył się na swoje paznokcie u rąk. Krótko przycięte kontrastowały bielą na tle opalonych dłoni.

– To pan – powiedziała Wójcikowa.

I wpuściła go do środka.

Paweł tym razem uważniej rozejrzał się po wnętrzu. Nad drzwiami przybito drewniany krzyż, a w głębi nad wersalką wisiał święty obrazek. Gospodyni ciasno przepasana fartuchem zaproponowała mu herbatę i nie czekając na odpowiedź, zniknęła w mikroskopijnej kuchni. Po chwili do Pawła dołączył pan domu i z widocznym wahaniem podał mu rękę.

– Jakież postępy? – zapytał posepnie, jakby nie licząc na pozytywną odpowiedź. Facet wyglądał na zrezygnowanego.

Paweł bez słowa przysiadł na kanapie. Po chwili Wójcikowa przyniosła tacę zastawioną poobijanymi na brzegach kubkami, do których wrzuciła torebki liptona i zalała je wrzątkiem. Usiadła na fotelu naprzeciw komisarza. Jej mąż stanął za nią i oparł się rękami o zagłówek. Przyglądali się policjantowi w napięciu. W powietrzu

unosily się drobinki kurzu. Gdzieś z głębi pomieszczenia dochodziło tykanie zegara. W ogródku koncertował jakiś ptak.

– Jak to było z tym wyjazdem Nikoli do Szwecji? – Pozorną ciszę przerwał komisarz.

Chciał się dowiedzieć czegoś więcej o emigracji Wójcikówny. Od zjaranego Olofa trudno było wyciągnąć choć jedno sensowne zdanie.

– A co to ma do rzeczy? – warknął stary Wójcik.

– Muszę sprawdzić wszystkie wątki – wyjaśnił spokojnie policjant.

Małżeństwo milczało jeszcze przez chwilę. Pierwsza przełamała się kobieta.

– Od początku byłam przeciwna temu wyjazdowi – powiedziała ochryplym głosem. Odchrząknęła. – Za daleko. Za zimno. I z chłopakiem. Pewnie pomyśli pan, że jesteśmy staroświeccy. Bo nas oburza mieszkanie na kocią łapę. Jednak czy nie mieliśmy racji? – zapytała, spoglądając na Gintera zażawionymi oczami. – Czasem – dodała drżącym głosem i z wyraźnie widocznym zawstydzeniem – myślałam sobie, że wolałabym jej w ogóle nie urodzić, a nie żeby tkwiła na tej obcej ziemi i przynosiła nam wstyd. – Załkała. – A teraz... – zająknęła się. – A teraz jej nie ma! Byłam taka głupia!

Paweł nie wiedział, jak zareagować, więc milczał. W nadziei na dalszy ciąg. Jego cierpliwość została wynagrodzona.

– Żukowski połowę Krutyni już tam przeniósł – uniosła się. – Stała praca. Dobre zarobki. I ja to wszystko rozumiem i popieram. Ale w przypadku mężczyzn! – huknęła, aż jej mąż się wzdrygnął. – Co, pana zdaniem, młoda dziewczyna miałaby robić w środku lasu na dalekiej północy Szwecji? – zagadnęła. Na szczęście tak naprawdę nie czekała na odpowiedź. – Nie podobało mi się to – powtórzyła. – Ani trochę!

– A ten jej chłopak?

– Mateusz? Znali się od dzieciństwa. Razem chodzili do szkoły. Lubiłam go. Najwyraźniej jednak Nikola nie aż tak bardzo, skoro go

rzuciła i zamieniła na tego... – zająknęła się. – Wikinga! Panie, co za poruta we wsi! – zwierzyła się z targających nią rozterek.

– Nie dogadywaliście się? – drążył komisarz.

– Ja tam po szwedzku nie mówię, ani on po polsku. To w ogóle nie rozmawialiśmy. Poza tym ten drąg ciągle śmierdzi! Jakoś tak słodko? – Zastanowiła się. – Mdło? Sama nie wiem. Albo się nie myje, albo robi sobie jakieś zdrowotne kąpiele. Pogańskie! – wykrztusiła. Paweł pomyślał, że kobieta najwyraźniej nie miała bladego pojęcia o narkotykach. – I Vanesska też mówiła, że to zły pomysł, żeby jechali. Do tej Osady – dodała.

– Naprawdę? – Ginter starał się mówić jak najmniej, by nie wytrącać kobiety ze słowotoku.

– Nawet próbowała udaremnić tę eskapadę! – Wójcikowa aż dostała czerwonych plam na policzkach. – Tak się bała o siostrę.

– Co zrobiła? – zapytał Paweł po przeciągającej się chwili milczenia.

Kobieta wyglądała na zażenowaną. Widać było, że walczy ze sobą. Nie jest pewna, czy wyjawić policjantowi wszystko, co wie. Gdy mąż położył dłoń na jej ramieniu w pocieszającym geście, wreszcie ją odblokowało.

– No może nie ma się czym chwalić... – zająknęła się. – Ale to było z troski o Nikole! – powtórzyła, jakby sama siebie chciała przekonać. – Schowała jej dokumenty – wyjawiała wreszcie. – Dowód osobisty i paszport. Wyjęła z walizki w noc przed wyjazdem. Nikola jednak przed wyjściem sprawdziła, czy wzięła najważniejsze rzeczy. I odkryła brak dokumentów.

– Panie, co się tu działo! – Pierwszy raz do rozmowy włączył się ojciec. – Niki od razu się zorientowała, że to sprawka Vani. I się wzięły za łby. Aż ten stolik niemal potłukły. Pan patrzy. – Wskazał na szklany blat, przez którego środek biegła rysa świadcząca o pęknięciu. – Nikola krzyczała, że Vani jest zazdrosna. Zupełny nonsens. Przecież jej tu dobrze jest z nami. Ma dobrą pracę. Żyje

w ładnym miejscu, ma swoje mieszkanie, ale jednak przy nas. Tam, za domem. – Machnął ręką.

– Koniec końców Vanesska musiała oddać, co zabrała – przyznała Wójcikowa.

A Paweł pierwszy raz pomyślał sobie, że małżeństwo dokonało doprawdy dziwnego wyboru imion dla swych córek. Owszem, pewnie w latach ich niemowlęctwa taka właśnie panowała moda, jednak do ewidentnie religijnej rodziny te obco brzmiące imiona nie pasowały ani trochę. Prędzej spodziewałby się jakiejś Marii i Magdaleny. Upomniał się w duchu, że nie powinien wyciągać pochopnych wniosków. Pozory potrafiły mylić.

– Od tamtej pory prawie nie rozmawiały – przyznał mężczyzna.

– O co? – zapytał Paweł pogrążony we własnych myślach. – O co Vanessa miałaby być zazdrosna? – sprecyzował, widząc, że Wójcikowie zgubili wątek.

– O pracę w Szwecji – odparł Wójcik.

– O Mateusza – wyznała jednocześnie jego żona.

Para popatrzyła na siebie skonfundowana.

– Teraz i tak już wszystko jedno, prawda? – odezwała się kobieta.

Paweł nie był tego taki pewny. Będzie musiał ponownie porozmawiać z Vanessą. Odstawił na sfatygowany stolik kubek z niedopitą herbatą. Wstał i ruszył w stronę wyjścia.

– Jeszcze jedno – powiedział, zatrzymując się w progu. – Co się stało z Mateuszem?

Starsi państwo popatrzyli na niego zdezorientowani.

– Tego – odezwał się wreszcie mężczyzna – nie wie nikt.

„Może i tak”, pomyślał Paweł Ginter. Jednak w takim razie on zamierzał zmienić ten stan rzeczy.



Pięć miesięcy wcześniej, Osada

Lasy rozciągające się wokół Osady widziane z lotu ptaka zdawały się nie mieć końca. Nikola Wójcik przytknęła czubek nosa do szyby. Poczowała ukłucie szpileczek chłodu. Przytuliła też policzek do zimnej tafli. W jej oczach zaszklily się łzy. I już sama nie wiedziała, jaka jest ich przyczyna. Ulga? Wreszcie wracała do Polski. I to z nowym ukochanym u boku. Przysięgła sobie, że już nigdy więcej nie będzie pracować na takim odludziu w towarzystwie tych wszystkich niby znajomych, a tak naprawdę obcych.

A może to były łzy żalu? Za Mateuszem, który najwyraźniej postanowił zniknąć na dobre. Przed miesiącem przepadł bez śladu. Nie stawiał się z rana w pracy. Koledzy poszli go szukać w domu, w którym teraz mieszkał z grupą innych mężczyzn. Zastali pusty materac rozłożony na podłodze z pokrywającą go rozbebeszoną pościelą. Czy coś z jego rzeczy zaginęło? Trudno było stwierdzić. Nikt dokładnie nie znał stanu jego posiadania. Nikola też nie mogła się wypowiedzieć, bo przecież już dawno nie byli razem. Przeszukano całą Osadę – bez skutku. Następnego dnia zawiadomiono Erikssona, a ten bardzo niechętnie zadzwonił na policję. Nie chciał, by do jego przedsięwzięcia przykleiła się brzydka łątka miejsca, w którym giną ludzie. A już nie daj Boże umierają. Miał nadzieję – wszyscy ją mieli! – że chłopak jest cały i zdrowy. Po prostu poszedł w tany, zapił i zasnął, zapomniał o obowiązkach. Zaraz znów się pojawi, dostanie po pensji i wszystko wróci do normy.

Ale nie wróciło.

Policja wszczęła śledztwo. Nie przykładała się do niego jednak ani-ani. Kto by się przejmował zapomnianym polskim emigrantem, jakich wielu? Ciała nie znaleziono. Możliwości więc było mnóstwo. Chłopak mógł po prostu wyjechać za granicę i tyle go widzieli. Kiruńska policja miała poważniejsze problemy do rozwiązania. Głównie dotyczące gangów opychających miejscowym narkotyki, a co jakiś czas urządzających strzelaniny. Przy takiej konkurencji Mateusz Orzeł nie miał szans na przebicie.

Nikola przypuszczała, że te jej łzy to jednak z poczucia winy. Dla niej było jasne, że Mateusz się załamał ich rozstaniem i zrobił coś głupiego. Przez pierwszy tydzień po jego zniknięciu w ogóle nie mogła zasnąć. Cały czas się obawiała, że ktoś zapuka do drzwi i poinformuje ją o znalezionym ciele. Jednak dni mijały i nic takiego nie następowało. Może zatem rzeczywiście wyjechał? Rozpoczął gdzieś nowe, lepsze życie. A nikomu nic nie powiedział, żeby jej zrobić na złość. Żeby się zamartwiała. I obwiniała.

Na tę myśl łzy nabrały posmaku złości. Co za bezrozumny dupek! Powinna już dawno z nim zerwać. Dobrze, że poznała Olofa. Teraz będą mogli zacząć życie naprawdę. Pełną piersią. Poszaleją. Nikola zgromadziła całkiem spore oszczędności. Molin dobrze zarabiał. Starczy im na trochę, zanim zdecydują, co dalej ze sobą zrobić. Najpierw postanowili zajrzeć do Krutyni. Pokazać się rodzicom, siostrze i znajomym. Nikola wiedziała, że mama i tata nie będą zadowoleni. Już na Mateusza kręcili nosem, a co powiedzą na niemówiącego po polsku i popalającego zioło Szweda? Mogła to sobie tylko wyobrazić. Jednak niespecjalnie się tym przejmowała.

Gdy samolot uderzył kołami w płytę lotniska, postanowiła od tej pory się już nigdy niczym nie przejmować.

Nie wiedziała jeszcze, że czasu na beztróskę zostało jej doprawdy niewiele.



Teraz, Krutyń

Drogi pamiętniczku,

chyba nikogo nie zdziwi informacja, że to ja jestem największą powierniczką wszystkich sekretów Pawelka Gintera. Komisarz ma zwyczaj siadać sobie wygodnie w fotelu, ja mu wskakuję na kolana, on mnie głaszcze nieśpiesznie po grzbiecie. Robię uspokajające: „buuur, buuur”. I on wtedy rozpoczyna zwierzenia.

Mówi mi o wszystkim!

I gdybym tylko dysponowała dłuższą pamięcią, tobym tu teraz mogła to zapisać. Jednak nie dysponuję. Zatem jestem idealną powierniczką tajemnic. Żaden sekret się nie wymysknie z mojego pyszczka. ŻODYN!

W każdym razie tego popołudnia Pawełek przyjechał wynajętym radiowozem do stancy, rozstawił sobie leżak nad brzegiem tej przeklętej rzeki, a ja ziuuup, już zasiadłam na jego kolanach. Nikt inny tego zaszczytu nie doznaje. Tylko mój ukochany!

Pawełek zatopił palce w moim mięciutkim białym futerku i rozpoczął opowieść. Było tam coś o tej nieszczęsnej ofierze, Nikoli Wójcik, i jej chłopaku, jakimś Szwedzie, co to wygląda jak rozczochrany diabeł. Tak twierdził komisarz, a ja nie mam podstaw mu nie wierzyć. Trzecią osobą dramatu była Vanessa, przeklęta kelnerka z karczmy, która – jak przypuszczał Pawełek – zazdrosna była o chłopaka swojej siostry. Przy czym nie tego belzebuba, tylko niejakiego Mateusza Orła. No i sami widzicie, nawet jakbym chciała to wszystko spamiętać, tobym nie dała rady. Połapać się w tych zależnościach nie sposób. Zajarzyłam jeszcze, że Vanessa zrobiła jakiś szwindel, by utrudnić swojej siostrze wyjazd z tym Orłem do Szwecji, ale sprawa się rypla i Nikola pojechała mimo wszystko won. Z Mateuszem. A wróciła z lucyferem. Gdzie posiała po drodze poprzedniego chłopca, nie wiadomo.

Tak mi to wszystko klarował Ginter, jednocześnie przeczesując moje wspaniałe futro, gdy nasze wspólne chwile przerwała nam ta zołza Rozalia. Przyłazła z Pedrem na smyczy – tak go więziła od czasu akcji ewakuacyjnej z bagażnika, za co trudno ją w zasadzie winić – i zażądała przedstawienia jej tajnych informacji śledczych. Pawełek postąpił, moim zdaniem, skrajnie nierozsądnie i powtórzył jej wszystko to, co przed chwilą przekazał mnie. Niech potem nie lamentuje, gdy się okaże, że pół wsi plotkuje o jego sprawie. Ja bym Rozalii nie powierzyła misji usunięcia bobków z kuwety. A co dopiero dopuściła do takich poufności! Żeby potem nie było, że nie ostrzegałam.

Wysłuchiwała relacji, zakładając swoje blond kudły za uszy. Gdyby istniała jakaś sprawiedliwość na tym łąz padole, toby jej już zostały takie odstające na stałe. A nie że tylko ja muszę przypominać Jerzego Urbana.

– A ja z nią właśnie rozmawiałam! – palnęła.

Widać pani perfekcyjna zaczynała się już nudzić na wakacjach i wpadła na pomysł, by wtrącać się do śledztwa. Na miejscu Pawełka z miejsca bym ją aresztowała. I niech sobie potem sama radzi, dekadami widelcem wydrapuje dziurę w ścianie, żeby się pod koniec życia wydostać z zamknięcia. On jednak nie podjął należytego działania.

– Vani twierdzi, że Nikola planowała z Olofem wyjechać do Berlina. I tam korzystać z życia na całego. A tu przyjeżdżać tylko na wakacje do chatki dziadków.

– One się podobno do siebie nie odzywały – zauważył Ginter.

– Widocznie im przeszło. Vanessa mówi, że siostra dostała bzika na punkcie tego Szweda. Miłość jej życia to była. Wspominała coś nawet o ślubie. Zamierzali zamieszkać w jakiejś berlińskiej komunie, palić jointy na śniadanie, uprawiać jogę na obiad, a na kolację chodzić na marsze równości. Czy coś w ten deseń.

– Jej rodzice nic mi o tym nie wspomnieli – mruknął komisarz.

– Może nie wiedzieli.

– Albo się nie chcieli przyznać – rozważał na głos Pawełek.

Ja też się zadumałam. Przypomniał mi się fragment opowieści Gintera o wizycie w domu Wójcików. Napomknął, że kobiecie się wyrwało, iż wołałaby, by jej córka była martwa, aniżeli przynosiła wstyd rodzinie.

Ja z założenia mam tę całą robotę śledczą głęboko w zadku, ale nawet mnie nasuwał się jeden wniosek – oto mieliśmy idealnych podejrzanych. Czy to historia nie znała przypadków, w których rodzice mordowali własne dzieci? Mnie samą nie raz i nie dwa łapa świerbiła, żeby synalka mego palnąć w czerep ze skutkiem ostatecznym. Mogę się więc wykazać odrobiną zrozumienia.

Siema, koleżanki i koledzy,

Rozalia założyła mi czerwoną smycz w rzucik z białych kotków i prowadziła mnie wszędzie ze sobą. Miałem jej już serdecznie dosyć. Przecież koty powinny spać czterdzieści dziewięć godzin na dobę. Tego jednego mnie matka nauczyła i starałem się przestrzegać reguły. Ale u boku ruchliwej Ginterowej było to mocno utrudnione.

Wreszcie usiedliśmy na zadkach na ławce pod drzewem, a ja zapadłem w natychmiastową drzemkę. Nie dane mi jednak było odpocząć, bo ta niemądra kobieta wyjęła z torebki telefon, wybrała jakiś numer i zaczęła trajkotać.

– Przyjedź, do cholery! – Tyle z tego zrozumiałem. – I zrób z tym dziadem porządek! W imię starych, dobrych czasów...

Dalej już nie słuchałem, bo mimo larma sen mnie zmorzył i odpłynąłem w krainę wiecznie mlekiem i sosem krewetkowym płynącą.

Drogi pamiętniczku,

to znowu ja. Zapisuję na bieżąco, bo ci moi niewolnicy nie chcą mnie zostawić w spokoju. Teraz jest już noc, oni poleżli wreszcie spać, a ja wymknęłam się cichaczem do naszego kajaka i odnotowuję, co następuje.

Pawełek bzika już, zdaje się, dostał, bo zamiast zachowywać się jak na policjanta przystało i zamknąć wszystkich podejrzanych w pace, a dopiero potem pytać o nazwisko, on się zaczął skradać. I to w nie najlepszym stylu. Wiem, co mówię, niejedną mysz w swoim życiu upolowałam. A żeby taką małą cholerę złapać, trzeba się czaić przy zastosowaniu wysoce zaawansowanych technik. Swoją drogą, zaprzestałam już tego procederu. Po pierwsze, nie chciało mi się urządzać polowań, bo się przeistoczyłam w leniwą bułę i wcale mi z tego powodu nie wstyd. Po drugie, w porównaniu z krewetkami w tuńczyku z puszki taka mysz jest wyjątkowo łykowata i niedopieczona. Po trzecie zaś, nie lubię sobie brudzić łapek. A poza tym gdy ostatnim razem zaszlachtowałam mysz i wspaniałomyślnie przyniosłam ją Rozalii pod nogi, by ją przyrządziła rodzinie na obiad, ta zerwała się z leżaka i zaczęła wrzeszczeć niczym jakaś skończona tumanka. A potem uciekła. I ona niby jest weterynarzem. Szkoda miauczeć...

W każdym razie Pawełek za cel wziął sobie tego wspomnianego belzebuba. Od razu poznałam – facet rzeczywiście wyglądał jak idź stąd i nie wracaj. Poczochrany, wielki wszerek i wzdłuż, z czerwoną gębą i zamglonymi oczkami. Trudno go było zgubić. A jednak Ginterowi udało się ta sztuczka. Sama nie wiem, w jaki sposób.

Zacząło się od tego, że pojechaliśmy w głąb lasu pod coś, co wyglądało wypisz, wymaluj jak chatka jakiejś baby-jagi, a okazało się siedzibą tego kudłatego. Mówię „my”, ponieważ gdy Pawełek próbował opuścić kemping beze mnie, uczepliłam się jego nogawki pazurami, aż wreszcie skapitulował, wziął mnie na ręce i powiedział, że no dobrze, dobrze, chodź ze mną, Bureczku. Od zawsze powtarzam, że mnie i Gintera łączy specjalna więź – miłość, o jakiej Rozalia mogłaby tylko pomarzyć.

W każdym razie znaleźliśmy się w takim zakamarku, gdzie niektórzy szczekają czterema literami. Wjechaliśmy w krzaki, żeby nas nie było widać z chałupy. I czekaliśmy. Czekaliśmy. I czekaliśmy. Nie powiem, przysnęłam sobie, bo ileż można gapić się przez okno. Gdy się obudziłam, Pawełek wyrażał się niekulturalnie, szarpał kierownicę i próbował nas wydostać z tego gąszczu chabazi.

– Zmył się, bałwan – mamrotał przez zaciśnięte zęby, przez co jego silna szczeka jeszcze bardziej się uwydatniała.

Pokapowałam się, że nasz obiekt wydobył z położonej na tyłach posesji stodoły jakiś stary motor, na który wsiadł, i pyrkając oraz smrodząc spalinami, odjechał w siną dal. Zanim się wydostaliśmy na szosę, był już daleko przed nami. Zostawiał jednak za sobą chmurę zalatującego benzyną dymu, więc szliśmy za nim jak po sznurku. Skręciliśmy to tu, to tam, aż komisarz znów wyraził się niezwykle niecenzuralnie, zahamował tak gwałtownie, że mało sobie zębów nie wybiłam, po czym zawrócił. Dobrze, że nikogo na drodze nie było, bo katastrofa gotowa. Wjechaliśmy bokiem ponownie w jakieś krzaki i zaparkowaliśmy obok tego zalatującego rzęcha. Olofa Molina nie było w pobliżu.

– Zaczekaj tu – rzekł do mnie Pawełek.

Miłość miłością, ale jeszcze się taki nie narodził, który by mi rozkazywał, a ja bym go słuchała. Zatem wyskoczyłam za policjantem tak sprytnie, że ten nawet tego nie zauważył. Przeszliśmy w głąb lasu. Z każdym krokiem było coraz mroczniej. Aż mi dreszcz po grzbiecie przebiegł, a futro samo z siebie się nastroszyło. Wolałabym zawrócić, ale auto już mi zniknęło z horyzontu. Nie mogłam dopuścić, by to samo stało się z Pawełkiem. Sama nie wiem, czy przemierzane przez nas odległości rzeczywiście były takie nieskończone, czy to strach wyolbrzymił doznania. W każdym razie wreszcie Ginter się zatrzymał i uskoczył w bok, chowając się za pnem starego i grubego drzewa. Ja się nie musiałam wysilać, bo nawet gdyby ten neandertalczyk mnie dostrzegł, to najwyżej by sobie pomyślał, że o, jaka śliczna kicia tu sobie spaceruje. W ogóle by nie skumał, że oto jest śledzony.

Przespacerowałam się więc rażno przed siebie. W oddali nad czymś pochyłał się nasz lucyfer. Co on tam robił? Postąpiłam jeszcze kilka kroków do przodu. Dostrzegł mnie Pawełek i zaczął syczeć porozumiewawczo, pewnie w zamiśle udzielając mi reprimendy, że powinnam zawrócić do samochodu. „A takiego!”, mu odpyskowałam i postawiłam ogon dumnie na sztorc.

I wtedy rozejrzałam się wokół. Z uwagą. I mało nie padłam trupem, gdy zrozumiałam, gdzie się znalazłam! Toż to był cmentarz! Do tego jakiś dziwny, zapomniany przez cywilizację i potomków tych, którzy się tu już przekręcili. Wokół stały rozwalone groby, pozarastane jakimś bluszczem, żeliwne krzyże słaniały się ku ziemi. Do tego potrzaskane tabliczki z nazwiskami umarłaków, których tożsamości nie przytoczę, bo nie zawracałam sobie nigdy głowy nauką tego całego czytania. W każdym razie wyglądały dziwnie, obco. Pomyślałam więc, że Olof próbuje

przesylabizować dane tego nieszczęśnika ułożonego w mogile, nad którą się właśnie nachylał. Ale gdzie tam. On się podtrzymywał zwichrowanego i tak krzyża, bo sam miał trudności z ustaniem w pionie. Sztachnęłam się zdrowo mazurskim powietrzem. I od razu wyczułam tę całą marihuaninę, którą szprycują się młodzi ludzie. I jak się to potem kończy? Ano tak, że stoisz na chwiejnych nogach na ewangelickim cmentarzu w środku lasu i sam w zasadzie nie wiesz po co.

Chociaż czekaj, czekaj... Olof chyba jednak znał powód swojej wizyty w nekropolii. Bo oto z przeciwnej do nas strony podeszła jakaś kobieta i padła w ramiona Szweda. Zwalili się na grób i co dalej by było, to szkoda sobie nawet wyobrażać, bo się z tego coży crime zrobi jakiś ostry porno thriller dla patoli. Na szczęście nie doszło do zmiany gatunkowej, ponieważ pan narkoman wreszcie dostrzegł mnie. I dał dowód na skraj swego kretynizmu. Otóż wyciągnął przed siebie palec wskazujący i skierował go w mą stronę.

– O, tak, kochany! – powiedziała zupełnie od czapy jego towarzysza, która już zdążyła rozsiąść się na nim okrakiem.

– Yyy! – wyjęczał Molin.

Wcale nie z rozkoszy, jeno z przerażenia. Wystraszył się mnie. Bardzo słusznie.

– Lubisz tak? – zaciekawiała się ta durna baba.

– Y-yy! – zaprzeczył Olof, dalej wskazując na mnie. Widać, że mu języka w gębę brakowało, a w mózgu klepek, bo wreszcie wydusił z siebie: – Mickey! White Mickey Mouse!

Obejrzałam się za siebie, żeby sprawdzić, czy nie czai się za mną postać z kreskówki Disneya albo chociaż biała myszka. Potem jednak sobie uświadomiłam, że patusy na haju często widzą w swoich omamach właśnie białe gryzonie, więc temu tutaj musiało się wydawać, że ja to nie ja, tylko mysz właśnie.

Skaranie.

– Co za Mickey? – zapytała zdenerwowana kobieta. – Ja jestem Vanessa, a nie żadna Mickey! – obruszyła się.

I rzeczywiście. Teraz sobie uświadomiłam, że tą potajemnie spotykaną cmentarną amantką była Vanessa Wójcik.

No to się oboje – siostra i narzeczony – szybko pocieszyli po śmierci Nikoli.

Vanessa zerknęła w moją stronę i zmrużyła oczy.

– To jest jakiś zapchlony kocur, a nie mysz. Wszystko ci się pokićkało – upomniała kochanka.

Ten najwyraźniej stracił już jednak ochotę na amory, bo próbował się wygramolić spod kelnerki. A do mnie dotarła skala zniewagi. Zapchlony? Kocur? To niby miało być o mnie? Żaden gamoń nie będzie mnie tak obrażał. ŻODYN!

Tak nawet zakrzyknęłam, ale który imbecyl by mnie zrozumiał. A potem skoczyłam najpierw na przyrdzewiały krzyż upamiętniający jakiegoś Hansa czy innego Andersa, a potem prosto na łeb Vanesski.

Nawet nie będę w szczegółach opisywać, jaka się zrobiła kotłowanina. Na szczęście ja wciąż pozostawałam na wierzchu. A gdy mi się już znudziło, to po

prostu wróciłam na ścieżkę i powędrowałam do radiowozu. Po chwili obok mnie znalazł się Pawełek i uprzejmie odwiózł mnie na kemping.

Nie rozumiem tylko, dlaczego przez całą drogę się śmiał. Moim zdaniem nie było z czego.

Dobra, muszę już kończyć zapiski, bo jutro też jest dzień i wstać trzeba w czas na śniadanie, żeby Pedro pierwszy się do misek nie dorwał i nie wyżarł mi wszystkich krewetek wydłubanych z masy tuńczyko... Aaaaa!

Siema, koleżanki i koledzy,

Burbur gdzieś wylazła w środku nocy, więc poszedłem ją śledzić. Jestem w tej czynności mistrzem. Przywarłem do ziemi swoim naprężonym i wyprostowanym niczym metrowa struna ciałem. Włączyłem kotowizję. I ostrożnie, krok po kroczku, zaszedłem za mamoniem do naszych kajaków.

Mama siedziała w jednym z nich i czymś tam chrobotła. Bardzo chciałem się dowiedzieć, o co chodzi. Wskoczyłem więc miękko i bezszelestnie na pokład. Oho, była tam! Tkwiła na dnie kajaka, wystawiała łapy przed siebie i przeciągała pazurami po lewej stronie burty. Uznałem, że to zachęta do zabawy. Wybiłem się więc i władowałem się na nią z zaskoczenia.

CZĘŚĆ 5

W której Paweł pływa kajakiem i spotyka podróbkę Beatlesa. Potem wraz z Rozalią zabawia się we włamywacza. Dochodzi do chryi w karczmie. Ginterowa i Potomek-Chojarska znajdują się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nocą na parkingu w staniccy zatrzymuje się pewien pick-up.

Tej nocy na kempingu staniccy wodnej PTTK w Krutyni spała snem przerywanym nie tylko para pewnych kotów. Ledwie dwa wspomniane udomowione dachowce wróciły do namiotu, zwinęły się na kształt krewetek i natychmiast zapadły w sen, zaraz też ze swojego śpiwora wyslizgnęła się ich pani (choć akurat przez nie same postrzegana w charakterze niewolnicy). Narzuciła na plecy kaszmirowy sweter, wetknęła stopy w białe adidas i najciszej, jak potrafiła, wymknęła się na dwór. Wzięła ze sobą komórkę i teraz przyświecała sobie w ciemności smartfonową latarką. Podeszła do parkingu. Na jego skraju stał znany jej pick-up. Drzwi otworzyły się bezszelestnie, a ze środka wyskoczył mężczyzna. Niewysoki – w zasadzie wzrostu Rozalii – ale za to dobrze zbudowany. A nawet bardzo dobrze. Góra mięśni. Miał szeroki kark sprawiający wrażenie braku szyi oraz łysą głowę, odbijającą teraz światło księżyca przedzierającego się przez liście drzew.

– Gdzie on? – zapytał Robert Osipczuk.

– Tylko go nie zabij – upomniała znajomego Rozalia. – Chodzi jedynie o nastraszenie – przypomniała. – Żeby nikomu nie naskarzył. Formalnie już mam sprawę prawie ogarniętą. Jeszcze tylko notariusz potrzebny.

– Gdzie? – powtórzył facet.

Dopiero teraz Rozalia dojrzała w jego ręku czarną sportową torbę zamykaną na zamek. Przerzucił ją sobie przez ramię i dał jej znak ręką sugerujący, że panie przodem. Poprowadziła go więc do części

stanicy, w której stały domki kempingowe, wciąż się zastanawiając, czy jego udział jest niezbędny. Nie, nie należało się wahać. Wielebny nie miał skrupułów. Ona też musiała się ich wyzbyć.

– Tu. – Wskazała ostatni z rzędu domków.

– Wracaj – nakazał jej Osipczuk.

Nie dyskutowała. Zawróciła. Jednak gdy tylko zniknęła mu z oczu, zmieniła kierunek i po chwili czaiła się już na linii lasu. Stąd miała widok na siedzibę Konopniaka. Wybite przez Potomek-Chojarską szybki już wymieniono. Doskonale widziała, jak gangster gmera przy zamku, po czym znika w środku budki z papendekla. Nie chciała wiedzieć, jakich metod użyje Robert. Jakich narzędzi. Ani co powie. Był skuteczny. To jej wystarczało. Po jego interwencji duchowny prędzej przejdzie na judaizm, niż wyciągnie łapsko po nie swój spadek!

Dosłyszała kilka głuchych uderzeń. Brzęk tłuczonego szkła. Zero ludzkich głosów. Robert Osipczuk wyszedł z kempingu po pięciu minutach. Rozalia odprowadzała go wzrokiem, gdy nieśpiesznie kierował się na parking. A potem wsiadł do samochodu, zamknął po cichu drzwi i odjechał w kierunku Mikołajek.

„Hubert! – przypomniała sobie w myślach. – Tu chodzi o przyszłość syna. I dziewczynek”.

Zamknęła gębę wyrzutem sumienia. I poszła spać.



Czyżby stara prawda mówiąca o tym, że mordercy trzeba szukać wśród najbliższych ofiary, i w tym przypadku się sprawdzała? Paweł Ginter wsiadł do kajaka i ruszył w dół rzeki. Musiał pomyśleć w spokoju i samotności. Umówił się z chłopakami z wypożyczalni, że będzie się mógł zabrać ich busem z Ukty do Krutyni – on i jego kajak. Wysiłek fizyczny i towarzystwo dzikiej przyrody powinny mu pomóc w uporządkowaniu myśli.

Tak sądził, dopóki się nie zorientował, że trup odnaleziony w Krutyni nie tylko nie odstraszył potencjalnych turystów, ale wręcz przeciwnie – stał się swoistą atrakcją dla jeszcze większych rzesz kajakarzy, którzy zwalili się na ten krótki, ale najbardziej popularny odcinek spływu, by na własne oczy zobaczyć, „gdzie pływała topielica” – takie określenie usłyszał trzykrotnie od mijanych po drodze, dywagujących w głos wodniaków, machających niezbyt zapamiętałe pagajami.

Każde przebyte sto metrów doprowadzało komisarza do coraz większej wściekliwości. Wysilał bicepsy, zapierał się nogami o dno kajaka, młócił w niczem niewinną wodę. Pot lał się z niego ciurkiem, zalewał oczy. Słońce przypiekało skórę. Tłum rozrzedził się nieco dopiero za Wojnowem. Paweł zwolnił. Oparł wiosło o kajak, wydobyl spod burty bidon i napił się wody. Potem wyciągnął przed siebie wyprostowane nogi, wystawił twarz do słońca i zastygł w błogostanie. Kajak zadryfował w szuwary. Ginter się tym nie przejmował.

Powinien teraz spędzać wakacje z rodziną. Tymczasem on ochoczo przyjął sprawę morderstwa. Czyżby podświadomie miał dość wypoczynku z najbliższymi? W te rejony swojej psychiki nie powinien się zapędzać. Skupił się na otaczającej go przyrodzie. Po prawej za linią drzew ciągnęły się pola uprawne i pastwiska. Z zachwytem zauważył stado bydła, które podeszło do brzegu, by ukoić pragnienie w rzece. Niezdarny cielaczek stawiał krzywo kopyta, próbując utrzymać się na nogach, jednocześnie nachylając nad wodą.

Więc życie mogło być aż takie proste.

Najwyraźniej jednak nie dla niego. On sam je sobie komplikował. A potem zbierał zgniłe owoce swoich nietrafionych decyzji. Nie mógł się jednak zacząć nad sobą uzalać. Chwycił za wiosło i mocnymi, równymi ruchami popłynął do Ukty.

Odblaskowo pomarańczowy busik zjawił się jakieś pół godziny po tym, gdy Paweł wyciągnął się na trawniku przy brzegu i pozwolił odpocząć zmęczonym mięśniom. Dał ciału do wiwatu, ale

jednocześnie przewietrzył głowę i uporządkował myśli. Ginter pomógł załadować kajak na przyczepkę, a sam wsiadł do pojazdu. Minął jeszcze kwadrans, nim wreszcie wszyscy weszli do środka – dwie pary, jakiś facet z dzieckiem, samotna kobieta i on. Kierowca przekręcił kluczyk w stacyjce, gdy drzwi busiku przesunęły się ze zgrzytem, a do wnętrza wpakował się jeszcze jeden osobnik. Paweł zastanawiał się, jakie skojarzenia budzi w nim fryzura, którą nosił facet, i doszedł do wniosku, że chodziło o Harry’ego Pottera – grzywka ucięta od garnka robiła swoje. Do tego okulary lenonki, koszulka w kolorowe wzory i modne adidas, których modelem pewnie nie pogardziłyby Hanka i Helenka. Wszystko to nadawało młodzieńczy wygląd mężczyźnie, który nastolatkiem z pewnością już dawno nie był. Pół wieku na tej ziemi na pewno miał za sobą. Skąd Ginter mógł go znać?

– Pan komisarz. Komisarz! – zagadał Dobromir Żukowski.

Bo to przecież ten facet. Najbogatszy miejscowy biznesmen. Taki krutyński odpowiednik mikołajskiego Sobottki. Choć może Paweł był niesprawiedliwy? To że mężczyzna prowadził dobrze funkcjonujące przedsiębiorstwo, nie znaczyło samo przez się, że jest gangsterem. Ten przynajmniej na takiego nie wyglądał. Bardziej na fana Beatlesów.

– Jak sprawa? – zaciekawiał się.

Kierowca wreszcie ruszył ciągnącą się przez las asfaltówką w kierunku Krutyni. Siedzący obok Pawła kajakarz miał na uszach słuchawki, w których dudniła muzyka. Ginter mimo to ściszył głos, mając nadzieję, że jego rozmowę z Żukowskim jeszcze dodatkowo zagłuszy pomruk silnika.

– Pan też pływał kajakiem? – zapytał policjant.

Jakoś nie mógł sobie wyobrazić tego człowieka wymachującego dla przyjemności wiosłem. I się nie pomylił. Facet prychnął rozbawiony i zaprzeczył.

– Miałem coś do załatwienia w Ukcie, więc się zabrałem z chłopakami. W Ukcie! – Dobromir miał irytujący zwyczaj

powtarzania się.

Pawłowi przeszło przez myśl, że przecież Żukowski mógł być równie dobrze właścicielem wypożyczalni sprzętu pływackiego. Skoro należał tu do niego co drugi biznes.

– Wciąż szukamy – wyjął Ginter, wracając do kwestii morderstwa. – Ale mam już swoje podejrzenia – powiedział.

– Pewnie nie zdradzi mi pan szczegółów? – Żukowski popatrzył na niego zaciekawionym wzrokiem. Każdy lubił plotki. Zwłaszcza tak sensacyjne. Paweł pokręcił tylko głową. – Gdybym ja miał obstawiać sprawcę – odezwał się po chwili milczenia Dobromir, łapiąc się zagłówka fotela przed sobą, gdy weszli w ostry zakręt – tobym powiedział, że to ten jej chłopak.

– Naprawdę? – rzucił Ginter.

Każdy lubił plotki. Policja także. A to dlatego, że często tkwiły w nich ziarenka prawdy, które funkcjonariusz mógł sprytnie wyłuskać.

– W zasadzie pewnie powinienem opowiedzieć o tym wcześniej – zastanawiał się w głos przedsiębiorca. – Ale nie sądziłem, że to może być istotne. Nadal nie jestem pewny, czy to on – zastrzegł, a Paweł jeszcze bardziej wyteżył uwagę. Znowu rozejrzał się po współpasażerach, ale zdawali się zupełnie niezainteresowani toczącą się obok nich rozmową. Większość gapiała się w swoje komórki. Na czele z wyglądającym na góra dziesięć lat chłopaczkiem.

– Olof Molin? – upewnił się Ginter.

– Jak go zwał, tak zwał – sarknął Żukowski. – Ale to musiał być on!

– Ponieważ...? – Komisarz miał już dość tego spolszczonego Ringo Starra. Pomyślał, że jeśli zaraz nie zacznie się wyrażać jaśniej, zatarga go osobiście na komisariat i podda przesłuchaniu. A jak tradycyjne środki nie pomogą, to przeniosą się do pobliskich Kiejkut i tam już specjalistyczne rozwiązania na czele z waterboardingiem zrobią robotę.

– No bo ja coś podsłuchałem – wydusił wreszcie. – Nie jestem z tego powodu z siebie dumny, ale co słyszałem, to słyszałem.

– Co pan słyszał, do jasnej cholery! – Paweł tracił cierpliwość.

Żukowski podrapał się po brodzie i zanim się odezwał, nasadził okulary na czoło. Ginter był bliski strzelenia mu w pysk.

– Kłótnię – powiedział. – Niki i Olof się pokłócili – uściślił.

– Kiedy i o co? – Paweł Ginter usłyszał swoje własne zgrzytanie zębów.

– Oj, no, dokładnie nie pamiętam, ale niedawno.

– O co? – Policjant czuł, że na jego policzki wystąpiły rumieńce wściekłości.

– Co „o co?” – powtórzył Żukowski. – Ach! – wydarł się. – To musiało być w ten wieczór przed morderstwem. Pamiętam, bo szedłem wtedy na spotkanie z kumplem. Do Syrenki na obiad. Booże, jakie tam mają dobre plńce^[2]! Musi pan komisarz spróbować! Nafutrowaliśmy się jak dziki. Do tego piwko...

– Co z tą kłótnią?! – wrzasnął Ginter.

– No przecież mówię – odrzekł obrażony Żukowski, a lenonki z powrotem opadły mu na nos. – W drodze do knajpy usłyszałem podniesione głosy dochodzące od strony tego starego cmentarza ewangelickiego. Wie pan, niedaleko Syrenki. Kłócili się kobieta i mężczyzna. Wystraszyłem się, czy ten facet nie chce jej zrobić czegoś złego, więc podszedłem bliżej. I wtedy ich poznałem. Nikola wrzeszczała na Olofa, że nie tak się umawiali. Że ją zawiódł. I że skoro tak, to nie odda mu pieniędzy.

– Jakich pieniędzy? – dopytywał policjant.

– Za bilety do Berlina. Do Berlina! I wynajęte tam mieszkanie. Tak powiedziała. Mieli podobno wyjechać, cała wieś o tym plotkowała, to żadna tajemnica. Jednak widocznie Szwed się rozmyślił. Wykrzyczał, że on jej się nie oświadczał i żeby go nie traktowała jak męża. Po angielsku to powiedział, ale widzi pan, ja rozumiem – pochwalił się. –

W końcu organizuję te wyjazdy zagraniczne, więc muszę się orientować. Więcej już nie słyszałem, bo kolega czekał w Syrence – wyznał.

– Pan mi tu zapisze nazwisko kolegi. – Ginter podsunął mężczyźnie notes, z którym się nie rozstawał, oraz długopis. Ten ochoczo umieścił tam dane znajomego. – I jego numer telefonu – dodał policjant. – Muszę wszystko sprawdzić – usprawiedliwił się. – To rutynowe działania.

Dobromir Żukowski się nie sprzeciwił. Dojechali do Krutyni. Busik wtoczył się na teren wypożyczalni między stopy kajaków we wszystkich kolorach tęczy piętrzących się na każdym skrawku wolnej przestrzeni.

Pożegnali się uściskiem dłoni.



Rozalii nie dawała spokoju jedna sprawa. Czyżby to mógł być aż tak duży zbieg okoliczności? Wprawdzie już nieraz się przekonywała, że świat jest niewielki, jednak ten traf wyprowadził ją z równowagi. Musiała się upewnić. Chciała jednak tę misję przeprowadzić cichaczem. Nie trzeba jej było rozgłosu. Powinna działać delikatnie i z wyczuciem.

Wstała więc wcześniej rano, kiedy reszta rodziny – łącznie z kotami – jeszcze smacznie spała. Wraz z nią obudziła się jedynie Burburka, która, gdy tylko Rozalia się poruszyła w śpiworze, wtarabaniła się na jej pierś. Przystawiła swój nos do jej nosa i... ją opluła! To był nowy motyw w zestawie kocich tortur, które Burbura wypróbowywała na swojej pani. Potrafiła jej oślinić całą twarz, wypuszczając z pyska istną fontannę. Ginter nałożyła niewdzięcznicy i jej synalkowi krewetki w tuńczyku do misek. Otarła się rękawem, wybrała czyste ubrania – dzisiaj z premedytacją poszła w czernie: leginsy i trykotka (która może i wyglądała jak zwykła bluzka, ale była od polskiej projektantki, z ekobawełny i kosztowała tyle co niezłe buty), a do tego adidas. Szybko się wykąpała, przebrała, wysoko

upięła blond kucyk. Zrobiła sobie równie czarną co jej ciuchy kawę, przelała ją do kubka termicznego i wraz z niewielkim zestawem narzędzi, które Paweł woził ze sobą na tak zwany wszelki wypadek, zapakowała do plecaczka.

Zniknęła z kempingu, zanim ktokolwiek ją zauważył.

Z opowieści męża wiedziała, gdzie mniej więcej stoi dom rodziny Wójcików. Dotarcie tam zajęło jej pieszo dobre pół godziny. Słońce nie zdążyło się jeszcze wspiąć zbyt wysoko, ale Rozalia i tak poczuła pot na skórze – bardziej efekt zdenerwowania niż temperatury powietrza. Szła skrajem lasu. Wołała nikogo nie spotkać ani nie zapaść w pamięć ewentualnym przechodniom. Ptaki rozśpiewały się już na cały regulator. W powietrzu unosił się rześki zapach igliwia. Było pięknie. Ginterowa w ogóle jednak nie doceniała okoliczności przyrody.

Dojrzała mały piętrowy domek z daleka. Nie mogła go pomylić z żadnym innym. Wyglądał na pogrążony w ciszy. Pusty. Rozalia dobrze się przygotowała do tej misji. Specjalnie dobrała dzień tygodnia i porę doby. Była niedziela. Zatem starzy Wójcikowie powinni siedzieć właśnie na porannej mszy – i brak samochodu na podjeździe wskazywał na to, że w rzeczy samej tak jest. Vanessa zaś – co Rozalia dokładnie sprawdziła – już pewnie zawiązywała w pasie fartuch, rozpoczynając zmianę w karczmie.

Chata zatem stała wolna.

Ginterowa podeszła do domu od strony ogrodu, przedzierając się przez zarośla ciągnące się wzdłuż płotów ogradzających kolejne sąsiadujące posesje. Wprawdzie była przygotowana na przechodzenie przez drewniane sztachety górą, ale z ulgą odnalazła niewielką furtkę prowadzącą na tyły posiadłości Wójcików. Tu, od ogrodu, tak jak wspominał Paweł, widać było przybudówkę. Wyglądała jak tak zwane *granny flat*, czyli niewielkie mieszkancko dla przysłówiowej babci dobudowane do głównego budynku, w którym mieszkała rodzina. Starsza osoba tym samym miała swoje cztery kąty i prywatność, ale też pomoc dzieci, gdy tego potrzebowała. Przynajmniej tak to

rozwiązywano w Wielkiej Brytanii czy Irlandii. Tu zaś role pokoleniowe się nieco odwróciły, gdyż w tym mikroapartamencie rezydowała Vanessa Wójcik, podczas gdy jej rodzice zajmowali większą część domku.

Rozalia ściągnęła plecak, nałożyła na dłonie rękawiczki chirurgiczne, wyjęła skrzyneczkę z narzędziami i przymierzyła się do zamku. Nie po to zadawała się od długich miesięcy z Robertem Osipczukiem, żeby się niczego od gangstera nie nauczyć. Robert zrobił jej raz – pewnie dla własnej uciechy – szkolenie z włamań. Ćwiczyli w hotelu Na Wodzie (wykorzystali weekend, podczas którego Jan Sobottka wyjechał z miasta). Początkowo pani weterynarz szło tak sobie. Jednak potem do głosu doszła jej manualna sprawność tak przydająca się przy operacjach chirurgicznych. I raz, raz opanowała sztukę włamu.

Teraz też już po minucie gmerania w nim żelastwem zamek ustąpił z cichym kliknięciem. Ginter weszła do środka. I najchętniej od razu by stamtąd uciekła. Zmusiła się jednak do pozostania. Przymknęła za sobą drzwi i rozejrzała się po pomieszczeniu z narastającym obrzydzeniem.

Chlew.

To było i tak mocno nieadekwatne określenie na to, jak wyglądało mieszkanie Vanessy Wójcik. Rozalia, która była chorobliwą pedantką, wstrzymała oddech. I odruch, by tu natychmiast posprzątać. W mieszkaniu i tak było mało miejsca, a dodatkowo lokatorka zagrabiła je czym tylko się dało. Na stojącej pośrodku kanapie spoczywała zawartość szafy na ubrania. Ciuchy zwisały smętnie z mebla kaskadami. A na telewizorze Ginter zauważyła dyndający... biustonosz.

Burdel.

Aneks kuchenny to było piekło na ziemi. Nie dziw, że na stoliku przed kanapą walały się sterty plastikowych talerzy, kubków, upačkanych sztućców – te wielorazowego użytku tkwiły przykryte warstwą starego żarcia w zlewie, obok zlewu, a nawet pod nim.

Wysypisko śmieci.

Rozalia najchętniej włożyłaby kombinezon ochronny, jaki widziała w serialach kryminalnych. Wkładali je śledczy na miejscach zbrodni, by ich nie zanieczyścić, zanim technicy nie zbiorą śladów. W tym przypadku Ginter raczej obawiała się kontaminacji własnej osoby. Nie odwrotnie. Musiała sobie jednak radzić z tym, co miała.

Przeszła do drugiego pomieszczenia – mikroskopijnej sypialni. Mieściło się w niej jedynie łóżko (zawalone kolejną warstwą garderoby) i wbudowana w ścianę szafa. Biorąc pod uwagę hałdy tekstyliów pozostających na widoku, można by się spodziewać, że mebel powinien ziać pustką. Rozalia uchyliła drzwiczki i... na głowę wysypały jej się kolejne ubrania. Otrząsnęła się z obrzydzeniem. Zastanowiła się, czy tego nie posprzątać, by zatrzeć za sobą ślady, ale doszła do wniosku, że właścicielka i tak nie zauważy różnicy.

Ona za to zauważyła, że w dole szafy tkwi rząd szuflad. Uchyliła jedną po drugiej. W tej położonej najniżej znalazła albumy ze zdjęciami. Kto dzisiaj trzyma albumy? Wszyscy fotki mają na dyskach. Te więc pewnie pochodziły z dawnych, analogowych czasów. Albo Vanessa lubiła po prostu mieć wszystko na papierze. Rozalia przycupnęła, opierając się o parapet, i zaczęła przeglądać zbiory.

W trzecim wreszcie natrafiła na to, po co tu przyszła. Zdjęcia przedstawiały jezioro, które tak dobrze знаła, bo miała na nie widok z własnej sypialni. I jacht. A na nim załogę złożoną z grupy młodych osób i jednego starszego faceta, zapewne kapitana. Rozpoznała go. Rozmawiała z nim niejednokrotnie. Bo to on wyłowił jej syna z wody, gdy jacht – właśnie ten z fotografii – którym pływali po Jeziorze Mikołajskim, pod naporem tak zwanego białego szkwału zatonął.

To z pewnością były zdjęcia z tamtego feralnego dnia. Rozalia naoglądała się podobnych wystarczająco często, by mieć pewność. Poznawała kadry. Ułożenie innych łódek w tle. A nawet gdyby miała jakieś wątpliwości, rozwiewała je data widoczna w dolnym rogu fotografii.

To był ten dzień.

Dzień, w którym życie rodziny Ginterów odmieniło się na zawsze. Rozalia przewróciła stronę i trafiła jeszcze na kilka ujęć z tej samej wyprawy. Wyprawy, podczas której Hubert o mało nie stracił życia.

Na przybliżeniach rozpoznała też pozostałych członków załogi – głównie byli to znajomi Huberta. Z większością z nich miała kontakt po wypadku. Opowiadali jej swoimi słowami o tym tragicznym wydarzeniu. Nikt z nich nie ucierpiał jakoś specjalnie. To jej syn miał największego pecha.

Jednak w żadnym razie nie przypominała sobie, by w skład tej grupy wchodziła – tak wyraźnie widoczna na zdjęciach – Vanessa Wójcik.

Rozalię ze stuporu wyrwał dzwonek telefonu. Zapomniała go wyciszyć. Teraz szybko sięgnęła do plecaka i wyjęła zeń smartfon. Spojrzała na ekran. Z tą osobą z pewnością nie miała ochoty rozmawiać. Nie miała jednak też wyjścia – musiała odebrać.

– Czego chcesz, Sobottka? – warknęła do słuchawki.

– Dlaczego tak niegrzecznie? – Usłyszała sztucznie słodki głos gangstera. – Gdzie „Dzień dobry, jak się pan czuje”?

Rozalia milczała.

– Niedobra dziewczynka – zarechotał. – Ale przejdźmy do rzeczy. Dziś w nocy przyjedzie pod twoją przychodnię ciężarówka. Robert ma być na miejscu, powiedzmy o drugiej. Otworzy klinikę i...

– Nie ma mowy! – przerwała mężczyźnie Rozalia.

– I przyjmie przesyłkę – kontynuował niezrażony Sobottka. – Ukryje ją. Masz tam jakiś sejf, prawda?

– Powiedziałam nie! – Ginterowa próbowała się bronić, chociaż doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że stoi na straconej pozycji.

– Okej – zgodził się Król Sielaw. – W takim razie zaraz zadzwonię do tego wścibskiego dziennikarza. Jak mu było? – Zastanowił się. –

Szpon! Olek Szpon. I opowiem mu ciekawą historię o pewnej pani weterynarz. Oraz o trupie w jeziorze. Co o tym sądzisz?

Ginter ścisnęła telefon tak mocno, że aż pobieleły jej kłykcie. Jak długo jeszcze będzie w stanie to znosić?

– Tak myślałem. – Sobottka uznał jej milczenie za znak zrozumienia. – Wracając do przesyłki. Odbiorę ją, gdy będę jej potrzebował. A na razie niech sobie bezpiecznie u ciebie leży. Wiesz, psy wężą ostatnio zbyt intensywnie. I lepiej byłoby, także dla ciebie, by paczka nie zaginęła – dodał.

– Co w niej jest? – zapytała Rozalia, nie licząc jednak na wyjaśnienie.

– Tym sobie swojej ślicznej główki nie musisz zaprzętać. – Głos gangstera znów brzmiał radośnie.

Ginterowa chciała jeszcze postawić kropkę nad i w tej i tak przegranej dla siebie dyskusji, jednak w tym momencie usłyszała dźwięki dochodzące z ogrodu. Stała w progu salonu i z przestachem zerknęła w stronę drzwi wyjściowych.

Zobaczyła poruszającą się kłamkę.

W słuchawce zapanowała martwa cisza.



Pawłowi przypomniała się złożona samemu sobie przysięga. Miał nie wyciągać pochopnych wniosków i nie podejmować raptusowych działań. Jednak w jego głowie huczało od nadmiaru podejrzanych! Najchętniej wszystkich by już wziął pod klucz i dopiero potem się zastanawiał, który z nich jest winny. Musiał jednak postępować ostrożnie. A teraz jeszcze jego intuicja pchała go w nowym kierunku.

„Bo to przecież mogła być ona!”, myślał podczas porannej przebieżki po lesie.

Gdy wstał, Rozalii nigdzie nie było. Dziewczynki spały w najlepsze. Poprzedniego wieczoru poszły na jakieś ognisko

i wróciły, gdy oni już dawno padli w objęcia Morfeusza. Nakarmił więc koty, które wpatrywały się w niego wygłodniałym wzrokiem i miauczały nad pustymi miskami. Rozalia musiała zapomnieć dać im karmę.

– Macie, głodne biedaczki – przemówił do zwierzaków policjant i pogłaskał oba po wygiętych w łuki grzbietach.

Potem włożył starą koszulkę do ćwiczeń oraz szorty i pobiegł w las.

Vanessa Wójcik wydawała mu się mocno podejrzana. Ewidentnie była zazdrosna o siostrę. I o jej chłopaka. Tego pierwszego. A i drugi nie był jej obojętny, jak się okazywało. Nie podobało jej się, że Nikola wyjechała z Mateuszem do Szwecji, a ona została w Krutyni z rodzicami, ze swoją słabo płatną pracą kelnerki. Potem siostra wróciła z nowym chłopakiem. A i ten spodobał się Vanessie. Czy zatem pozbyła się Niki, by wreszcie utorować sobie drogę do szczęścia u boku Szweda?

Nie miał dowodów. Ale mógł spróbować je zdobyć.

Nagle zatrzymał się na wąskiej, biegnącej wzdłuż rzeki ścieżce. Schylił się i oparł ręce na kolanach. Oddychał ciężko. Pot zalewał mu oczy. Było wcześniej, ale już robiło się gorąco. Cieszył się, że nie pojechali na wakacje nad morze, bo pewnie wszelkie kąpiele udaremniłyby sinice. Jednak może wtedy nie dostałby w bonusie trupa?

Wyprostował się i dalej biegiem zawrócił. Minął karczmę. Na werandzie zauważył Vanessę nachylającą się nad stolikiem. „Dobra nasza”, pomyślał i przyspieszył kroku. Gdy dotarł pod niewielki położony na skraju lasu domek, dzwony kościelne wybijały niedzielne rytmy.

Postanowił zajść do domku od ogrodu. I spróbować szczęścia. A nuż drzwi będą otwarte? Albo znajdzie zapasowy klucz ukryty pod doniczką? Tylko się rozejrzy. Może trafi na coś użytecznego, co naprowadzi go na jakiś ważny ślad. Warto było podjąć ryzyko. Otworzył furtkę, skrzypiąc metalowym haczykiem. Doszedł pod

drzwi. Dom wydawał się wymarły. Tak jak przypuszczał, Wójcikowie musieli siedzieć w kościele. Rozejrzył się. Wprawdzie nie stała tu żadna doniczka z ozdobnym kwiatem, ale pod drzwiami leżała wycieraczka. To nie mogło być aż takie proste.

A jednak. Było.

Wyjął zapasowy klucz i wetknął go w zamek. Wtedy jednak się zorientował, że drzwi stoją otworem. A jeszcze później usłyszał jakiś dobiegający ze środka głos. Już chciał zawrócić, sądząc, że to Vanessa. Przypomniało mu się jednak, że ją przecież dopiero co widział w karczmie. Nie mogła się rozdwoić. W takim razie, czy ktoś włamał się do mieszkania Wójcikówny? I czego tam szukał?

Komisarz wślizgnął się do środka i zamknął za sobą drzwi. Potoczył wzrokiem po zagraconym wnętrzu i uniósł brwi. Jego żona miałaby tu używanie. Jak ją znał, to wkroczywszy do takiego chlewu, z miejsca wzięłaby się do sprzątania. Stał i nasłuchiwał. Czyżby mu się przesłyszało? Panowała tu zupełna cisza. No może oprócz jakiejś bzyczącej pod sufitem muchy. Szczerze mówiąc, nie zdziwiłoby go nawet stado karaluchów. I kilka szczurów na dokładkę.

Panujący tu bajzel odstręczył go od planowanego przeszukania. Może w sypialni będzie nieco przejrzysiej? Poza tym to było pomieszczenie, w którym ludzie zazwyczaj trzymali najcenniejsze rzeczy. Mógł tam więc znaleźć coś interesującego. Starając się nie potknąć o sterty walających się wszędzie ciuchów, ruszył ku lekko uchylonym drzwiom.



Rozalia poczuła zalewającą ją falę paniki. Jeśli to Vanessa, to jak jej się wytłumaczy? A jeżeli jakiś włamywacz, to jak się obroni? Choć to drugie było mało prawdopodobne. Dwóch potencjalnych rabusiów jeden po drugim w takim zapyziałym lokum to by było zupełnie nieprawdopodobne rozwiązanie.

Musiała uciekać! Główna droga ewakuacyjna była niestety spalona. Zerknęła na okno w sypialni. Szybko jednak zrezygnowała z tego

wyjścia. Zanim poodsuwałaby firanki, otworzyła stary, przyrdzewiały mechanizm, dała susa przez parapet i zamknęła wszystko za sobą, ta osoba – kimkolwiek była – dawno by ją nakryła.

Musiała się schować! Na samą myśl o wczołgiwaniu się pod łóżko poczuła mdłości. Skoro na widoku panował taki armagedon, wołała sobie nawet nie wyobrazić brudu pozostającego w ukryciu.

Szafa!

Przypomniała sobie o opróżnionej przez siebie szafie. Skoro ciuchy leżały na podłodze, może ona zdoła się wsunąć do środka. Była drobnej budowy i ćwiczyła jogę, więc żadne dziwaczne, przykurczone pozycje nie stanowiły dla niej problemu. Dłużej się nie zastanawiając, wdrożyła pośpiesznie opracowany plan. Ledwie zasunęła za sobą z głuchym kliknięciem drzwiczki, ktoś stanął w progu pokoju. Czowała jego obecność. Nie mogła niestety nic zobaczyć. Kolana wbijały jej się w brodę. Łydki cierpły. Zdawało jej się, że zbyt głośno oddycha, a jej serce wali jak dzwon Zygmunta. Ten ktoś też musiał słyszeć te hałasy. Nie było innej opcji. Trwała nieruchomo, modląc się w duchu o cud.

Dotarło do niej skrzypienie podłogi. Coraz cichsze. Intruz się oddalał. Wstrzymała oddech. Usłyszała jęk zawiasów, a potem trzaśnięcie drzwi.

Poszedł.

Rozalia wypuściła powietrze. Wyrównała oddech. Wygramoliła się z szafy i rozprostowała kości. Wyjęła zdjęcia z albumu, odłożyła go na miejsce i przystąpiła do ewakuacji z tej stajni Augiasza. Wyszła z sypialni.

I wtedy nagle ktoś się na nią rzucił i przyskrzypił do podłogi. Znów straciła dech. Rozalia Ginter nie była jednak wątłą panienką, jak mógłby pomyśleć ktoś, kto widział ją pierwszy raz w życiu i w porę nie wyciągnął właściwych wniosków.

Rozalia Ginter była wojowniczką.

Zadziałała niemal instynktownie. Chodziła kiedyś na kurs samoobrony, na którym przyswoiła sobie to i owo. Kilкома celnymi i mało spodziewanymi uderzeniami w strefy newralgiczne, takie jak gołeń, oko i krocze, zrzuciła z siebie napastnika. Skoczyła na równe nogi. Chwyciła to, co miała najbliżej siebie, czyli wazon z zeschniętym wiechciem w środku i zalatującą cmentarzem odstaną wodą. I zamachnęła się na leżącego na podłodze pojękującego faceta.

W ostatniej chwili wstrzymała egzekucję.



– Zabierz ode mnie ten płynny gnój! – jęczał Paweł Ginter, próbując się uchylić przed ściekającą mu na tors śmierdzącą cieczą. Co to był za trupi odór? – Jezus, Maria, chcesz mnie zabić? – zapytał swoją żonę.

Bo to była ona – Rozalia Ginter we własnej osobie. Jego małżonka najwyraźniej włamała się w jakimś celu do domu Vanessy, schowała się przed nim, najpewniej w szafie, a potem go pobiła. Wprawdzie to on pierwszy ją zaatakował, ale skąd miał wiedzieć, kogo napada?!

– Jakim cudem masz tyle siły? – biadolił dalej, jednocześnie próbując się podnieść. Co nie było takie proste, bo noga go strasznie bolała, przez załzawione oko mało co widział, ale i tak najgorzej miało się przyrodzenie. Kobiety nie potrafiły zrozumieć, jak dokuczliwy jest to ból, gdy ktoś kogoś kopnie w jaja!

– Co tu robisz?! – wysyczała Rozalia. Była czerwona na twarzy, miała rozczochrane włosy i wściekłość wyzierającą z oczu.

– Mógłbym zadać to samo pytanie – odparł już spokojniej Paweł i ostrożnie usiadł na zawalonej szmatami kanapie. – Tylko nikomu o tym nie mów – zaapelował. – Że mi wlałaś. Bo mnie z roboty zwolnią.

– Rzuciłeś się na mnie! – broniła się Ginterowa, ale w kącikach jej ust czaił się uśmieszek. – To policja może stosować takie... nieoficjalne metody śledcze?

– Nie nakabluj na mnie, to ja ciebie nie aresztuję. Za włamanie. I atak na funkcjonariusza na służbie. Co tam masz? – Wskazał na zdjęcia, które Rozalia wciąż ścisnęła w dłoniach.

– Dowód! – wyjawiała jego żona. – Słuchaj, to jest niemożliwe, ale wychodzi na to, że na jachcie była wtedy też Vanessa!

– Którym jachcie? – Paweł nie rozumiał.

– TYM!

Komisarz pojął w jednej chwili. Wyjął fotografie z rąk ukochanej i się im przyjrzał. Dopiero po chwili dostrzegł, że drżą mu ręce.

– Co to znaczy? – zapytał.

Poczuł się zagubiony. Opadł na kanapę. Wypuścił z rąk zdjęcia. Te zsunęły się na podłogę. Paweł wpatrywał się w sufit. Było mu niewygodnie. W tyłek wbijały mu się sterty wszelkiej proweniencji śmieci.

– Musisz przechodzić katusze. – Popatrzył na swoją żonę i się uśmiechnął. – Może chciałabyś tu trochę poukładać? – podjudzał.

– Na twoim miejscu wstałabym z tego barłogu – poradziła mu żona. – Jeszcze dostaniesz jakiegoś syfa.

Dowcipy dowcipami, ale z tej sugestii policjant postanowił jednak skorzystać. Podparł się oburącz i już podnosił do pionu, gdy poczuł jakiś twardszy przedmiot pod palcami. Przemógłszy obrzydzenie, wygrzebał spod koca... bransoletkę. Drewnianą. Turkusową.

Dokładnie taką, jaką na zdjęciach, które widział u Olofa, nosiła Nikola.

Paweł nie zdążył skomentować znaleziska, ponieważ usłyszał zbliżające się kroki.



– Do szafy! – zaordynowała Rozalia i czmychnęła do sypialni.

Mąż pognał za nią, jednak zawahał się na progu.

– Oboje się nie zmieścimy! – zauważył. – Poza tym jak później się stąd ulotnić z nią w środku? – prowadził dywagacje, na które w żadnym razie nie miał czasu. Już dotarło do niech zgrzytanie zawiasów.

Vanessa była wewnątrz.

Nie mieli ani chwili do namysłu. Rozalia wskoczyła do szafy na swoją wcześniej ustaloną pozycję. Przez szparę widziała, jak Paweł pokręcił się jeszcze wokół własnej osi, po czym – z braku lepszej alternatywy – wskoczył za zasłonę i owinął się nią jak najszczelniej. Już po chwili Wójcikówna stała w progu sypialni. Ginter była się w stanie założyć, że Paweł widział jej niewyraźną sylwetkę przez ciemny materiał. I pewnie starał się nie ruszać. Wstrzymywać oddech. Rozalia robiła dokładnie to samo.

– Gdzie moja kiecka? – powiedziała sama do siebie Vanessa.

Rozalia poczuła uderzającą falę paniki. Kelnerka zaraz otworzy drzwi szafy w poszukiwaniu ciucha! Była skończona! Jak się wytłumaczy?! Nie istniało sensowne wyjaśnienie tego, co właśnie wyczyniała. Już, już, miała wyjść z ukrycia, ujawnić się i pokajać, gdy usłyszała:

– A, tu cię mam! – zakrzyknęła radośnie Vanessa, która musiała odnaleźć sukienkę na stosie zwalonym na podłogę przez samą Rozalię.

Ginterowa nasłuchiwała. Kobieta wyszła z sypialni i kręciła się po drugim pomieszczeniu. Po chwili znów zaskrzypiały zawiasy drzwi wejściowych.

– Mamo! – wydarła się Vanessa. – Nie możesz tu wchodzić jak do siebie! A gdybym była naga?!

– Ja jestem u siebie – odparła znużonym tonem starsza pani Wójcik.

– Posprzątałybyś tu. – To musiał być z kolei ojciec. – Bo nam się jeszcze jakieś robactwo zalęgnie. Albo szczury.

– O co wam chodzi?! – Głos Vanessy wchodził w piskliwe rejestry. – Nie powinniście być w kościele? – przypuściła atak.

– Już jest po mszy – odparła matka. – Swoją drogą, ksiądz się o ciebie pytał. Kiedy pójdziesz z nami?

– Mamo – jęczała Vanessa. Zupełnie jakby była nastolatką, a nie dorosłą kobietą mogącą decydować o sobie i niemuszącą się przecież tłumaczyć przed rodzicami z tego, czy chodzi na msze, czy też nie. Najwyraźniej w tym niepozornym domku obowiązywały inne zasady. – Przecież pracuję – powiedziała. – Zresztą muszę zaraz wracać. Wpadłam tylko się przebrać, bo się uświłam.

– Chcieliśmy z tobą porozmawiać. – Znów odezwał się ojciec. – O tym wieczorze. Pamiętaj, że cokolwiek powiesz, zostanie między nami.

– Jakim wieczorze? – Czyżby Rozalia dosłyszała niepokój w głosie Vanessy? – Co to jest, jakieś przesłuchanie?

– Wiemy, że okłamałaś tego policjanta – powiedziała Wójcikowa, a weterynarka zamarła. – Wcale nie miałaś wtedy zmiany w karczmie. Przynajmniej nie tak długo. Widzieliśmy cię, jak stąd wychodzisz. Zostawiłaś zapalone światło, pewnie po to, żeby nas zmylić. Ale ojciec cię zobaczył. Gdy się wykradałaś. Tylną furtką. Dokąd poszłaś?

– Nie wiem, o czym mówisz. – Vanessa odzyskała spokój. Przynajmniej pozornie.

– O nocy! – Stara Wójcikowa podniosła głos. – Kiedy ktoś zamordował naszą córeczkę! – Rozszlochała się.

– Czy to byłaś ty? – zapytał mężczyzna.

W przybudówce panowała cisza. Rozalia miała wrażenie, że jej oddech słychać w sąsiednim pokoju. Zatkaną sobie usta dłonią.

– Ja jestem waszą córeczką – powiedziała już zupełnie bez emocji Vanessa. – Chyba o tym zapomnieliście – dodała.

Po chwili do Ginterowej dotarł odgłos kroków, a potem trzaśnięcie drzwi frontowych. Następnie podwójne tupanie na wypaczonych

klepkach podłogowych. I kolejny huk drzwi. Rozalia bała się ruszyć. Po chwili jednak szafa stanęła otworem. Zmrużyła oczy oślepiona nagłą jasnością.

– Spadamy – powiedział Paweł.

Chwycił ją za rękę i czym prędzej opuścili chatkę. Nie bez łupów.

Rozalia trzymała w ręku zdjęcia. Paweł zaś schował do kieszeni spodni turkusową bransoletkę.



Drogi pamiętniczku,

mam uszy nie od parady, więc pewnie nikogo nie zdziwi fakt, że wszystko słyszałam, widziałam także, zarejestrowałam i teraz mogę o tym napisać. Podziękowania przyjmuję w puszczech krewetek w tuńczyku wysyłanych na adres komendy policji w Mikołajkach (do domu wolałabym nie, bo mi Rozalia przejmie paczkę i będzie wydzielać zawartość).

– W karczmie za pół godziny – powiedziała mianowicie Potomek-Chojarska i się rozłączyła.

A Rozalia schowała komórkę do torebki i zaczęła się zbierać. Nie rozumiem, dlaczego zachowywała się tak, jakby była na usługach tej papugi. Ktoś powinien prawnicze przerzedzić piórka, to się nauczy, że Ginterami się nie pomiata. Może wreszcie sama się tym zajmę.

Musiałam się zamyślić, bo dopiero po chwili się zorientowałam, że jeden z patyczaków (bij zabij, pojęcia nie mam który) mnie głaszcze.

– Ale ty masz grube futro, Bureczku – przemawiała dziewczucha, przeciągając dłonią po mojej sierści, która w rzeczy samej ostatnio zwiększyła swą objętość.

Taki proces był normalną, gdy zbliżały się listopadowe chłody. Nie jestem wszak drogowcem, żeby mnie zima zaskoczyła. Zawsze mam nastroszone futro przygotowane na podorędziu.

Teraz jednak mój organizm musiał zareagować na to całe spanie pod namiotem. Już się dawno zdążyłam przyzwyczaić do życia w luksusowej willi, a tu takie polowe warunki! W dzień niby gorąco, ale nocą to już niekoniecznie. No to sobie wyprodukowałam naturalny podgrzewacz. A chudzina się dziwiła. Powinna wyciągnąć wnioski i przestać się wreszcie odchudzać. Bycie ponadprzeciętnych rozmiarów przynosi wszak same korzyści. Po pierwsze, jak już wspomniałam, dzięki tłuszczowi od razu jest delikwentowi cieplej. A po drugie – i kluczowe – o wiele trudniej go porwać! A przecież ślepa nie jestem, nie tylko uszki mi dobrze funkcjonują, więc już nie raz i nie dwa widziałam te pełne pożądania spojrzenia różnych obcych typów, którzy na mnie lampili właśnie tak, jakby chcieli ze mnie uczynić podmiot kidnapingu, a potem albo postawić na odświętnym miejscu w salonie i podziwiać, albo sprzedać za niebagatelną kwotę, której z pewnością bym

się nie doliczyła, bo czego jak czego, ale matematyki to nie tykam nawet kijem przez szmatę. Wolę pozostać przy zdrowych zmysłach.

Ale dosyć już teorii, czas był przejść do czynów. Odwróciłam się z szybkością, o jaką mało kto podejrzewałby takiego słodkiego pulpecika jak ja, i pacnęłam patyczaka pazurem. Co by się odczepił. Oczywiście uderzył w ryk, że jaki to on jest pokrzywdzony, bo ma szramę na dłoni. Niech się cieszy, że nie sięgnęłam po to jego wypacykowane ryło.

Musiałam się zbierać, bo Rozalię gdzieś wyгнаło. Zapewne do tej karczmy, gdzie miała czekać prawniczka. Postanowiłam im towarzyszyć.

Wyskoczyłam z namiotu i pognałam za Ginterową. Ta stara lampucera udała się do wuceta, gdzie przez dobry kwadrans robiła sobie makijaż. Jakby jej to w czym miało pomóc. Tak w ogóle, to moim zdaniem Rozalia się nie znała na malowaniu sobie gęby. Te wszystkie stosowane przez nią zabiegi nie przynosiły upragnionego rezultatu. W moich oczach wciąż wyglądała równie odpychająco. A gdyby mnie poprosiła o poradę, tobym jej podpowiedziała, że z pewnością jej urodzie przysłużyłoby się pomalowanie nosa na pomarańczowo – tak jak u mnie matka natura to załatwiła. W gały mogłaby sobie wepchnąć żółte szkła kontaktowe – efekt wow murowany. Na owłosienie nic już nie mogła poradzić. Takiego futra jak ja nie zdołałaby wyhodować nigdy w życiu. Prawdziwego, z jakiegoś nieszczęsnego lisa czy innej norki, sobie nie kupi, bo wprawdzie swoje za uszami ma, ale nie jest pieprznęta w dekiel. A sztuczne nigdy nie dorówna mojemu.

Zamiast jednak postępować wedle moich instrukcji, wołała paćkać się tymi wszystkimi maziajami, za których równowartość mogłaby pojechać do spa Ireny Eris na miesięczny pobyt relaksacyjny.

Tak upiększona wróciła do namiotu, by zostawić w nim kosmetyczkę wielkości podróżnej walizy mieszczącej dobytek pięcioosobowej rodziny oraz trzech kuzynów z drugiej linii. Potem się dziwić bliźniaczkom, że idą w ślady matki. Zawróciła i ruszyła do wspomnianej karczmy. A ja za nią.

Znalazła wolny stolik na werandzie. Nie zamierzałam się czaić. Ujawniłam swoją obecność, wskakując Rozalii na kolana z tak zwanego nienacka.

– Burcio! – wrzasnęła.

Słabe nerwy ma ta kobiecina. Długo nie pociągnie moim skromnym zdaniem. To nawet dobrze, bo Pawełek będzie wreszcie tylko mój! Zaczęła mnie głaskać, co znosiłam z godnością, w duchu poprzysięgając rewanz. Nie zamordowałam jej od razu dlatego, że chciałam zobaczyć, co się tu zaraz wydarzy. A z jej kolan miałam po prostu najlepszy widok. Zemsta nie zając.

I bardzo dobrze uczyniłam, bo już po chwili byłam obserwatorką przedstawienia, które mogłoby spokojnie pretendować do nagród na jakim festiwalu komedii. Oto środkiem ulicy kroczyła Potomek-Chojarska, wbijając obcasy swoich szcudeł w rozmiękły od upału asfalt. Szło jej to z oporami, ponieważ ciągnęła za sobą – szarpiąc go za sutannę – wielebny Konopniaka. Ten próbował się wyrwać, jednak prawniczka dysponowała żelaznym uchwytem. Również obelgi słowne nie robiły wrażenia na adwokatce.

– Ekskomunika! – darł się wielebny. – Rzucam na ciebie ekskomunikę! – groził. Osiągnął tyle, że Potomek-Chojarska, nie zaprzestając szarpaniny ani na moment,

zarechotała złowróźnie. – Puszczaj, ty stara krowo! – wypalił kapłan, zrzucając zasłonę świętoszkowatości, za którą kryło się to, co się kryło.

– O, ho, ho, kolego! – Tu jednak uzyskał jakąś reakcję. Przypuszczam, że nie taką, na jaką liczył.

Prawniczka zamiast dać się wytrącić z równowagi i popuścić uścisk, po prostu zdzieliła Konopniaka drugą, wolną ręką w glacę. Aż plasnęło. Potem wytarła sobie dłoń o ołówkową spódnicę.

– Płacisz mi za pralnię chemiczną – powiedziała i łypnęła z odrazą na księdza.

Ten był już cały czerwony na gębie i na czubku łba – nie wiem, czy ze wstydu, gorąca, a może od tego klapsa. Zamknął jednak jadaczkę i pozwolił się dowlec do karczmy.

– Siad! – Potomek-Chojarska wydała komendę i wepchnęła kolanem duchownego na ławę naprzeciwko nas. – No gdzież on jest? – Rozejrzała się zniecierpliwiona.

W tym momencie, jak na zawołanie, do naszego stolika podszedł jakiś szczapowaty, długi jak tyczka po zeschniętym słoneczniku, okudlony lokami facecik. Ubrany był w lniane kremowe spodnie, błękitną koszulę rozpiętą pod szyją, a na nosie miał przeciwsłoneczne okulary. Przyjrzałam mu się z rezerwą.

Nie lubię obcych.

Nie ufam nikomu.

Sama sobie nie ufam.

I zawsze jestem gotowa do ataku. Zasyczałam na próbę na tego bubka, który – jak zauważyłam – dzierżył pod pachą skórzaną elegancką teczkę. O! Ta teczka mi się spodobała! Przecież jakby tak w tę lśniącą, wycacaną jak psu jajca nawierzchnię wbić pazur i pociągnąć, to to by było czyste złoto.

– To jest Krystian – przedstawiła nam chudzielca prawniczka. – Notariusz – dodała. – Nie lubi się odzywać.

Proszę, proszę, co za dziwadło. Zeszłam z kolan Rozalii i wskoczyłam na stół. Usiadłam sobie na jego brzegu, żeby im nie przyszło do głowy mnie zganiać.

Krystian kiwnął tylko głową, aż mu loczek opadł na czoło. Położył swoją teczuszkę na blacie, przesunął kod w zamku, zasłaniając się ramieniem, jakbyśmy już się wszyscy pchali, żeby podglądać, po czym wy dobył na światło dzienne jakieś dokumenty. Psują mnie odchodziło, co w nich zapisano. Ja miałam inny obiekt zainteresowań w tamtej chwili.

– Tu! – powiedziała Potomek-Chojarska i postukała na dole strony. – Podpisuj – rozkazała i szturchnęła wielbego Konopniaka. – Tym razem przed obliczem notariusza i świadków.

Duchowny zaczął czytać treść dokumentu, ale szybko mu przerwano.

– Streszczę ci – zaoferowała adwokatka. – Krystek tu ładnie napisał w twoim imieniu, że ty, wielbny Konopniak, zrzekasz się spadku po Jadwidze Ginter w postaci domu w Tałtach i nie będziesz rościł żadnych pretensji wobec rodziny zmarłej, na którą przejdzie ów spadek.

ŻODNYCH, tak powiedziała. Jak na moje oko duchowny nie wyglądał na takiego, który by nie miał pretensji o odebranie mu niespodziewanie otrzymanych dóbr. Wręcz pokusiłabym się o diagnozę, że wyglądał na takiego, który miał ich całkiem sporo. Jednak pod presją Potomek-Chojarskiej (oraz zapewne z obawy, że znów dostanie w ucho) złożył podpis we wskazanym miejscu. Sprawdziłam, czy nie leci sami wiecie w co, i nie postawił tam trzech krzyżyków. Ale nie – zobaczyłam jakieś tam literki, jednak jak już wspominałam, mam ciekawsze rzeczy do roboty niż naukę czytania. Pomyślałam sobie, że teraz to już Rozalia zabezpieczona jest zgodnie z literą prawa. Bo to poprzednie podpisywanie było przeprowadzone na chybcika i bez stosownych pieczęci.

Jednak wróćmy do interesujących zajęć. Do takich należało na przykład wbijanie pazurków w skórzaną teczkę!

Co też uczyniłam, gdy wszyscy pochylali się nad dokumentami. Jednym susem znalazłam się na torbiszczu. Przejechałam manikiurem po śliskiej nawierzchni.

Cóż to była za przyjemność! Nie sposób opisać.

Muszę się też pochwalić pewnym osiągnięciem. Otóż zmusiłam tego Krystianka, co to się nie lubi odzywać, żeby jednak złamał śluby milczenia.

– Moja teczka! – wydarł się mianowicie.

A potem udowodnił, że nie tylko potrafi się wysławiać, ale także umie to robić w sposób niezwykle niecenzuralny.

Na to larmo na werandę przybiegła ta cała kelnerka, Vanesska Wójcik, i dalej się dopytywać, czy tu kogo ze skóry obdzierają. W zasadzie pytanie nie było pozbawione sensu. Jednak kelnerka nie uzyskała żadnej odpowiedzi, za to zebrała zamówienia na napoje wyskokowe. Ja z kolei zostałam zepchnięta nie tylko z teczki, ale i ze stołu.

Chamstwo.

Dziadostwo.

Bdździństwo.

Też umiem się adekwatnie wypowiedzieć, a co!

Wójcik polazła po browary. Potomek-Chojarska odprawiła wielebnego Konopniaka z kwitkiem, mówiąc mu, żeby już sobie poszedł do tej swojej oazy, bo nic tu po nim. Co też duchowny skwapliwie uczynił. Wskoczyłam na drewnianą barierkę otaczającą werandę, więc widziałam, jak odchodzi niepyszny tak zwanym kurcgalopkiem w stronę kempingu, oglądając się co trzy kroki za siebie z przestrachem.

Notariusz Krystian pozbiierał swoje manele do ozdobionej przeze mnie teczki. Skłonił się prawniczce i Rozalii. W moim zaś kierunku fuknął! Niewyobrażalne! Odpowiedziałam mu pięknym za nadobne i też syknęłam mu do słuchu, a potem po krótkiej chwili namysłu zeskoczyłam z barierki, dogoniłam chudzielca, gdy już miał wkraczać na wyjściowe schodki, i przywaliłam mu łapą w łydkę. Czmychnęłam z miejsca zbrodni tak szybko, że choć się rozglądał pełnym pretensji wzrokiem, to się nie zorientował, kto go tak urządził. Mógł się domyślać. Jednak dowodów nie miał!

Gdy wróciłam do stołu, Rozalia zachęcana przez prawniczkę, opowiadała jej właśnie o ustaleniach kryminalnego śledztwa poczynionych przez mojego Pawełka. Nie sądzę, by paplanie na prawo i lewo o kulisach zbrodni było legalne. Może dałoby się za to wsadzić Rozalię do kicia?

Siema, koleżanki i koledzy,

mamoń znowu gdzieś poszedł beze mnie i zabrał ze sobą Rozalię. Pomyślałem, że dobrym sposobem na rozładowanie emocji będzie naostrenie pazurków. Leżałem na bluzie, którą Hania zostawiła tu pewnie specjalnie dla mnie. Wcześniej ją sobie wydeptałem. Było mi wygodnie. Nie chciało mi się wychodzić na dwór i szukać jakiegoś pniaka odpowiedniego do drapanka. Jednak przecież ta płachta wisząca nade mną wyglądała całkiem zachęcająco... Usiadłem. Powąchałem materiał, który był tak kusząco naprężony. I wbiłem weń pazury prawej łapki. Pociągnąłem. Przyjemnie trachnęło. Dołączyłem lewą łapkę. Powtórzyłem manewr. Uch! Byłem z siebie zadowolony.

Dziwna sprawa. W płachcie zrobiły się prześwity. Na wylot. Włożyłem w jeden z nich pyszczek. I zobaczyłem tę taką panią, która na co dzień pracuje w karczmie, jak biegnie od strony restauracji. Gdzieś jej się bardzo śpieszyło. To pewne.

Mnie z kolei nigdzie nie gnało. Położyłem się więc z powrotem na bluzie. I zapadłem w zasłużoną drzemkę.



– Krok po kroku to nie wiadomo – tłumaczyła Rozalia przysłuchującej jej się Potomek-Chojarskiej. – Jak wyglądał ten jej ostatni dzień. Jednak udało się Pawłowi co nieco odkryć – pochwaliła męża.

I opowiedziała o ustaleniach, o których dyskutowali z Pawłem przez pół nocy. Mąż zwierzył jej się, że ma zbyt wielu podejrzanych i sam nie wie, na którego się zdecydować. Chciał omówić z nią sprawę, w nadziei, że dzięki temu puzzle poukładają się w jego głowie w logiczną całość. Rozalia nie była wścibska. Nie interesowała się też przesadnie dochodzeniami prowadzonymi przez męża. Miała dosyć swoich własnych problemów. Gangsterów, z którymi musiała się użerać. Bandziorów, którym pozwalała się szantażować. Ukrytych trupów w mazurskich jeziorach, z którymi wolała nie być nigdy łączona. Jednak skoro Paweł chciał pogadać, to proszę bardzo.

No i wychodziło z tego wszystkiego, że do Nikoli tego ostatniego dnia musiało dotrzeć, że Olof wcale nie zamierza z nią pojechać do Berlina, tak jak obiecywał. Ani nie planował z nią tam na stałe zamieszkać. Czy się dowiedziała o jego romansie z Vanessą? Być może. Z pewnością pokłóciła się z Molinem.

Poszła też do karczmy, gdzie widziała się z siostrą i z Filipem Orzeł, ojcem swojego byłego chłopaka. Orzeł miał zatarg z Wójcikówną. Odmówił przyjęcia jej do pracy. Nie wybaczył jej, że zerwała z Mateuszem w Szwecji. Chłopak zaginął, a Filip sądził, że to była wina Nikoli. Mateusz musiał się załamać i gdzieś wyjechać. Zacząć życie od nowa. Zerwał z przeszłością. Nie chciał więcej widzieć Niki, ale i przy okazji swojej rodziny. Nie zamierzał wracać do Krutyni, bo ta pewnie przypominała mu o nieudanym związku. Związku, w którym pokładał wielkie nadzieje. Tak powiedział ojcu w rozmowie telefonicznej. Nawet się przyznał do tego, że kupił dla Nikoli pierścionek zaręczynowy. A ona co zrobiła? Wzgardziła nim. Znalazła sobie na jego miejsce tego narkomana!

Filip Orzeł nie chciał dopuścić do siebie tylko jednej myśli. Bo co, jeśli Mateusz nie żył?

Nikola wyszła z karczmy. Było już ciemno. Siostrze powiedziała, że wraca do domu. Czy jednak miała na myśli chatkę po dziadkach, w której mieszkała z Olofem, czy dom rodziców, tego nie sprecyzowała.

Potem ślad po niej zaginął. Za to w pobliżu widziano także kręcącego się po nocy wielebnego Konopniaka. On z kolei miał do Nikoli pretensje o nieobyczajne zachowanie. Dziewczyna ewidentnie prowokowała duchownego, biegając mu wraz z Olofem przed nosem zupełnie nago, burząc jego modlitewne rytuały.

– A że Konopniak ma fioła, sama wiesz – stwierdziła Rozalia.

Ktoś musiał pójść z Nikolą w nocy nad młyn. Palnąć ją w głowę czymś ciężkim i wrzucić dziewczynę w nurt Krutyni.

Ale kto? Tego Paweł nie był pewny. Jeszcze. Rozalia знаła swojego męża bardzo dobrze. I wiedziała, że prędzej czy później się tego

dowie.

Potomek-Chojarska wyglądała na znudzoną tymi śledczymi wynurzeniami. Nawet sobie mało elegancko ziewnęła. Po czym oznajmiła, że idzie odpocząć.



Paweł Ginter od rana czuł mrowienie w karku. Tak, jakby ktoś wpatrywał się w niego intensywnie z ukrycia. Denerwował się. I obawiał, że morderca może mu się wymknąć, zanim on zdąży go aresztować. Nie mógł dłużej czekać.

Rozmawiał z Rozalią o swoich podejrzeniach. Razem stworzyli listę osób, które mogły być zamieszane w śmierć Nikoli Wójcik. Dziwna sprawa, w niepojęty sposób to zabójstwo zbliżyło go do żony. Mieli swoje problemy. Jednak tu, w Krutyni, działali ramię w ramię. Wiedział – a raczej przypuszczał – że Rozalia próbuje się rozprawić z wielebnym Konopniakiem. Pomagała jej ta prawniczka. On się nie wtrącał. Jeśli sobie z nim poradzi, super. Jeśli nie, dopiero wtedy Ginter zobaczy, czy da się coś zrobić.

Tymczasem jego własne śledztwo tkwiło w miejscu. Czas było to zmienić.

Sporo już czasu minęło, odkąd Rozalia gdzieś wyszła, a Burbur podreptała za nią. Dziewczynki pojechały na wycieczkę rowerową, Pedro zaś spał w namiocie. Paweł się zawahał. Nie mógł jednak zostawić zwierzaka samego. Wczołgał się więc do środka. I zamarł.

– Co to jest?! – zapytał Pedra.

Ten jednak nie zamierzał mu odpowiadać. Ledwie uchylił ślepię i łypnął na pana z pretensją. „Po co mnie budzisz, wrzaskliwy dziadu?“, mówiło jego spojrzenie. Zakopał się w różowej bluzie należącej do jednej z córek i nic sobie nie robił z faktu, że nad jego głową zieją dwie podłużne dziury wyszarpane w poszyciu namiotu. Ewidentnie przez niego!

Paweł westchnął. Będzie to musiał jakoś załatać. Byle tylko nie zebrało się na deszcz, bo powódź mają gwarantowaną. Włożył sobie opierającego się kota pod pachę, sięgnął po jego szelki, wygramolił się z namiotu i wsiadł do radiowozu.

Ulokował się za kierownicą. Pedro usiadł na desce rozdzielczej i popatrywał na policjanta z miną świadczącą o tym, że poczynania człowieka go żenują.

– Tak! – powiedział Paweł ni to do siebie, ni to do kota. – Stawiam na nią. – Zabębnił palcami w wyświechtaną kierownicę.

Zasunął szyby, żeby Pedro nie wyskoczył w biegu. Klimatyzacji w tym rzęchu nie było. Już po chwili poczuł pot na czole.

Podjął decyzję. I zamierzał jej się trzymać.

Podjechał pod dobrze już sobie znany domek Wójcików i zaparkował przy przeżartym przez korniki płocie. Założył Pedrowi smycz. Wyszli z tej nagrzonej puszki i obaj rozprostowali kości. Paweł się przeciągnął, chwytając się za krzyż, w którym coraz częściej mu łupało. Pedro zrobił klasyczny koci grzbiet – pamiętne ćwiczenie z lekcji WF-u.

– Dobra, bierzemy ją – mruknął policjant.

I ruszył w stronę tylnej furtki prowadzącej do ogrodu, a potem do przybudówki, w której mieszkała Vanessa Wójcik. Chciał z nią jeszcze raz porozmawiać. Przekonać się, że ma rację. Był pewny, że to ona była winna śmierci siostry. Prawie pewny. Kobieta miała motyw – jej zazdrość waliła po oczach: o chłopaków Nikoli – ze szwedzkim nawet udało jej się zainicjować romans – o pracę, rzekome sukcesy, miłość rodziców. Zawsze musiała czuć się gorsza. I wreszcie nadarzyła się okazja, by nie tylko stać się tą lepszą, ale także jedyną.

Paweł nie miał bezpośredniego dowodu na jej winę. Za to dysponował poszlakowym. Bo i skąd u Vanessy bransoletka należąca do siostry? Ta, z którą Nikola postanowiła się nigdy nie rozstawać. Wprawdzie po odkryciu zdrady Olofa mogła ją zdjąć. Jednak

dlaczego miałyby ją podarować Vanessie? Musiał o to wszystko zapytać samą zainteresowaną. A bransoletkę natychmiast wysłał do laboratorium, by technicy zdjęli z niej ślady DNA.

Zapukał do drzwi. Nikt nie odpowiadał.

– Pani Wójcik, to ja! – zawołał. – Paweł Ginter. Chciałem porozmawiać.

Dalej nic.

Zrobił z dłoni daszek i zajrzał przez okno do środka. Prócz wiecznego bałaganu nie zauważył niczego interesującego. A już na pewno nie właścicielki tego pobojuwiska. Obszedł więc z co rusz stojącym w miejscu i z rozmarzeniem wpatrującym się w niebo Pedrem dom i zadzwonił do drzwi starych Wójcików. Po chwili otworzył mu ojciec. Nic nie mówił, tylko uniósł brwi w pytającym grymasie.

– Zastałem Vanessę? – odezwał się policjant.

– Jest w pracy – odparł mężczyzna.

Za jego plecami pojawiła się żona.

– Co się stało? – zapytała.

Paweł z kotem na rękach gnał już jednak do samochodu. Pedro miał wiele zalet. Lecz jedną z nich z pewnością nie było bezproblemowe chodzenie na smyczy.

W karczmie nie zastał Vanessy. Zastał zaś własną żonę, jej znajomą prawniczkę i Burburkę. Dwie pierwsze raczyły się kormoranami. Którymiś z kolei. Kotka zaś leżała rozciągnięta na stole, wypychała brzuszysko ku górze i tylko czekała na to, by ktoś uznał ją za słodką kicię i pogłaskał po brzuszku. Paweł już poznał takich śmiałków oraz zadane im przez futrzaną diabolicę rany kłute oraz szarpane.

– Widziałyście Vanessę? – zapytał.

– Kochanie! – czknęła Rozalia. – Usiądź z nami. – Znasz... – Urwała, wskazując na prawniczkę. – Potomek-Chojarską – uzupełniła wypowiedź.

– Szukam Vanessy – powtórzył Paweł, skinąwszy głową adwokatce.

Rozalia musiała wyczuć podenerwowanie w jego głosie. Wyprostowała się i spojrzała na męża prawie całkiem trzeźwo.

– Czyli to ona?! – podniosła głos. Paweł uciszył żonę. – Była tu – przyznała Rozalia. – Nie ma jej w środku?

Policjant włożył Pedra w ramiona Ginterowej. Dla pewności jeszcze raz obszedł knajpę. Popytał wśród personelu. Szybko się okazało, że Vanessa powinna właśnie pracować na zmianie, ale... gdzieś zniknęła.

Rozpłynęła się w powietrzu.

Ginter wrócił do radiowozu i jeszcze przez godzinę objeżdżał Krutyń w poszukiwaniu zaginionej. Bez skutku. Wreszcie zadzwonił do Mrągowa. Tam chłopaki uruchomili policyjne kanały.

Dopiero następnego ranka do Pawła Gintera dotarła informacja, że Vanessa Wójcik ostatni raz widziana była na lotnisku w Olsztynie. Tam wsiadła w samolot do Londynu. W zasadzie innej zagranicznej opcji niż Stansted stamtąd nie miała.

Jakiś tydzień później mazurscy policjanci dowiedzieli się od swoich zaalarmowanych kolegów z Wielkiej Brytanii, że Vanessa Wójcik wprawdzie wylądowała w ich stolicy. Jednak co się z nią potem stało, tego nie wiedział nikt. Czy można było wybrać lepsze miejsce do zniknięcia niż dziewięćmilionowa metropolia?



Stało się to, czego obawiał się Paweł Ginter. Tego ranka z nieba lunął deszcz. Woda ciekła strugami bardziej porywistymi niż nurt Krutyń. Wokół namiotu zrobiło się błoto. W środku zresztą też, co Rozalia odkryła z przerażeniem.

– Skąd się tu wzięły te dziury?! – zapytała, odsuwając ciuchy dziewczynek od miejsca, w którym tworzyła się właśnie potężna

kałuża.

Było to jednak pytanie natury retorycznej. Podejrzanych o spowodowanie szkód było dwoje. I każde z nich patrzyło właśnie na nią z całkowitą obojętnością, gnieźdząc się w jej własnym śpiworze!

– Dosyć tego! – oznajmiła Rozalia.

Jeśli mieli tu zostać choć minutę dłużej – a mieli, bo Paweł upierał się dokończyć śledztwo, jej zaś wcale się jeszcze nie uśmiechało wracać do Mikołajek, gdzie czekali na nią Sobottka i Osipczuk, więc wołała wspierać męża w dochodzeniu, choćby i zmagając się z tsunami – musieli zmienić miejsce zamieszkania. Natychmiast!

– Nie wierzę, że tu nie ma żadnego wolnego pokoju! – złorzeczyła Rozalia, naciągając na siebie pelerynę. – W całej tej zafajdanej wsi!

Przez chwilę zastanawiała się, do kogo się udać z prośbą o pomoc. I przypomniała sobie o tym miłym starszym panu. Dobromir Żukowski mu było, jeśli dobrze pamiętała. To był jakiś miejscowy biznesmen, więc może on zdoła coś zdziałać w tej sprawie.

– Gdzie mieszka ten cały Żukowski? – zapytała męża, wtykając stopy w kalosze, które szczęśliwie kazała zapakować każdemu członkowi rodziny.

Paweł nie wiedział. Widział jednak w oczach żony determinację. A gdy Rozalia coś sobie postanowiła, to to musiało się ziścić. Zatem bez marudzenia wykonał telefon na najbliższy komisariat. Odebrał posterunkowy i już po chwili podyktował gliniarzowi adres, a ten przekazał go żonie.

Ginterowa wyszła na deszcz i skłęła (nie tylko w myślach) pomysł na spędzenie urlopu na Mazurach, nad rzeką, pod namiotem i w tej cholernej pipidówie. A potem zobaczyła znajomą prawniczkę gramolącą się tyłem ze swojego namiotu. No tak, dla niej też zabrakło miejsca pod bardziej konwencjonalnym dachem. Potomek-Chojarska była ubrana niemal tak samo jak Rozalia. W kaloszach i pelerynie wyglądała jak nie ona.

– Tego już za wiele! – warknęła.

Ramię w ramię pobiegły do radiowozu i skryły się w jego suchym wnętrzu. Paweł przekazał Rozalii kluczyki.

– Jedziemy – powiedziała Ginterowa. – I podała Potomek-Chojarskiej adres Dobromira Żukowskiego.

Prawniczka wklepała go w nawigację w telefonie. Weterynarka ruszyła z piskiem opon, obryzgując błotem przechodzącego właśnie obok... wielebnego Konopniaka.

Na dokładkę wsparła się na klaksonie.

Przejechały przez zakorkowaną główną ulicę. Najwyraźniej wczasowicze darowali sobie spływ w deszczu i wracali do domów. Dla nich to był dobry znak. Zatrzymały się pod okazałą willą, wcale nie gorszą od tej, w której mieszkała w Mikołajkach rodzina Ginterów.

– Fiu, fiu – wyraziła swoje uznanie Potomek-Chojarska.

Rozalia musiała się zgodzić. Dom nie pasował do zabudowy wsi. Nie przystawał swoją nowoczesną szklaną elewacją. Metalowymi, chromowanymi elementami konstrukcji. Rozbuchanym metrażem.

Naciągnęły na głowy kaptury i wyskoczyły wprost pod naturalny prysznic. Rozalia nacisnęła dzwonek domofonu. Po chwili zauważyła wycelowane w siebie oko kamery. Posesję otaczał trzymetrowy płot.

– Kogo on się tak boi? – zastanowiła się głośno Potomek-Chojarska, lustrując rezydencję.

– Tak? – Ktoś zaskrzeczał z głośniczka.

– Do pana Żukowskiego. – Rozalia starała się przekrzyczeć deszcz. – Rozalia Ginter – przedstawiła się.

– Była pani umówiona?

Przed szereg wepchnęła się prawniczka. Przystawiła oko do soczewki kamery, jakby chciała coś przez nią dojrzeć.

– Otwierać – warknęła. – Bo cię pozwę za spowodowanie uszczerbku na zdrowiu. Jeszcze chwila i obie zapadniemy na suchoty!

Brama bzyknęła, Rozalia pchnęła ją i pognały do drzwi wejściowych. W progu napotkały gosposię. Bo jakoś nie wyglądała na żonę Dobromira Żukowskiego, który właśnie stanął na prowadzących na piętro schodach i uśmiechnął się przyjaźnie.

– Pani Rozalia – powiedział. – Co też panie do mnie sprowadza? W taką pogodę! – Załamał ręce.

Ginterowa poczuła się jak idiotka. Bo też i pewnie taką przypominała. Wzięła się w garść.

– To moja... – zająknęła się. – Koleżanka... Potomek-Chojarska – przedstawiła prawniczkę. – Chciałyśmy zapytać, bo pan tu wszystkich i wszystko zna, czy nie znalazłyby się jednak jakieś wolne pokoje? W Krutyni – plątała się. – Dla mnie, męża i dzieci. I dla mojej znajomej. Pod tymi namiotami... – Urwała. – Sam pan rozumie. W taką pogodę.

– Ja wszystko rozumiem – przyznał Żukowski. – Zaraz załatwimy sprawę. A na razie wejdźcie panie do salonu. Zdejmijcie te peleryny, bo rzeczywiście się rozchorujecie. Napijcie się herbaty.

Rozalia w zasadzie nie planowała się rozsiadać, ale Potomek-Chojarska już szła we wskazanym kierunku, rozglądając się po nowoczesnych, surowych, ale urządzonych ze smakiem wnętrzach. W jej oczach widać było uznanie. Ginterowa podążyła więc za nią.

– Lena, herbata! – zaordynował Żukowski kobiecie, która otworzyła im drzwi.

W trójkę weszli do przestronnego salonu. Jedna ze ścian była całkowicie przeszklona. Wychodziła na las – teraz szarobury i groźny. Rozalia zauważyła, że korony drzew pochylają się pod naporem nasilającego się wiatru.

– Proszę, siadajcie – zaproponował Żukowski, wskazując kanapę obitą białą skórą. Kobiety skorzystały z zaproszenia. Rozalia poczuła na udach zimną, śliską powierzchnię. Przeszedł ją dreszcz, a na przedramionach wyskoczyła jej gęsia skórka.

– Myślę, że nie będzie problemu – powiedział Dobromir Żukowski, znów się uśmiechając. – Zwłaszcza przy tej pogodzie. – Machnął na szalejący za oknem żywioł. – Nie musiałyście się fatygować aż do mnie.

– W zasadzie tak – przyznała Rozalia, teraz dla odmiany czując, że się czerwieni. Zachowała się jak stuknięta raptuska. Koczowanie pod namiotem miało jednak wpływ na jej psychikę.

– A jak tam idzie śledztwo, pani komisarzowo? – zapytał Żukowski wesoło.

W słowo weszła mu jednak prawniczka.

– Co trzeba robić, żeby uciąć na taką chatę? – zapytała mianowicie. – Tak legalnie?

Dobromir znów się zaśmiał.

Na to do salonu weszła Lena i na stoliku kawowym postawiła tacę z porcelaną. Czego tam nie było! Filiżanki, dzbanki z herbatą i z mlekiem, talerzyk z cytryną, cukiernica, łyżeczki, spodek z kruchymi ciasteczkami. Niczym u królowej na *five o'clocku*. Kobieta bez słowa wyszła z pomieszczenia, a Żukowski rozpoczął ceremonię rozlewania napoju i częstowania gości.

– Mąż ciężko nad nim pracuje – odparła Rozalia, zagadując *faux pas* koleżanki. – Jest przekonany, że schwyta mordercę – oznajmiła, choć po ostatnich wydarzeniach Paweł wcale taki pewny tego nie był.

– To dobrze, to dobrze – przyznał Żukowski. – A jakie ma podejrzenia? – zapytał. – To takie straszne, co się przytrafiło naszej Nikoli – stwierdził, bawiąc się smartfonem.

– Nie mogę powiedzieć. Rozumie pan. – Paweł na pewno nie chciałby, żeby opowiadała o tajnikach śledztwa obcym ludziom. – Ale jest już blisko rozwiązania – zapewniła.

W tym momencie z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł dzwonek telefonu.

– Przepraszam, muszę to odebrać – powiedział Żukowski. – Firmowa komórka – wyjaśnił. – Nie dadzą człowiekowi spokoju. Zaraz wracam i załatwimy paniom jakiś przyzwoity nocleg – obiecał.

Zniknął w korytarzu. Rozalia i Potomek-Chojarska siedziały w ciszy, sącząc herbatę.

– Coś mi tu śmierdzi – rzekła wreszcie prawniczka, wgrzyzając się w ciastko. Okruchy spadły na podłogę, ale się tym nie przejęła. – Bo to ciekawe, wiesz? – zwróciła się do Ginterowej. Odłożyła filiżankę na stolik. Wstała i zaczęła krążyć po salonie. Przesuwała mimowolnie przedmioty: a to poduszkę, a to świecznik, to znowu owoce leżące na paterze. – Żukowski. – Ściszyła głos i zerknęła w stronę wyjścia. – To on organizuje wyjazdy do tej jakiejś Osady. Tak czy nie?

– No tak – potwierdziła Rozalia.

– No właśnie! – Prawniczka ucieszyła się, nie wiedzieć dlaczego, i zabębniła palcami w oparcie kanapy.

Cały też czas rozglądała się po pomieszczeniu. Wreszcie znów ruszyła z miejsca i podeszła do przeciwległej do mebla ściany. Pomacała ją gdzieś na wysokości swoich bioder i... otworzyła przesuwne drzwi. Rozalia dopiero teraz je zauważyła.

– Co robisz?! – syknęła na nią weterynarka. – On zaraz wróci. Albo ta baba.

Adwokatka w ogóle jej jednak nie słuchała. Już stała na środku pokoju, który wyglądał na domowe biuro. Ściany zastawione były regałami, a te wypchane segregatorami. Na środku tkwiło ogromne biurko z dwoma komputerami, drukarką i tym podobnym sprzętem. Potomek-Chojarska przysunęła sobie fotel na kółkach i na nim zasiadła. Założyła nogę na nogę.

– Zwariowałaś? – Rozalia już nad nią stała i ciągnęła za ramię. – Chodź stąd!

– Uspokój się – poradziła jej Potomek-Chojarska i wysunęła szufladę biurka. Przejrzała jej zawartość. – Nic ciekawego – uznała.

– Możemy już iść? – jęczała Ginterowa.

Prawniczka zachowywała się niczym pies gończy, który złapał trop. Rozpoczęła regularne szperanie na regałach.

– Nudy – oznajmiała, odkładając na chybcika przejrany segregator. – Bzdety – mamrotała, robiąc czystkę na położonej tuż przy podłodze półce. – Farmazo... – Urwała.

– Spadajmy, do cholery! – rzuciła wkurzona Rozalia.

Dobromir Żukowski był dla nich tak miły, a ta wariatka zachowywała się jak opętana. Gotowa wpędzić je obie w kłopoty. Facet, jeśli je przyłapie na myszkowaniu, będzie mieć pełne prawo zadzwonić na policję i złożyć na nie skargę. Prawniczka z racji swojego zawodu na pewno się jakoś wymiga od odpowiedzialności. Ale co będzie z nią? Nie mogła sobie pozwolić na nadmierne zainteresowanie swoją osobą organów ścigania! Kto wie, do czego by się dokopali!

– Wiedziałam! – triumfowała Potomek-Chojarska, grzebiąc na półce. – No po prostu to czułam!

– Co robisz? – Rozalia już nic z tego nie rozumiała.

Adwokatka szarpnęła i wyjęła dno półki – pomalowaną na biało sklejkę.

– Totalnie ci odwaliło – dokonała diagnozy Ginterowa. – Jeszcze rozwalasz mu meble? – Ty masz nierówno pod... – Urwała wywód, bo dostrzegła to, na co gapiła się też Potomek-Chojarska.

Pod półką z segregatorami znajdował się schowek. A w nim... błękitna drewniana bransoletka.

– O! – zdołała wydusić z siebie weterynarka.

Potomek-Chojarska tymczasem wyjęła z segregatora jedną z plastikowych koszulek, a z niej stos papierów – te wetknęła z powrotem między twarde okładki. Włożyła rękę do koszulki. Tak zaimprovizowaną rękawiczką ochronną chwyciła bransoletkę, po czym przewróciła plastik na drugą stronę, w ten sposób tworząc

woreczek na dowody ze znaleziskiem wetkniętym już w środek. Całość schowała do kieszeni bluzy.

– A co my tu mamy? – Sięgnęła po niewielki karton na dwie skrytki. Nagle podniosła głowę i nasłuchiwała przez chwilę. – Idź tam na zwiady. – Wskazała Rozalii opuszczony w tej chwili salon. – Zobacz, czy ten dziad nie lezie – dodała, bo Ginterowa nie ruszyła się z miejsca.

Wreszcie jednak zrobiła, co jej kazano. Przeszła przez reprezentacyjny pokój i przystawiła ucho do drzwi. Po drugiej stronie panowała cisza.

– Co jest w tym pudle? – zapytała scenicznym szeptem.

– Listy – relacjonowała prawniczka pośród szelestu papierów. – Kilka listów od... Nikoli? – Nie była pewna. – Tak, od Nikoli Wójcik. Do różnych ludzi. Adresy na kopertach z całej Krutyni. A wysyłane były z Kiruny. *Kochani, już dłużej nie wytrzymam, tak pisze ta cała Nikola – czytała na głos. – Żukowski wysyła tu ludzi niby po zarobek i lepsze jutro, a prawda jest taka, że zabiera nam większość wypłaty! Początkowo sądziłam, że to sprawka Erikssona – naszego szefa tu na miejscu. Jednak wreszcie zrozumiałam, że za wszystkim stoi Żukowski. Twierdzi, że musimy mu oddać za koszty, które poniósł, by nas tu wysłać. Za loty, mieszkanie, wyżywienie, jego kontakty. Tyle że to z pewnością tyle nie kosztuje! Już dawno odpracowałam te wstępne wydatki! To jest oszust! Dajcie znać innym, żeby nie pozwolili się nabrać na te jego bajeczki o cudownym życiu w Osadzie!* Niezły numer – uznała Potomek-Chojarska.

Rozalia, przysłuchując się temu, co mówiła koleżanka, straciła na chwilę czujność. Dlatego tak wielkim zaskoczeniem dla niej były zbliżające się korytarzem kroki.

– Odwrót! – zarządziła ostrym tonem i odskoczyła od drzwi.

Sama nie wiedziała, jak to się stało, że już po chwili tak ona, jak i Potomek-Chojarska siedziały obok siebie na kanapie dokładnie na tych samych miejscach, na których zostawił je Żukowski. A gospodarz z uśmiechem na ustach sadowił się naprzeciwko nich.

– Przepraszam, że tyle mi to zajęło – powiedział. – Biznesy. – Wpatrywał się w nie przenikliwym wzrokiem.

– Nic nie szkodzi. – Rozalia odwzajemniła uśmiech i zarzuciła włosy na plecy.

I wtedy to zauważyła. Potomek-Chojarska nie domknęła przesuwanych drzwi! W ścianie ziała szpara, ukazując fragment biura oraz bałaganu, który w pośpiechu zostawiła prawniczka. Szczęśliwie Żukowski siedział do tego wszystkiego tyłem. Pozostawało jednak kwestią czasu, gdy się odwróci i zorientuje, że weszły w jego gabinet! Rozalia myślała gorączkowo nad planem ratunkowym. Powinny zabrać stąd dowody... Właściwie czego? Czyżby Dobromir zabił Nikołą, bo ta próbowała ostrzec krutynian, że jego interes jest sporym oszustwem? Ginter rozejrzała się po raz kolejny po salonie. Potomek-Chojarska miała rację. To bogactwo nie wzięło się znikąd. A już na pewno nie z uczciwej pracy. Żukowski miał wiele do stracenia. Jednak czy posunąłby się do zabójstwa? Zawahała się, ale zaraz też przypomniała sobie o bransoletce. Na tamtej, którą zabrali z mieszkania Vanessy, laboratorium nie znalazło śladów DNA Nikoli, które ewidentnie zostałyby na biżuterii, gdyby dziewczyna ją nosiła.

– Zatem nocleg... – Żukowski wyrwał ją z zamyślenia. Drgnęła w przestkach. Ofuknęła się w myślach. Nie powinna zwracać jego uwagi. Musiał tkwić w przekonaniu, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Boże, jak one miały wydobyć listy z tego biura? Bo przecież pudełka prawniczka nie zmieściłaby w kieszeni, w której na szczęście tkwiła już bransoletka. Musiały wrócić niepostrzeżenie do gabinetu, posprzątać tam i zabrać korespondencję. A w tym celu powinny się pozbyć z salonu gospodarza. – Myślę, że w gościńcu powinny być miejsca – powiedział. – To mój obiekt. Zresztą przy tej pogodzie pewnie wielu turystów wyjechało. W najbliższych dniach nie zapowiada się powrót słońca.

– Czy mógłby pan się upewnić? – zapytała Rozalia Ginter z całą niewinnością, na jaką było ją stać. – Zadzwoń? Byłybyśmy bardzo wdzięczne. – Uśmiechnęła się promiennie. – Nie wytrzymamy ani minuty dłużej pod namiotami!

– Oczywiście, oczywiście – oznajmił Żukowski. – Już dzwonię.

I ku wszechogarniającej uldze Rozalii wstał i poszedł wykonać telefon z drugiego pokoju.

– Do roboty! – zarządziła Ginter, gdy tylko zniknął im z oczu. – Rusz się! – popędziła Potomek-Chojarską. – Musimy posprzątać. I zabrać te listy. Matko Boska, jaki tu bajzel! – Załamała ręce, stając w progu gabinetu, który wyglądał teraz jak po przejściu tornada. – Zamykaj tę skrytkę! – instruowała prawniczkę, która padła na kolana i próbowała z powrotem umieścić paździerzową płytę na miejscu, a potem ułożyć na niej segregatory. – Równy – gderała Rozalia. – Żeby się nie zorientował!

– Przestań mi rozkazywać i sama działaj! – odpyskowała Potomek-Chojarska.

I właśnie w tym momencie usłyszały za plecami ciche kliknięcie. Jak na komendę się odwróciły. Przesuwne drzwi były zatrzaśnięte.

– Ty je zamknęłaś wcześniej za nami? – zapytała jeszcze z nadzieją w głosie Ginterowa.

– Nie – odparła prawniczka. – A ty?

Rozalia już stała przy drzwiach i próbowała je otworzyć. Bezskutecznie. Zostały zaryglowane od zewnątrz.

– Co jest, do cholery? – Znów pociągnęła. Bez efektu. – Zamknął nas – wyszeptała.

Prawniczka stanęła obok niej i waliła pięścią w drzwi.

– Halo! – wydarła się. – Otwierać!

Z salonu dobiegł je śmiech.

– Nieładnie, dziewczynki. Nieładnie – charczał Dobromir Żukowski. – To ja was przyjmuję w moich skromnych progach, a wy mi się tak odplącacie?

– O co panu chodzi? – brnęła Rozalia. – Zauważyliśmy, że pospadały panu rzeczy z półki, więc postanowiliśmy pomóc

i powkładać to wszystko z powrotem na miejsce.

Ponownie rechot. Dość diaboliczny.

– Kłamczuszki – wycedził gospodarz.

– Proszę otworzyć! – zażądała prawniczka. – Po co panu kłopoty? Przecież ja tego płazem nie puszczę – zauważyła.

– Kłopoty to macie wy – powiedział prawdę Żukowski. – Obróćcie się i popatrzcie w prawy górny róg pokoju.

Rozalia i Potomek-Chojarska spojrzały we wskazanym kierunku. Tuż pod sufitem tkwiła kamera.

– A to skurwysyn – wyrwało się pani adwokat. – I co zamierzasz zrobić? Naskarżyć policji, że ci grzebałyśmy w segregatorach?

– O nie, nie, moje drogie. – Głos Żukowskiego spoważniał. – Policja nie będzie z tym miała w ogóle do czynienia. W ogóle!

– Z czym? – chciała wiedzieć Rozalia.

– Z morderstwem. Kolejnym – przyznał Żukowski. – Tym razem podwójnym. Mam już wprawę. – Znów się zaśmiał.

Rozalia drżącą ręką wyjęła komórkę z kieszeni i wybrała numer Pawła. Przyłożyła słuchawkę do ucha. Ze zdenerwowania szumiało jej w głowie. Z trudem docierały do niej przekleństwa, którymi prawniczka obrzucała przez drzwi Żukowskiego, jednocześnie kopiąc w nie zapamiętałe. Może mąż zdąży w porę przyjechać. Musiał je uratować! Inaczej ten wariat gotów je tu pozabijać. Czekala na połączenie, jednak linia pozostawała głucha. Odsunęła aparat od twarzy i przyjrzała się wyświetlaczowi. Wskazywał brak zasięgu.

– Co tam, złotko? – Usłyszała Żukowskiego, który najwyraźniej wciąż obserwował je przez kamerę. – Nie możesz się dodzwonić do ukochanego? Odsiecz nie nadejdzie – wyjaśnił. – Mam tu mały zagłuszacz zasięgu. Jak widać, działa. Możesz więc sobie na tym swoim telefoniku co najwyżej pograć w kulki. Dopóki się nie zastanowię, jak się z wami rozprawić.

W biurze nie było niestety okna, przez które mogłyby wyskoczyć. Jedyne podłużny świetlik tuż przy suficie. Rozalia kręciła się wokół własnej osi. Nie mogła skupić myśli. To nie mogło się tak skończyć. Ten dziad nie mógł ich zamordować. To się nie działo! Z drugiej strony one były dwie, a on działał w pojedynkę. Chyba że wesprze go w zbrodniczym czynie pomoc domowa. Były od Dobromira młodsze. Wysportowane. I wściekłe. To stanowiło ich atuty. Tylko czy wystarczające? Rozalia obawiała się, że niekoniecznie.

– Co robimy? – zapytała Potomek-Chojarskiej.

– Najpierw to – odparła prawniczka.

I zdjęła sobie kalosz, potem zzuła skarpetkę. Rozalia patrzyła na nią z niedowierzaniem. Czyżby adwokatka z nerwów postradała zmysły? Jeszcze szurniętej jej tu brakowało! Ale Potomek-Chojarska podsunęła krzesło pod ścianę, wdrapała się na nie, po czym nasadziła skarpetkę na kamerę.

– Gównu będziesz widział, gnoju! – przemówiła słodkim głosem do Żukowskiego.

– Co teraz? – chciała wiedzieć Ginterowa, której dosłownie nic rozsądnego nie przychodziło do głowy. – Walimy w te drzwi? Może jakbyśmy się razem rozpędzili i na nie wpadły, to zawiasy by puściły.

– Nie zamierzam się siniaczyć – oznajmiła Potomek-Chojarska i zasiadła za biurkiem. Odpaliła komputer.

W tym momencie Rozalia pojęła, o co chodzi. Windows załadował się błyskawicznie. Potomek-Chojarska odnalazła stronę Facebooka, po czym się na nią zalogowała. Całe szczęście, że pamiętała hasło. Ginterowa swojego nie przypomniałaby sobie nawet pod groźbą tortur. Było tak skomplikowane, że nie tylko hakerzy nie mogliby się włamać na jej profil, ale – jak się okazywało – także ona sama. Weterynarz patrzyła koleżance przez ramię. Ta, nic nie mówiąc, odnalazła konto Pawła, odpaliła Messengera i napisała do niego wiadomość: „Dobromir Żukowski to morderca Nikoli. Więzi mnie i twoją żonę. Przyjeżdżaj natychmiast”. Dodała jeszcze adres na wypadek, gdyby komisarz miał problemy z pamięcią. Rozalia poczuła

lekką ulgę. Potem jednak uświadomiła sobie, że wiadomość najpewniej wpadnie Pawłowi do folderu „inne”. A tego przecież nikt nigdy nie otwierał. Istniała więc spora szansa, że komunikacja internetowa nic nie da. Po chwili zresztą także sieć zniknęła. Widocznie Żukowski się zorientował, że zostawił lukę w zabezpieczeniach, i wreszcie odłączył dostęp.

– I co teraz? – wyszeptała Rozalia.

Sama siebie nie poznawała. Zawsze taka samodzielna, radziła sobie przebojowo w newralgicznych sytuacjach. Jednak w towarzystwie prawniczki automatycznie stawała na pozycji uległej i słabszej. Liczyła na to, że to adwokatka rozwiąże wszystkie ich problemy. Czas był się otrząsnąć ze stuporu!

Zaczęła otwierać szuflady w biurku i wreszcie znalazła coś użytecznego.

– Trzymaj! – Wręczyła Potomek-Chojarskiej nożyczki. Sama zaopatrzyła się w cyrkiel. Potem powyrywała kable z monitora komputera. – Pomóż mi – nakazała. Prawniczka w mig pojęła, co się święci. Kobiety wspólnie podniosły monitor. To był przedpotopowy model. Jeszcze taki z wielkim pudłem z tyłu zamiast płaskiego ekranu. Dzięki temu naprawdę ciężki. Zamachnęły się i z całych sił łupnęły sprzętem w drzwi. Huk był spory. Rozalia odruchowo zamknęła oczy. Gdy je otworzyła, zobaczyła rozbity w drobny mak monitor i... dziurę na wylot w drzwiach. Oraz Potomek-Chojarską, która już gmerała przy zamku.

– Przekręcił klucz – poskarżyła się. – I go zabrał. Musimy powiększyć tę dziurę. Bo nawet ty się przez to nie przecisniesz.

Rozalia była drobniejszej budowy niż prawniczka. Jednak nie aż tak mikroskopijnej. Przez tę wyrwę mógłby przejść co najwyżej szczupły Pedro. Burbur na przykład już by utknęła, zahaczywszy o rant brzuszyskiem. Rozalia skarciła się w myślach. Powinna się skupić, a nie myśleć o swoich kotach. Jeszcze je przecież zobaczy. Prawda, że będzie miała na to szansę? Nie zamierzała zginąć w tej zakichanej rezydencji!

Waląc w uszkodzoną nawierzchnię różnymi znalezionymi w biurze w miarę ciężkimi przedmiotami, kobiety zdołały powiększyć prześwit. Zmachały się przy tym srogo.

– Dobra, ja pierwsza – powiedziała Rozalia, gdy uznała, że już wystarczy.

Najpierw wetknęła w dziurę głowę. Przeszła bez problemu, więc wedle wszelkich teorii, do których stosowali się włamywacze pod każdą szerokością geograficzną, także reszta ciała powinna się przecisnąć. Szarpała się zaciekle, Potomek-Chojarska pchała jej tyłek. Weterynarz rozerwała sobie bluzę, ale wreszcie z trzaskiem padła na podłogę w salonie. Chwilę zajęło im jeszcze wydostanie tą samą drogą prawniczki. Teraz stały obok siebie i przyglądały się pustemu salonowi.

– Dziwne – uznała Rozalia. – Gdzie on jest? I dlaczego nie próbował nas powstrzymać? – Dopiero teraz sobie to uświadomiła. To nie mógł być dobry znak.

– Spadamy stąd – orzekła koleżanka.

– Wzięłaś listy? – upewniła się jeszcze Rozalia.

Prawniczka pokiwała głową i ruszyła przodem. W kilku susach znalazły się przy drzwiach prowadzących na korytarz. O dziwo, były otwarte. Ginter miała złe przeczucie. I słusznie. Bo nim dotarły do wiatrołapu, drogę zagroził im Żukowski. Stał przed nimi z wymierzonym w nie pistoletem.

– Dokąd to, dokąd? – zawtórował sobie Dobromir.

– Spieprzaj, dziadu – poradziła mu Potomek-Chojarska.

– Oddawać listy – warknął. – I bransoletkę. Nie będę drugi raz powtarzał – zagroził.

– Jak to nie? – kpiła prawniczka. – Jestem zawiedziona, zawiedziona.

Rozalia wątpiła, by szydera była właściwą strategią na wydostanie się w jednym kawałku sprzed muszki giwery trzymanej w ręce

krwawego mordercy. Więcej wniosków nie zdołała wyciągnąć, bo w tym momencie rozległ się huk wystrzału. Weterynarz padła odruchowo na podłogę, przykrywając głowę ramionami. Potomek-Chojarska uskoczyła w bok. Rozalia powoli się odwróciła. Zobaczyła dziurę po kuli wypaloną w drzwiach, które dopiero co za sobą zamknęły.

– Mówiłem, oddawać, oddawać – rzekł Żukowski.

A prawniczka mimo grozy całej sytuacji – a może właśnie przez nią – wybuchnęła dzikim śmiechem. Dobromir wycelował w adwokatkę, chwilowo tracąc zainteresowanie Ginterową. Rozalia kucnęła, wyjęła z kieszeni bluzy cyrkiel. Zamachnęła się i rzuciła. Przypomniała sobie, jak kiedyś z Pawłem pojechali na wycieczkę do Londynu. Po całym dniu zwiedzania zawędrowali do typowego brytyjskiego pubu. Takiego z ładnym, drewniano-skórzanym, trochę staromodnym wystrojem. Z szeregiem angielskich piw do wyboru i rybą z frytkami w menu. Oraz tarczą do gry w rzutki zawieszoną w kącie. Spędzili wtedy cały wieczór, tocząc między sobą rozgrywkę. Rozalia nigdy wcześniej nie próbowała tego rodzaju aktywności. I przyświecało jej szczęście debiutantki. Przynajmniej w ten sposób Paweł tłumaczył fakt, że ograła go koncertowo.

Teraz też poszło jej niezgorzej, ponieważ cyrkiel swoim szpikulcem wylądował pod okiem Dobromira Żukowskiego. Mężczyzna zamarł na chwilę. Po czym wypuścił z dłoni broń. Wrzeszcząc dziko, padł na podłogę. Rozalia doskoczyła do pistoletu i kopnęła go jak najdalej od mężczyzny. Potomek-Chojarska patrzyła na to przedstawienie z otwartymi ustami.

– No co? – zapytała weterynarz. – Gnój chciał nas sprzątnąć.

Wyjęła z torebki jakiś przedmiot. Pogmerała przy nim, po czym szast-prast ten się wydłużył – i oto weterynarz trzymała w ręku rozkładany kij bejsbolowy sprezentowany jej przed wyjazdem przez prawniczkę. Zamachnęła się nim teraz i przydzwoniła Żukowskiemu w piszczel. Jedną. Potem drugą. Facet darł się wniebogłosy.

– Dobra, starczy. – Potomek-Chojarska chwyciła ją za ramię. Przeszły nad wijącym się Żukowskim i wpadły do wiatrołapu. Prawniczka szarpnęła klamkę.

– Zamknięte! – sapnęła. – Salonem! – zaordynowała.

Rozalia gorączkowo się zastanawiała, czy w tej przeszklonej ścianie w salonie w ogóle jest jakieś wyjście. Jednak nawet jeżeli nie, to przecież musiały być jeszcze inne drogi ewakuacyjne z tego architektonicznego potworka. Nie zdążyły jednak tego sprawdzić, ponieważ na ich drodze znów stanęła uzbrojona – w ten sam pistolet, który tak bezmyślnie porzuciły na podłodze – postać.

Lena.

Gospodyni domowa.

Celowwała do nich, a ręka jej ani drgnęła.

– Proszę się nie wygłupiać – odezwała się prawniczka. – Po co to pani? Proszę odłożyć broń.

Kobieta zmierzyła je zimnym wzrokiem.

– To za Dobrusia – powiedziała.

I strzeliła.

CZEŚĆ 6

W której Paweł Ginter rusza z odsieczą. Na posterunku w Pieckach brakuje pani Lidzi. Waldemar i Parówa znajdują zwłoki. Odprawia się msza z niespodzianką. Hubert rozpoznaje kobietę ze zdjęcia, a uchwyt nie dynda, choć dyndać powinien. Rozalia staje twarzą w twarz z Królem Sielaw. Poznajemy pijanych łowców zórz. Pamiętniczek Burbury zostaje odkryty, a samolot z pewnym pasażerem ląduje na pięknej wyspie.

Paweł Ginter po raz setny przyglądał się zrobionej w trybie pilnym analizie DNA na bransoletce znalezionej u Vanessy Wójcik. Nie mógł uwierzyć, że nie znaleziono na niej śladów należących do Nikoli. Przecież to był ten sam kawałek biżuterii, który widział na jej ręce na zdjęciu! Może Vanessa wyszorowała bransoletkę tak dokładnie? To chyba nie było jednak możliwe przy użyciu zwykłych środków czyszczących. A gdyby zastosowała coś mocniejszego, z pewnością zszedłby ten turkusowy kolor. Niech to diabli! Do tego jeszcze związała. Jeżeli to nie ona zabiła siostrę, to dlaczego wyjechała w takim pośpiechu do Londynu? A może i jeszcze dalej. Niby ta policja metropolitarna jest taka znakomita, wszędzie ją chwalą za światowej klasy osiągnięcia, a zgubili jedną niepozorną Polkę. Nie jakiegoś szpiega czy doświadczonego gangstera z koneksjami w każdej części globu, tylko kelnerkę z Krutyni! Idioci!

– Tato, możemy już wracać do Mikołajek? – Usłyszał głos Hani. On, córki i koty siedzieli w namiocie. Deszcz bębnił im nad głowami. Woda przeciekała przez nieudolnie załatane dziury będące efektem działalności Pedra, mocząc ich karimaty i porozrzucane wszędzie ubrania. – Przecież to jest turbo chore! – żaliła się bliźniaczka. – Zaraz nas tu zaleje, a potem albo się potopimy, albo wszyscy dostaniemy zapalenia płuc – diagnozowała.

– Mama poszła załatwić jakiś normalny nocleg, córuś – wymamrotał.

– Tato! – pisnęła dziewczyna. – Ale mi się skończył pakiet Internetu – wyjawiała swój prawdziwy problem. – Przecież ja się tu zanudzę! A Helenka nie chce mi udostępnić swojego! – skarżyła.

– To masz mój. – Paweł rzucił córce swój telefon i zajął się dalszą analizą tekstu z laboratorium. Choć już w zasadzie znał tę treść na pamięć.

Był w kropce. Prawdziwej kropce. Może powinien się zwolnić ze służby? W zasadzie mógłby pójść na wcześniejszą emeryturę. I potem co? Założyć prywatną agencję detektywistyczną? By tropić zdradzających się małżonków? W Mikołajkach taka działalność nie miała sensu. Tam każdy znał każdego i wiedział wszystko o wszystkich. Żaden sekret się długo nie uchował. Niepotrzebny był detektyw. W tym punkcie swoich rozmyślań skarcił samego siebie. Przecież pozostawało mu mieć nadzieję, że jednak niektóre tajemnice pozostaną nieodkryte. Inaczej on i Rozalia mogliby trafić za kraty. Przez tę cholerną utopioną Ilonę! „Sama się prosiła!”, usprawiedliwił się po raz milionowy, po czym wrócił do rozważań o aktualnie prowadzonej sprawie.

– Tato! – Znów usłyszał Hanię. – Tu jest chyba jakaś wiadomość do ciebie – powiedziała. – Na Messengerze.

– Co? – Paweł nie słuchał za bardzo. Zastanawiał się właśnie, czy powinien zadzwonić po wsparcie do Mrągowa. Do tego podkomisarza lalusia, Emila Kaźmierczaka. Trochę byłaby to dla niego ujma, ale koniec końców chodziło im przecież wszystkim o to samo. O złapanie mordercy.

– Tu pisze, że jakiś Dobromir Żukowski jest mordercą – powiedziała bliźniaczka.

– Mówi się „jest napisane” – skorygował nastolatkę Ginter. Jak to możliwe, że te dzieci chodziły tyle lat do szkoły i nie znały podstawowych reguł?

– Jakaś Potomek-Chojarska tak pisze – upierała się Hania. – To kogo ten Żukowski zamordował? – zainteresowała się.

W tym momencie do komisarz wreszcie dotarło, co się do niego mówi.

– Pokaż to! – Wyrwał córce telefon.

– Ale tato! – zaprotestowała. – Nie skończyłam przeglądać TikToka!

Jednak teraz Paweł już zupełnie nie słuchał. Odczytał wiadomość wysłaną mu jakiś czas temu przez znajomą Rozalii. Musiał zrobić to trzykrotnie, żeby treść dotarła do niego w pełni. A potem zerwał się na równe nogi i nie kłopotując się wkładaniem kaloszy czy peleryny, pognął do radiowozu. Wtedy jednak uświadomił sobie, że pożyczył go Rozalii. Zaklął. To mu jednak nie starczyło. Już po chwili wyrzaskiwał wszelkie znane sobie inwektywy. Kręcił się w kółko, sparaliżowany strachem. Kiedy od strony rzeki usłyszał grzmot nadchodzącej burzy, otrząsnął się. I puścił pędem przed siebie.

W plastikowych klapkach nie najwygodniej, trzeba przyznać, biegło mu się po nierównym chodniku. Deszcz zalewał mu pole widzenia. Ubranie już całkowicie mu przemokło. Nie zwracał na to jednak uwagi. W głowie miał jedno – Rozalię. Jeżeli Żukowski ją zabije, on zrobi to samo z tym padalcem, a potem ze sobą. Jak mógł narazić na takie niebezpieczeństwo swoją ukochaną żonę? Przecież w pierwszej chwili, gdy tylko natrafili na trupa, powinien odwieźć rodzinę do Mikołajek. To nie, zachciało mu się zgrywać szeryfa z Dzikiego Zachodu! Nie zasługiwał na Rozalię. Ani na swoje dzieci. Nawet na te dwa koty nie zasługiwał.

To był jeden z torów, którym biegły myśli pędzącego przed siebie, wciąż potykającego się komisarza. Drugim zaś torem podążały refleksje dotyczące śledztwa. Czyli to Żukowski był mordercą? Dlaczego wcześniej na to nie wpadł? I jak dowiedziały się o tym Potomek-Chojarska oraz Rozalia? Co znalazły w jego domu? I jakim cudem połączyły ze sobą nitki tego rozwleczonego śledztwa? Zaraz wszystkiego się dowie. Oby nie było za późno!

Gdy tylko wyraził taką nadzieję, los zadrzył sobie z niego na całego. Paweł poślizgnął się na mokrej nawierzchni i wyłożył jak

długi na chodniku. Zdarł sobie skórę z dłoni. Poczł też pieczenie na podbródku. Z trudem klęknął i podniósł się do pionu.

I wtedy usłyszał próbujący przekrzyczeć ulewę głoś.

– Może podwieźć? – zapytała jakaś długowłosa dziewczyna. Nie widział jej twarzy, bo zakrywał ją kask. Siedziała na motocyklu. Nie byle jakim, bo na harleyu. Trzymała w pasie mężczyznę – tak jak ona ubranego w skórzany kombinezon, w kasku i specjalnych wysokich butach. Już ich gdzieś zresztą widział...

– Błagam – wyjęczał.

– Ja poprowadzę – zarządziła dziewczyna. – Krzysiu, ty tu na nas poczekaj. – Wskazała karczmę. – Asia Pawłowicz jestem – przedstawiła się. – A pan jest tym komisarzem, prawda? Słyszeliśmy od miejscowych o panu.

Mówiąc to wszystko, sadowiła się już za kierownicą, odrzucając mokre ciemne włosy na bok.

– Proszę wskakiwać – nakazała.

Wspomniany Krzysiu nasadził policjantowi na głowę swój kask.

– Dokąd? – zapytała Asia.

Paweł objaśnił jej w kilku słowach kierunek, po czym mocno się jej chwycił. Motor ruszył z takim przyśpieszeniem, że zaskoczony komisarz o mało znów nie znalazł się na ziemi. Dziewczyna pędziła jak szatan. Cięła zakręty jak Robert Kubica. Jednak przy tym wszystkim prowadziła pewnie. Ani się Paweł nie obejrzał, a już stali pod willą należąca do Dobromira Żukowskiego.

Komisarz podziękował Asi i pognał do furtki. Znów sklął wszystkich świętych. Była zamknięta, a do tego miała za trzy metry wysokości, tak jak i cały płot. Policjant był jednak w tej chwili w takim stanie, że wygrałby olimpiadę w skoku o tyczce, gdyby wystawiono go w takiej konkurencji. Wbił więc stopę w szparę między panelami płotu i niczym Adam Bielecki wspiał się całkiem profesjonalnie po przeszkodzie. Zeskoczył po drugiej stronie. Upadł

w trawę, uderzając się w bark. Jęknął z bólu. Nad głową znów usłyszał burzowy grzmot. Dopadł do drzwi wejściowych. Zamknięte – a jakże! Obiegł więc czym prędzej budynek i znalazł uchylone okno. Wsparł się na parapecie, podciągnął i zerknął do środka. Łazienka. Wdrapał się na parapet – na szczęście był szeroki. Nie musiał się siłować z oknem, bo wystarczyło je lekko pchnąć, by stanęło otworem.

Wskoczył do środka. Jednym ruchem zrzucił dyndający mu na stopie kłapek i w dalszą drogę udał się na bosaka. Czyli bezszelestnie. Wybiegł z łazienki i znalazł się w ascetycznie urządzonej korytarzu. Były tu w zasadzie tylko gołe ściany – żadnych obrazów czy luster. Ani jednej ozdoby. Paweł pędził przed siebie, nie mając pojęcia, do którego pomieszczenia powinien się skierować.

– Proszę odłożyć broń – usłyszał.

Rzucił się w stronę, z której dochodził głos. Należał, jeśli się nie mylił, do Potomek-Chojarskiej.

– To za Dobrusia. – Tej kobiety nie znał.

Widział już jednak jej plecy. Postać w wyciągniętych rękach trzymała pistolet. A na muszce miała prawniczkę i jego żonę. Paweł rzucił się na nią całym ciężarem ciała.

I w tej samej chwili usłyszał huk wystrzału.



Rozalia widziała gwiazdy przed oczami. A może to było to sławetne światelko na końcu tunelu? Czuła ból pod żebrami. Zatem musiała to być rana postrzałowa. Lena ją trafiła. Pewnie w wątrobę. A wiadomo, że w takim wypadku jest już po zawodach. Rozalia poczuła wielki żal. Tyle jeszcze pragnęła przeżyć! Tylu rzeczy doświadczyć. No i nie chciała opuszczać swoich bliskich. Jak oni sobie bez niej poradzą? Zorganizują codzienność? Kto im będzie gotował? Kto obudzi dziewczynki na czas do szkoły? Nigdy już się nie dowie, co naprawdę się wydarzyło na jachcie, którym płynął Hubert. Ani też nie będzie

miała szansy wybaczyć Pawłowi jego zdrady. A przecież w obliczu śmierci te wszystkie kłótnie były nieistotne. Nie przyzna się też do swoich win. Choć akurat tego niespecjalnie żałowała.

– Rozalia! – Usłyszała swoje imię.

Pewnie wzywał ją do siebie Święty Piotr. To ciekawe, pomyślała, że umie mówić po polsku. Znał wszystkie języki świata?

– Rozalia, do cholery! – Tak nieuprzejmie się do niej zwracał? Będzie musiała sobie z nim pogadać. Święty nie święty, kultura osobista obowiązuje każdego. – Wstawaj, lebiego! – Dotarło do niej, po czym poczuła uderzenie w policzek.

Otworzyła oczy. Święty Piotr miał twarz Potomek-Chojarskiej. Jeszcze przez sekundę sądziła, że prawniczka wraz z nią odmeldowała się z tego świata i dręczy ją już po tamtej stronie, ale szybko otrzeźwiała. Teraz też dosłyszała stek przekleństw i stękanie. Podniosła się na łokciach. Pchnęła adwokatkę, by ta odsłoniła jej widok. Jednocześnie pomacała się pod żebrem. Bolało, ale nie tak bardzo, jak na początku jej się wydawało. Spojrzała na podłogę. Tuż obok niej leżały nożyczki, które wcześniej wyjęła z szuflady biurka i wręczyła pani adwokat w charakterze narzędzia służącego do obrony własnej. Musiały jej wypaść z kieszeni i potoczyć się pod Rozalię. A potem wbić się jej – na szczęście tępym uchwytem – w ciało, gdy upadła na podłogę, usiłując zejść z trajektorii lotu kuli wystrzelonej przez tę obłąkaną Lenę.

– Więc ja żyję? – upewniła się.

– Pewnie, że tak, do diabła! – rzuciła ze złością Potomek-Chojarska.

I wtedy też wreszcie dotarło do Rozalii, że kawałek dalej widzi swojego męża, który na boso kotłuje się po podłodze z niedoszłą zabójczynią. Lena chwyciła właśnie Pawła za mokre włosy i ciągnęła z całych sił. Ginter jęknął, ale dalej mocno trzymał ją w uścisku. Tego już było za wiele, żeby to babsko atakowało jej ukochanego!

Rozalia poderwała się na równe nogi. Zakręciło jej się w głowie, ale przytrzymała się ściany i ruszyła do ataku.

Kopnęła Lenę w wyciągniętą w stronę Pawła dłoń. Kobieta zwolniła uścisk. A Ginter wreszcie zdołał ją obezwładnić. Potomek-Chojarska przywlokła skądś rolkę taśmy klejącej. Już po chwili Lena leżała na podłodze z unieruchomionymi nogami i rękami.

– Zatkam jej jeszcze dziób – uznała adwokatka. – Nie zniosę tego zawodzenia.

Kobieta rzeczywiście lamentowała nad „Dobrusiem” w wyjątkowo irytujący sposób. Ginterowie nie powstrzymywali więc prawniczki.

– A co z nim? – zapytał Paweł, przyglądając się Żukowskiemu, który zdołał sobie wyszarpać cyrkiel z twarzy, a teraz najwyraźniej zemdlał z bólu.

– Przypuszczam, że należałoby wezwać karetkę – rzekła z wahaniem pani adwokat. – Tak się tu rzucał, że się potknął i wywalił prosto na ten cyrkiel – wyjaśniła.

– A on – powiedział wolno Paweł – tak sobie po prostu sterczał na sztorc w przedpokoju? Ten cyrkiel?

– Och, to ty tu jesteś detektywem. Wymyślisz coś. – Prawniczka straciła cierpliwość. – Lepiej się zainteresuj tym – oznajmiła.

I przekazała komisarzowi listy i bransoletkę Nikoli.

Paweł westchnął ciężko. Wyszedł przed dom, by zadzwonić po wsparcie. Może też koledzy przywiozą mu jakieś buty...



Teraz, Piecki

Posterunek policji w Pieckach był nieco mniejszy od komisariatu w Mikołajkach. Znajdował się w piętrowym domku z czerwonym spadzistym dachem i tarasem usytuowanym nad wejściem przy ulicy Zwycięstwa. Na parterze w oknach zainstalowano kraty. A przed drzwiami po bokach można było zauważyć nawet coś w rodzaju

ogródka, tyle że dawno nikt się nim nie zajmował, więc rośliny ozdobne rozpanoszyły się na niewielkim terenie, ochoczo mieszając się z chwastami. Na co dzień rządziła tam pani Lidzia, sekretarka komendanta, ale akurat teraz przebywała na urlopie w Dalmacji. W pracy nie miał jej kto zastąpić. Lidzia nie życzyła sobie, by jej przeszkadzało na plaży głupimi pytaniami, zatem na posterunku bez niej panował lekki chaos.

Tymczasem w progach komendy znalazł się prawdziwy morderca! Dobromira Żukowskiego przywiózł tu z Krutyni na sygnale ten komisarz z Mikołajek i twierdził uparcie, że facet zabił niejaką Nikołą Wójcik. Palił ją w czaszkę czymś twardym, najpewniej otoczakiem, a potem wrzucił do rzeki. Następnie udawał, że nic się nie stało, i trzymał kciuki za to, by jego postępek nie ujrzano światła dziennego. Oczywiście sam trup dryfujący po najbardziej uczęszczanym szlaku spływów kajakowych w Polsce szybko objawił się w całej swojej krasie. Żukowski miał po prostu nadzieję, że on sam nie zostanie powiązany ze sprawą.

Ale się pomylił!

Ten goguś z Mrągowa, jakże mu tam było, Kaźmierczak chyba – posterunkowemu właśnie parzącemu kawę dla wszystkich zebranych (prócz tkwiących w areszcie Leny i mordercy, on niech się lepiej przyzwyczaja do suchego chleba i wody) zawsze trudno było zapamiętać to miano – no w każdym razie ten podkomisarz miał nosa, że zwał śledztwo na barki Pawła Gintera, a sam zajmował się swoimi licznymi dochodzeniami. Mikołajski gлина poradził sobie śpiewająco. Choć już dotarły do posterunkowego pogłoski, że komisarzowi w ujęciu sprawcy pomogły dwie kobiety: pierwsza była jego osobistą żoną, druga zaś jakąś upierdliwą prawniczką ze Śląska. Ważny był jednak rezultat.

Dobromir Żukowski został zatrzymany.

Potem zajęli się nim sanitariusze. A konkretnie jego twarzą, ponieważ jakimś cudem tuż pod okiem wbił mu się czubek cyrkla. Na szczęście nie trafił w gałkę. Okoliczności zdarzenia nie były do końca

jasne. Żukowskiego zabrali do szpitala, gdzie okazało się, że znowu nie jest tak źle, jakby się mogło wydawać. Owszem trochę został poturbowany, ale istniała możliwość, że nie straci oka. Dobromir darł się przez cały czas, że nic mu nie jest i że chce natychmiast wyjść ze szpitala. Wyglądało też na to, że ma jakieś problemy z nogami, jakby ktoś mu zdrowo przyłożył w piszczele, jednak nie chciał zdradzić, co też mu konkretnie dolega. „Mówisz, masz”, oznajmili funkcjonariusze i przewieźli go do Piecek. Jeżeli sądził, że tym sposobem zyska możliwość ucieczki, to się zawiódł.

Usadzono go w kanciapie – jedynym pomieszczeniu na posterunku, które nadawało się na pokój przesłuchań – gdzie wyśpiewywał swoje winy. Okolice oka miał zasłonięte bandażem i oblepione plastrami. Dostał też pewnie sporą dawkę środków przeciwbólowych. Początkowo trzymał gębę na kłódkę. Potem zaprzeczał wszystkiemu, łącznie z słusnością teorii Darwina. Jednak gdy Ginter pomachał mu przed nosem dowodami zbrodni, doszedł do wniosku, że korzystniej dla niego będzie mówić.

I mówił.

O tym, co doprowadziło go do popełnienia morderstwa. Twierdził, że Nikola Wójcik chciała zrujnować jego imperium. Tak powiedział – imperium. Posterunkowy nie miał pojęcia, czego się nawąchał Żukowski, skoro uważał, że posiada jakieś imperium. W Krutyń. A nawet i tej szwedzkiej Osadzie. Śmiechu warte. Owszem, zarabiał całkiem, całkiem, ale bez przesady. Tymczasem Nikoli nie spodobały się warunki, jakie zastała pod Kiruną. Uważała – o czym zresztą policjanci przeczytali w odzyskanych listach – że nie takie wizje Żukowski roztaczał przed wyjeżdżającymi do pracy mieszkańcami wioski. Nie było wcześniej mowy o zabieraniu *gros* wynagrodzenia, lokowaniu w walących się chatach i życiu w totalnym odosobnieniu. Pracownicy byli zastraszeni. Rozpuszczano wśród nich pogłoski o niby to zaginionych – tych, którzy odważyli się sprzeciwić. Podobno znikali bez śladu w lesie i nigdy żadnego z nich nie odnaleziono. Może właśnie to stało się z Mateuszem Orłem? Byłym chłopakiem Wójcikówny? W każdym razie pracownicy żyli z duszą

na ramieniu. Żukowskiemu było w to graj. Ich strach był jego sprzymierzeńcem.

A tu pojawiła się Wójcik, która zaczęła wysyłać listy z przestrogami do mieszkańców Krutyni. Wybrała tradycyjną formę korespondencji, ponieważ bała się – i jak się teraz okazało, całkiem słusznie – że Eriksson i jego ludzie kontrolują ich telefony i komputery. Każdemu zakładali proste programy szpiegowskie, mogli więc na bieżąco sprawdzać ich korespondencję i odsiewać niechciany przekaz. Jednak Nikola znalazła sposób – jeździła do Kiruny ze swoim szwedzkim chłopakiem i cichaczem wysyłała listy pocztą.

Tyle że Żukowski szybko się zorientował, co dziewczyna kombinuje. A to dzięki temu, że znał w okolicy niemal wszystkich, a już na pewno w każdym istotnym ośrodku czy urzędzie miał swoją wtykę. Także tym pocztowym... To pracujący tam listonosz, któremu Dobromir pomógł zresztą zdobyć tę posadę, zorientował się, że przychodzą listy z Osady. Zamiast więc zaność je do adresatów, przekazywał swojemu dobroczyńcy. Żukowski sprawdził treść pierwszego, a potem już płacił listonoszowi za każdą dostarczoną kopertę. I powoli obmyślał plan zemsty na tej niewdzięcznej małej jędzy. Który zrealizował, gdy wróciła do Polski i zaczęła stanowić realne zagrożenie dla interesu.

– Mnie! – wydarł się teraz, waląc pięścią w metalowy stolik i rozlewając przy okazji kawę komisarza Gintera. – Mnie chciała zniszczyć! – Pałał świętym oburzeniem. – No to ja ją wyprzedziłem! – Wybuchnął śmiechem tak nagle, że posterunkowy sam siebie oblał kawą z przestachu i zaskoczenia.

Dobromir bez oporów opowiedział, jak zabił Nikolę Wójcik. Chciał, żeby wyglądało to na wypadek – ot, dziewczyna potknęła się, uderzyła w głowę, wpadła do rzeki. A jakby szczęście sprzyjało mu już tak po całości, to może ciało spłynęłoby wraz z nurtem i zatoneło w którymś z jezior położonych na szlaku. I problem byłby z głowy. Jego interes by kwitł i komu by to przeszkadzało?

No ale oczywiście się okazało, że nie można mieć wszystkiego. Trup utknął przy jakimś powalonym drzewie, a ta blond ździra – jak określił Rozalię Ginter – musiała przywalić kajakiem w zwłoki. Jak pech, to pech.

Jak zaciągnął Nikolę nad rzekę? Normalnie. Zaczaił się na nią. Siedział sobie na werandzie w karczmie – stamtąd miał dobry widok na to, kto zjawia się w okolicy. I gdy Nikola wpadła odwiedzić siostrę, a potem ruszyła, pewnie w kierunku domu, on poszedł za nią. O niczym nie miała pojęcia. Zaczekał, aż na drodze zostaną sami – ona w sporym oddaleniu. A potem podniósł kamień, zbliżył się do dziewczyny i walnął ją w głowę. Padła od razu. Zepchnął jej ciało do rowu i nakrył gałęziami. Zmachał się przy tym strasznie. No i jednak trochę ryzykował. Zawsze ktoś mógł go przecież zauważyć.

Ale nie zauważył.

Potem wrócił do domu po samochód. Spotkał się z kolegą w Syrence na kolacji. Począł, aż się ściemni. Podjechał pod rów. Wygrzebał ciało, wepchnął do bagażnika i zajechał pod młyn ze zgaszonymi światłami. Ryzykował ponownie!

– Przecież mogłem wrębać się w drzewo! – zauważył Żukowski, najwyraźniej licząc na poklask.

Posterunkowy pomyślał, że w szpitalu pomylili lekarstwa i naszprycowali go czymś, co zrobiło mu bałagan w mózgu. Facet, na oko posterunkowego, wygadywał straszne banialuki.

Potem, jak przyznał, zaciągnął Nikolę na ten drewniany taras przy młynie i przerzucił ją przez barierkę wprost do wody. Nie chciał jej puszczać wpływ z brzegu, bo – jak zauważył – mógłby zostawić jakieś wyraźne ślady w tym całym błocie i ziemi. A na deskach sprawa wyglądała czyściej. Przynajmniej w jego mniemaniu.

– A dalej? – drążył komisarz Ginter.

Wsiadł w auto, wrócił do domu, poszedł spać, a od następnego ranka udawał, że nic się nie stało. Tylko ten cholerny gliniarz z Mikołajek musiał przyjechać akurat tu na wakacje i popsuć mu

szyki! Wprawdzie naściemniał mu o rzekomej kłótni Nikoli z Olofem o pieniądze, by skierować podejrzenia na Molina, jednak Ginter jakoś nie podłapał tropu. Pływał za to po Krutyńi i zachwycał się przyrodą. Jednak wiadomo, pracuje w policji, to nie ma funduszy na wyjazdy *all inclusive* nad jakieś ciepłe południowe morze. Może byłby zainteresowany emigracją zarobkową na północ Szwecji?

Po zadaniu tego pytania Żukowski osunął się na blat stolika i zasnął. Środki przeciwbólowe musiały uderzyć z pełną mocą.

Przesłuchanie zakończono, a aresztanta odwieziono na wszelki wypadek jeszcze raz do szpitala.

Posterunkowy poprzysiągł sobie, że dzisiaj do kolacji wypije kubek melisy. Sprawy morderstw może i były fascynujące na ekranie telewizora czy laptopa, jednak w prawdziwym życiu wprowadzały go w nerwowy rozstrój.



Drogi pamiętniczku,

patyczak wylał sobie wodę z kalosza i zapytał moich niewolników, czy teraz możemy już wracać do domu, skoro matka dźgnęła mordercę w oko, a ojciec go ulokował za kratkami. Też chciałabym to wiedzieć. Miałam po dziurki w moim pomarańczowym nosku tych wakacji. Jeżeli jeszcze raz ktoś mnie będzie chciał zabrać na urlop, skuję mu mordę, by więcej na takie idiotyczne pomysły nie wpadał.

Ginterowie powiedzieli, że owszem, zbieramy manatki. Deszcz już tylko kropił. Pawełek pojechał gdzieś busikiem, a wrócił naszym samochodem. Twierdził, że był w Sorkwitach. Co to ma być za dziwaczna nazwa, to ja nie wiem i pojmować nie zamierzam.

Byliśmy uratowani. Żadnego więcej machania pagajami. Jednostki pływające oddano do wypożyczalni. (Na szczęście odnalazłam swoją łajbę i teraz, tuż przed odjazdem, siedzę sobie w niej spokojnie i sporządzam zapiski. Nikt mi nie będzie zawracał gitary, bo przy tej pogodzie chętnych na spływ brak).

– Chodźmy jeszcze na obiad – powiedziała Rozalia.

Generalnie takie wezwania zawsze pochwalam. Lepiej coś zjeść, niż tego nie zrobić. Na szczęście nie wpadli na to, żeby mnie i Pedra zostawić w samochodzie – takimi bałwanami nie są. Przyczepili nam za to te chomąta, które będą musiały dla spokoju ducha wreszcie przegryzać, i ruszyliśmy na żarło.

Tym razem ze względu na pingolący deszcz zajęliśmy stolik w środku. Pusto tu było, aż żał patrzeć. Podszedł do nas właściciel, Filip Orzeł. Kelnerka mu ostatnio zwała, więc sam musiał jeszcze wyżej zakasać rękawy. Wyglądał jak pies Pluto.

Przygarbiony, z obwisłymi policzkami, nawet chyba posiwiiał przez ostatnie dni, a i zakola zawędrowały nieco dalej w głąb czachy. Wizerunku dopełniały wory pod oczami, niedogolona mordą i przepocony podkoszulek.

– Co podać? Polecam danie dnia, czyli sandacza w śmietanie – rzekł z intonacją, z jaką równie dobrze mógłby oznajmić, że pociąg osobowy z Wrocławia do Opola jest opóźniony o sześćdziesiąt pięć minut. Opóźnienie może ulec zmianie. Za opóźnienie nie przepraszamy, bo sorry, taki mamy klimat. W sensie, że bez żadnych emocji. ŻODNYCH!

Zamówili żarcie. Oczywiście nic dla mnie. Chamstwo się szerzy, tyle powiem.

– Jak się pan czuje? – zagadnęła Orła Rozalia, gdy postawił przed nimi napoje i sztucze w wiklinowym koszyczku.

Karczmarz popatrzył na weterynarkę pustym wzrokiem. Wytarł dłonie w nie pierwszej świeżości fartuch, którym był obwiązany.

– Nijak – odparł wreszcie. – Nie czuję nic. Znaczą, dobrze, że pan tego Żukowskiego aresztował – zwrócił się do Pawła. – Całe życie go znam i w ogóle bym nie pomyślał, że jest zdolny do czegoś takiego. – Zaprezentował wypowiedź typową dla tych wszystkich babć, na które po różnych wsiach polują telewizyjni reporterzy przy rozmaitych okazjach tylko po to, by te wypowiedziały swoje słynne: „Paaanie, tyle lat żyję, a czegoś takiego nie widziałam”. Albo: „Pamiętam, gdy on jeszcze z tornistrem chodził do zerówki. Gdzie by tam człowiek pomyślał, że zostanie seryjnym mordercą”. – Ale... – Orzeł wrócił do przerwanej wątku, a ja się zastanowiłam, czy te sandacze aby na pewno w końcu zostaną nam dostarczone. Wprawdzie dla mnie nie zamówili, ale nie znaczyło to, że się nie poczęstują z talerza. – ...to jest niesprawiedliwe, przyzna pan – kontynuował. – Bo śmierć Nikoli została niejako pomszczona. A co z moim Mateuszem? Nawet nie wiem, czy on wciąż żyje. Już bym wolał poznać prawdę, choćby miała być najokrutniejsza. Niewiedza odbiera mi... – zająknął się. – Odbiera mi wszystko. Ale co mi pozostaje?

„Przynieść nam obiad”, powiedziały moje oczy.

– Pogodzenie się z losem – orzekł, zupełnie nie rozumiejąc, co się do niego mówi.

Wreszcie jednak polazł po nasze ryby.

Były całkiem smaczne.

PS Zupełnie bym zapomniała! Otóż odkryłam, że do mojego pamiętniczka podpisywał się Pedro! Stawia jednak takie kulfony, że trudno się zorientować, o co mu chodzi. Co za brak szacunku, żeby tak bezcześcić moje zapiski! Ze złości wszystkie jego fragmenty poprzekreślałam pazurem!

Siema, koleżanki i koledzy,

piszę już w nowym miejscu. Otóż wracaliśmy do domu. Naprawdę nie cierpię jeździć samochodem. Zamykają mnie wtedy do kontenera, oglądam życie jedynie zza krat, a do tego przez całą drogę telepie mnie na boki, bo – jak mówi mamoń – żaden z tych półgłówków nie potrafi prowadzić hulajnogi, a co dopiero samochodu. Ja tam nie jestem pewny, czy to prawda. Wiem za to, że zjadłem stanowczo zbyt dużo rybki w karczmie z talerzy odchudzających się patyczaków. I teraz mi było

niedobrze. Mój dyskomfort zwiększał się z każdym zakrętem. Dałem więc znać, że się źle czuję, wydzierając się niczym Luciano Pavarotti. Nie wiem, co to za jeden, ale Rozalia co świt tak się do mnie zwraca, gdy przychodzi jej o piątej rano powiedzieć, że w mojej miseczce nie ma jeszcze krewetek w tuńczyku. „Ty mój Luciano Pavarotti”, mówi.

Nikt się jednak nie przejął moim komunikatem. A potem tylko pretensje, że trzeba poddać kąpielii zarówno kontener, jak i moją niczemu niewinną osobę.

Życie nie jest sprawiedliwe.

PS I jeszcze ktoś pokreślił moje dotychczasowe zapiski w kajaku. Po tej Krutyni musi się szlajać jakiś tajemniczy cenzor!



Parę dni później, Mikołajki

Rozalia Ginter właśnie wracała z porannego biegu wzdłuż brzegów jeziora, gdy dostrzegła jakiś ruch na podwórku położonym na tyłach swojej kliniki weterynaryjnej. Otwierali dopiero za godzinę, a żadnych dostaw na dzisiaj nie przewidywała. Tknęło ją złe przeczucie. Przyśpieszyła. Otworzyła furtkę prowadzącą z promenady do własnego ogrodu i prędko pokonała ciągnącą się stromo ku górze ścieżkę.

Dostrzegła Roberta Osipczuka, który zamykał właśnie drzwi na zaplecze. Pod pachą dzierżył jakiś pakunek. Na parkingu stał jego pick-up. Za kierownicą zaś siedział Rafał.

– Co to jest? – zapytała. Wsparła się rękami o kolana, schyliła i próbowała wyrównać oddech. – Albo nie – zmieniła zdanie. – Nie chcę wiedzieć.

– Słusznie – pochwalił Osipczuk i pogłaskał się po łysinie. – Powiedzmy – zastanowił się przez chwilę – że możesz znów używać swojego sejfu.

Robert podszedł do samochodu i włożył paczkę do schowka przed siedzeniem pasażera.

– Słuchaj. – Zatrzymał Rozalię, która już skierowała się do stojącego po sąsiedzku domu, żeby wziąć prysznic, przebrać się,

łyknąć kawę jeszcze przed pracą. – Wydaje mi się, że to cię może zainteresować – powiedział.

Ginter odwróciła się i przyjrzała Osipczukowi z powątpiewaniem. Ten trzymał w ręku smartfon i przesuwał palcem po ekranie.

– O! To to! Patrz! – Podsunął jej pod nos urządzenie.

Ginterowa sięgnęła po nie niechętnie. Na wyświetlaczu widniał artykuł z „Bez Ściemy”. Jego autorem naturalnie był Olek Szpon. Czy nikt inny nie chciał pisać dla tego szmatławca? Przeczytała lid i na dobre zagłębiła się w lekturze.

Waldemar i Parówa znajdują zwłoki

Szok i niedowierzanie! Ciało wyłowione z Wisły! W Krakowie u brzegów królowej polskich rzek na wysokości Wawelu Waldemar K. (lat 56) podczas spaceru z psem rasy jamnik o imieniu Parówa (4 lata) natrafił na zwłoki mężczyzny. Policji udało się ustalić, że zmarły to Olof M. (30 lat), mężczyzna narodowości szwedzkiej. Tym razem nasze służby zadziałały niezwykle sprawnie. Już po dwóch dniach śledztwa były w stanie podać prawdopodobny przebieg wypadków. Otóż Olof M. przyjechał do Krakowa w tym celu, w którym przybywa tu wielu młodych mężczyzn z krajów Europy Zachodniej. Kolokwialnie mówiąc: by się nachlać za tanioszkę, zdemolować kilka pubów, poderwać polską dziewczynę i na kacu gigantycznie wrócić tanimi liniami do domu. Olofa M. spotkała jednak kara za to nieobyczajne zachowanie. Cały wieczór pił z kolegami w różnych knajpach położonych na i w okolicach Rynku. Kamery monitoringu miejskiego zarejestrowały go, gdy ubrany w strój typu „onesie” tańczył krakowiaka pod rzeźbą Erosa Bendato autorstwa Igora Mitoraja, znaną powszechnie po prostu jako głowa Mitoraja. Naszym czytelnikom, którzy nie są obeznani z tego rodzaju odzieżą, wyjaśniamy, iż jest to jednoczęściowy, zazwyczaj pluszowy kombinezon w kształcie jakiegoś zwierzątka (Olof M. miał akurat taki, który imitował łośia). Następnie wciąż tanecznym krokiem Olof M. udał się w stronę Plant, a potem nad Wisłę. Wszedł na most

Dębnicki, przechylił się przez barierkę i głową w dół wpadł do rzeki. Wypłynął z niej już nieżywy wprost pod stopy Waldemara K. i jamnika Parówy. Tu pojawia się pytanie do włodarzy miasta, czy zamierzają wreszcie coś zrobić z tą hordą dzikusów z Zachodu. My osobiście prędzej wpuścilibyśmy do naszych pubów jamnika Parówę niż nachlanego w trzy trąby młodzieńca, który nie potrafi sklecić ani jednego zdania w języku polskim.

Olek Szpon

– A ten co? – zastanowiła się na głos Rozalia. – Myśli, że dostanie jakąś dotację rządową za takie ksenofobiczne bzdury?

– To wasz człowiek chyba, prawda? – odezwał się Osipczuk, odbierając od Ginterowej swój telefon.

Rozalia po przyjeździe znad Krutyni zrelacjonowała mu przebieg wypadków. Skojarzenie miał więc słuszne.

Weterynarz pomyślała tylko, że jest to pewien rodzaj sprawiedliwości. Nie chciał Olof Molin jechać z Nikolą do Berlina i tam zacząć z nią wspólne życie? Wolał ją oszukiwać i zdradzać z jej własną siostrą? Preferował szaleństwa do białego rana?

No to zaszalał o jeden raz za dużo.



Chciała, żeby ich życie rodzinne wróciło do normy. By było tak jak kiedyś. Oczywiście w miarę możliwości. Jednym z ich cotygodniowych rytuałów była wizyta w kościele na mszy świętej. Dlatego tego dnia Rozalia wstała wcześniej, poszła pobiegać, wzięła prysznic, przygotowała śniadanie i zbudziła rodzinę. Dziewczynki głośno zaprotestowały. Rozalia była jednak nieprzejednana. Mieli iść do kościoła i tyle! Teraz, gdy udało jej się z pomocą Potomek-Chojarskiej (która, swoją drogą, wreszcie wróciła do domu) odebrać wielebnemu Konopniakowi spadek po Jadwidze, mogła spokojnie

znów zasiąść w swojej kościelnej ławie. Spojrzeć księdzu w oczy. I ogłosić swój triumf.

Zawlekła więc bliskich do świątyni. Daleko nie mieli – tyle co przejść na drugą stronę jezdnii i parę kroków w stronę centrum miasteczka. Strzelista budowla kościoła pod wezwaniem Matki Bożej Różańcowej zapraszała wiernych do wnętrza otwartymi na oścież wrotami. Pogoda była piękna – ciepło, ale nie upalnie, od jeziora ciągnęła lekka, przyjemna bryza. Rozalia poprawiła falbanki na swojej nowej sukience i z uniesionymi brwiami przyjrzała się stercie kartonów ustawionych przy bocznym wejściu na plebanię. Czy ją wzrok mylił, czy rzeczywiście była to dostawa wina mszalnego?

Pewnym krokiem, stukając obcasami sandałów o posadzkę, skierowała się do pierwszej ławki. Całą czwórką zasiedli obok siebie. Kościół powoli się zapełniał. Oprócz miejscowych było tu też sporo wczasowiczów, którzy jeszcze przez długie tygodnie mieli okupować Mikołajki.

Uciszyła dziewczynki, które gadały jak najęte – bynajmniej nie na duchowe tematy. Dotarł do niej dźwięk dzwonów. A potem przed ołtarzem pojawił się ksiądz.

Nie był to jednak wielebny Konopniak.

Początkowo Rozalia pomyślała, że ktoś tu się pomylił. Albo ona, albo ten facet w koloratce zawędrowali nie do tej świątyni. Jedno z dwojga. Nie tylko Ginterowa była zdziwiona. Szmer poniósł się wśród wiernych – przynajmniej tych miejscowych, którzy zauważyli, że coś tu się nie zgadza. Po standardowych powitaniach duchowny wreszcie przeszedł do rzeczy.

– Zapewne niektórzy z was się dziwią, widząc mnie przed tym ołtarzem – powiedział uduchowionym, sztucznym tonem, który zapewne adepci ćwiczyli zapamiętane w seminariach. – A nie wielebnego Konopniaka. Ja nazywam się Antoni Sobottka. Nazwisko wam znane, prawda? – zapytał, a okulary zjechały mu na czubek nosa. – To nie jest zbieg okoliczności. Jestem bratankiem Jana

Sobottki, szanowanego obywatela waszego miasta i znanego biznesmena oraz filantropa.

W pomieszczeniu rozległo się prychnięcie. Trudno jednak było jednoznacznie stwierdzić, czy miało ono wydźwięk pogardliwy, czy po prostu się komuś kichnęło.

– Wasz wieloletni duszpasterz musiał podążyć za nowymi wyzwaniem. – Antoni Sobottka kontynuował niezrażony. – Ruszyć w drogę duchową, którą wyznaczył dla niego Pan. I spełniać swoje powinności wobec poddanych... – zająknął się. – Znaczących, wiernych, chciałem powiedzieć.

– Akurat. – Dało się słyszeć głos Hani.

– Co on gada? – zainteresowała się Helenka.

– Ciszej, dziewczynki – syknęła Ginterowa.

– Że Konopniaka przenieśli na inną parafię – wyjaśniła jej siostra. – Oni ich tak utykają w innych kościołach – wytłumaczyła. – Zamiast w więzieniu.

Dyskusja Ginterówien była doskonale słyszalna w niewielkiej świątyni, zatem teraz wśród zebranych poniósł się chichot.

– Módlmy się! – ryknął do mikrofonu Antoni Sobottka. A Rozalia pomyślała, że w tej sytuacji to już nawet święty Boże nie pomoże.

Z trudem wytrzymała do końca mszy. Uznała, że grubo się zastanowi, nim następnym razem jej obcas postanie we wnętrzu kościoła. Doświadczenie bowiem podpowiadało jej, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. A w przypadku rodziny Sobottków z pewnością było ono robaczywe.



– Państwa syn robi niesamowite postępy – powiedział lekarz na dzień dobry i wskazał Ginterom krzesła po drugiej stronie swojego biurka. – Będzie jednak potrzebna rehabilitacja. To nie są tanie rzeczy – dodał i powiódł po nich smutnym spojrzeniem.

– Ile? – zapytała twardo Rozalia, ściskając w dłoniach niewielką, skórzaną, błękitną torebkę, doskonale dopasowaną do błękitno-brązowej sukienki i takichże szpilek.

Usłyszeli kwotę. Ginterowa pokiwała głową. To było do zrobienia. Z wyszarpanym z gardła Konopniaka spadkiem po Jadwidze mogli śmieiej patrzeć w przyszłość. Trzeba było tylko sprzedać dom z ogrodem położony nad jeziorem Tałty. Powinni bez problemu chwycić jakiegoś warszawiaka napalonego na mazurskie wakacje.

– Możemy go odwiedzić? – zapytał Paweł.

– Oczywiście. – Lekarz podał im wypielegnowaną dłoń. – Szczegóły przedstawię państwu w mailu. Żebyście mogli się na spokojnie nad wszystkim zastanowić – dodał.

Opuścili gabinet i przeszli do części ośrodka zajmowanej przez pacjentów. Znajdowało się ich tu niewielu, to była prywatna klinika. Szli korytarzem, który prędzej pasowałby do jakiegoś butikowego hotelu niż ośrodka zdrowia, i wreszcie stanęli przed drzwiami pokoju Huberta. Uśmiechnęli się do siebie.

Rozalia poszła przodem.

– Synku! – przywitała się.

Hubert siedział na wózku inwalidzkim i w obu dłoniach uciskał małe najeżone kolcami piłeczki, które miały za zadanie przywrócić sprawność jego kończyn.

– Jak się czujesz? – zapytał Paweł i zmierzwił Hubertowi przydługie już włosy.

– Spooko. – Syn przeciągał głoski, ale na jego twarzy zagościł uśmiech.

Posiedzieli z nim trochę i poopowiadali, co tam słyhać u sióstr i kotów. Aż wreszcie wyczerpali temat i znów spojrzeli na siebie. Rozalia skinęła głową. Paweł wyjął z kartonowej teczki zdjęcia i pokazał je synowi.

– Synku, to nic takiego, ale czy mógłbyś nam powiedzieć, czy znasz te panie? Jeśli nie, to nic nie szkodzi. Po prostu powiedz – tłumaczył.

Rozalia zaś wbijała sobie świeżo zrobione hybrydy (błękitne) we wnętrza dłoni. Hubert przyglądał się pierwszej fotografii w ciszy. Przekrzywił głowę. Przejechał palcami po powierzchni zdjęcia.

– Neeee – powiedział.

– Okej, w porządku. – Paweł odłożył na bok zdjęcie przedstawiające Nikolę Wójcik. – A tę? – Położył synowi na kolanach kolejną fotografię.

Tym razem milczenie trwało jeszcze dłużej. Hubert się nie ruszał. Wreszcie podniósł głowę i spojrzał ojcu prosto w oczy. Jego własne jaśniały blaskiem radości.

– Taaak! – Ucieszył się. Postukał palcem w zdjęcie. – Znaaam! – powtórzył.

Rozalia poczuła, że jeszcze chwila, a z jej dłoni tryśnie krew, a manicure będzie na zmarnowanie. Przełknęła gulę, która podjechała jej do gardła. Jak to było możliwe?

Jej syn rozpoznał Vanessę Wójcik.



Rozalia Ginter zzuła szpilki z umęczonych stóp i rzuciła je na tylne siedzenie swojego SUV-a. Ruszyła z piskiem opon, zanim jeszcze Paweł zdążył na dobre się ulokować na siedzeniu pasażera i zapiąć pas. Miał już na końcu języka jakąś radę dotyczącą ostrożnej jazdy, jednak przytomnie zachował ją dla siebie. Cieszył się, że ten model samochodu ma solidne poduszki powietrzne i wszelkie możliwe zabezpieczenia. Może w razie gdyby jego żona jednak walnęła po drodze do Mikołajek w drzewo, zdołają się jakoś wykaraskać. Tak czy owak, bezpieczniej dla niego było się nie odzywać.

Przypomniał sobie, gdy kiedyś, nie tak dawno, jechali na wakacje do Chorwacji, właśnie tym samochodem. Gdzieś na wysokości Lublany Rozalia omal nie doprowadziła do kraksy na kilka samochodów, bo na drogę wyskoczył kot. Skręciła ostro, by nie najechać zwierzaka. Paweł wtedy tak gwałtownie złapał się uchwyty nad drzwiami, że aż się poluzowały podtrzymujące go śrubki i od tamtej pory dyndał dość chwiejnie.

Wtedy kot z dumnie podniesionym ogonem i pełnym spokojem przemaszerował przez ulicę i wskoczył przez płot do przydomowego ogródka. Rozalia zaś ruszyła w dalszą drogę, popędzana przez wściekłe klaksony wlekących się za nią użytkowników drogi.

Wjeżdżali właśnie na rogatki Mikołajek, gdy jego żona bosą stopą – tak najbardziej lubiła prowadzić – nadepnęła z całej siły hamulec. Tym razem zamiast kota była to staruszka ciągnąca wózek na zakupy, ale niekorzystająca z pasów dla pieszych. Paweł znów złapał za uchwyt. Dziwna sprawa, trzymał się stabilnie. Pociągnął mocniej. W końcu uwiesił się na rączce. Ta jednak pozostawała nienaruszona.

– Co robisz? – spytała Rozalia, parkując wreszcie pod ich willą.

– Nie wiem. – Paweł się zawahał, wciąż nie odpinając pasów. – Ten uchwyt. Wydawało mi się, że był luźny. Dyndał. – Słyszac wypowiedane w głos tłumaczenia, robiło mu się coraz bardziej wstyd. O czym on gadał? Stres związany z przeglądaniem zdjęć przez Huberta musiał mu się rzucić na głowę. – Bo go naderwałem. Po tym prawie zderzeniu z kotem w Lublanie – dokończył mimo wszystko.

– Co? – Żona spojrzała na niego z totalnym brakiem zrozumienia. – Wychodź już, muszę lecieć do pracy – ponagliła go, zupełnie niezainteresowana jego wywodami.

Może i słusznie. Coś musiało mu się pomieszać.

Wysiadł z samochodu i zatrzasnął za sobą drzwi.



Rozalia Ginter weszła do przychodni Podaj Łapę i grzotną przeszklonymi drzwiami, mało nie uszkadzając lekko dyndających zawiasów. Dyndających! Też coś! Jak Paweł mógł zapamiętać taką bzdurę?! A teraz zauważyć różnicę?! Ona nie miała o niej pojęcia. Gdyby wiedziała, sama naderwałaby ten cholerny uchwyt, żeby się wszystko zgadzało!

Jakiś czas temu wymieniła – z pomocą Roberta Osipczuka i jego lewych znajomości – samochód na identyczny – jak jej się widać błędnie zdawało – egzemplarz, by nikt nigdy nie odkrył wypukanych, bo wypukanych, ale jednak możliwych do namierzenia wgnieceń, które powstały w trakcie tamtej kraksy. Nie tej w drodze na Chorwację! Tej w Tałtach, podczas której Rozalia najechała ze skutkiem śmiertelnym Jadwigę Ginter, własną teściową. A potem jej ciało zatopiła w Jeziorze Mikołajskim. Zwłoki wypłynęły na powierzchnię, prawda jednak nie. I tak miało pozostać! A ten tu wyjeżdża z jakimś dyndaniem!

W recepcji przywitała ją Burburka, która siedziała na ladzie i waliła łapą w ręczny dzwonek – taki jaki czasem stosowano w hotelach do przywoływania pracowników recepcji z zaplecza. Widocznie też była zdenerwowana.

– Gdzie Rafał? – zapytała kotkę.

Ta odpowiedziała jej przeciągłym, pełnym pretensji miauknięciem.

– Jestem, jestem. – W tym momencie usłyszała głos swojego przymusowego pracownika, który opuszczał toaletę.

– Będę musiała zaraz wyjść – powiedziała Rozalia. – Dużo mamy zapisanych klientów?

Rafał wszedł za kontuar i przesunął myszką. Ekran komputera się wybudził. Chłopak kliknął parę razy.

– Tylko Ewa Jamioł – powiedział.

– Niech poczeka. – Rozalia westchnęła i skryła się w swoim gabinecie.

Zaraz też wybrała numer Roberta Osipczuka.

– Musimy do niego jechać – powiedziała bez przywitania. – Hubert rozpoznał na zdjęciu Vanesę Wójcik.

– Nie wiem, kiedy będę mógł – migał się Osipczuk.

– Teraz! – zdecydowała Rozalia. – Widzimy się przed wejściem do hotelu – wydała dyspozycję.

I się rozłączyła.

Tak jak szybko wparowała do przychodni, tak prędko ją opuściła. Wybrała jednak tylne wyjście. Przeszła na swoją prywatną posesję i z powrotem zasiadła za kierownicą. Znów zdjęła szpilki i strzeliła nimi ze złością na gumowy dywanik przed siedzeniem obok. Ruszyła gwałtownie.

– Dyndał! Ja ci podyndam! – złorzeczyła, wjeżdżając na most przerzucony na styku dwóch jezior: Mikołajskiego i Tałt, a ciągnący się równolegle do kładki dla pieszych, która – zwłaszcza po zmroku i przy włączonej wielobarwnej iluminacji świetlnej – bardziej kojarzyła się Rozalii z Golden Gate Bridge w San Francisco niż jakąś tam pospolitą kładką dla przechodniów w Mikołajkach.

Zjechała na ląd i skręciła w lewo. Już po chwili parkowała pod hotelem Na Wodzie. Jego nowoczesna, przeszklona fasada wznosiła się nad brzegiem akwenu. Nocleg tutaj nie należał do opcji budżetowych. Ale za to wczasowicze dostawali w zamian pełny luksus. Budynek należał do Jana Sobottki, którego to Rozalia miała nadzieję spotkać w jego gabinecie.

Osipczuk już na nią czekał przy recepcji. Gawędził miło z pracującą tam studentką ubraną w firmowe wdzianko i uśmiechającą się szalenie profesjonalnie.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł – zaczął Osipczuk, próbując ją dogonić w korytarzu prowadzącym do części służbowej. Zazwyczaj to on rządził w tym dziwnym, z pozoru tak źle dobranym duecie. Dzisiaj chyba jednak czuł, że stoi na przegranej pozycji.

Rozalią kierowała mieszanka matczynej miłości i sięgającej zenitu wściekłości. Była więc nie do zatrzymania.

Ginter nie bawiła się w pukanie do drzwi. Szarpnęła klamkę i otworzyła je na oścież. Sobottka siedział za biurkiem z nogami ułożonymi na blacie i wcale nie wyglądał na zaskoczonego tą nagłą wizytą. Rozalia uniosła brew.

– Ty go ostrzegłeś? – Odwróciła się w stronę Roberta.

Osipczuk nieznacznie pokręcił głową.

– Kamery – rzekł ze śmiechem Jan Sobottka. – Pani Rozalio, mamy tu monitoring lepszy niż w banku centralnym. Mnie nic nigdy nie zaskakuje. Powinna pani o tym wiedzieć – mądrzył się.

Ginter miała dosyć słuchania tych czczych przechwałek.

– Gadaj, co wiesz! – zażądała. – O Hubercie – dodała, gdy Sobottka nadal uparcie milczał.

Po chwili jednak zaczął mówić. A Rozalia się dowiedziała, że w ten feralny dzień, którego poranek w żadnej mierze nie zapowiadał pogodowej katastrofy, jachtem wypłynęła siedmioosobowa załoga. W jej skład wchodził Hubert Ginter, ale też Vanessa Wójcik. I to ona – wedle słów Sobottki – była odpowiedzialna za to, co spotkało syna Rozalii.

– Wypchnęła go – oznajmił Jan Sobottka. – A wcześniej uderzyła czymś ciężkim w głowę. To była jakaś część wyposażenia łajby, nie pytajcie mnie jaka, nie znam się, mam swoich ludzi od tego, żeby mnie wozili jachtami. Sam mogę tylko leżeć na pokładzie i pachnieć. – Zaśmiał się, ale że nie spotkał się z żadną reakcją na ten słaby dowcip, opowiadał dalej: – Gdyby nie Vanessa, Hubert może zdołałby się chwycić koła ratunkowego albo przynajmniej nie wpadłby pod jacht i nie oberwał dodatkowo śrubą. Kto wie, może byłby teraz zupełnie normalnym, zdrowym chłopakiem – powiedział.

Rozalia znów wbiła paznokcie we wnętrza dłoni. Czowała, że wchodzi jej to w nawyk.

– Skąd to wiesz? – spytała przez zaciśnięte zęby. – Nie było cię tam przecież!

– Tak jak powiedziałem... – Sobottka zdjął wreszcie nogi z biurka i otrzepał niewidzialne drobinki kurzu z ramion. Biała firmowa koszulka polo była na niego przyciasna – ...mnie nic nigdy nie zaskakuje. Wszędzie mam swoje oczy i uszy.

Ginterowa dopiero teraz opadła na krzesło stojące po drugiej stronie biurka. Siedziała tak przez chwilę bez ruchu, zbierając myśli i próbując zapanować nad głosem.

– Ale dlaczego? – zapytała wreszcie. – Dlaczego to zrobiła? Przecież oni się wcześniej chyba w ogóle nie znali? – Mówiła bardziej do siebie niż do dwóch mężczyzn. – Dzieli ich spora różnica wieku.

– Pani Rozalio – odezwał się znów Sobottka. Tym razem całkiem poważnym tonem. – To raczej pani ma długi wobec mnie niż odwrotnie. Mimo to jestem panią w stanie zrozumieć. Jak rodzic rodzica. Choć ta moja córka... Szkoda gadać, sama pani wie – oznajmił z westchnieniem. – Ale pojmuję pani ból i potrzebę wiedzy. Dlatego powiem pani, co ustaliłem.

Wstał od biurka i przeszedł do stojącego pod ścianą kredensu. Pogrzebał w nim i wydobył zeń wypełnioną rudawym płynem karafkę oraz szklanki. Kiwnął nimi w stronę Roberta. Ten tylko pokręcił głową. Nalał więc do dwóch i jedną podsunął Rozalii. Weterynarz łyknęła, nawet się nie skrzywiwszy.

– Moje źródło twierdzi – zaczął, kosztując whisky – że chodzi o jakąś aferę nawet niezwiązaną z Mikołajkami. Nie moja strefa wpływów, rozumie pani, więc dokładnie się nie dowiadywałem. Jej natury nie znam. Jednak z tego, co mówił, wynikało, że to grubsza sprawa.

Rozalia czekała na dalsze wyjaśnienia, ale się nie pojawiały. Ze zdziwieniem odkryła, że jej szklanka jest już pusta. Zazwyczaj wołała rum. Sobottka dołał jej i postukał złotym sygnetem w blat biurka.

– Jest taki gościu – zaczął ponownie. – Nie powinienem go pani wystawiać. Pani jest niebezpieczna. – O dziwo, nie zaśmiał się. – Ale co mi tam. Ma na imię Grzegorz. Tyle wiem. Nazwiska nie znam. On w tym miesza.

– W czym? – przerwała mu Rozalia. Zaczynała się gubić.

– No w tym czymś grubym, czego natury nie dane mi było poznać – tłumaczył niemal życzliwie Sobottka. – Choć próbowałem, może mi pani wierzyć.

Ginterowa czuła, że oczy zachodzą jej mgłą. Słyszała też cichy pisk. Zastanawiała się, czy występuje on w rzeczywistości, czy tylko w jej głowie.

– Pani syn, Hubert, musiał się dowiedzieć czegoś o tym Grzegorzu i tej jego aferze. Za dużo, jak się okazuje. I na zlecenie Grzegorza Vanessa załatwiła – przepraszam za wyrażenie – pani chłopca.

Rozalia siedziała bez ruchu. Nawet nie mrugnęła. Trawiła te niezrozumiałe informacje.

– Skąd Vanessa i ten Grzegorz się znali? – zapytała wreszcie.

– Niestety będę nudny: nie wiem – powtórzył. – Przekazałem pani wszystko to, co dostałem od informatora.

– A ten informator? – Ginter nie dawała za wygraną. – Kto to?

– Pani Rozalio... – powiedział tylko pobłażliwym tonem gangster.

– To naprawdę wszystko? – upewniła się weterynarz.

– I tak całkiem sporo, prawda? – zapytał z uśmiechem hotelarz. – Myślę, że w zamian za taką pomoc będzie pani mogła jeszcze czasem coś dla mnie przechować w tym swoim sejfie – uznał.

Rozalia wiedziała, że to nie jest czcze gadanie. Wciąż nie chciała znać zawartości pakunku, który widziała w rękach Osipczuka. Dowiedziała się jednak, dlaczego paczka musiała trafić do niej. Robert powiedział jej, że w tym czasie, gdy ona pływała kajakiem po Krutyni, w Mikołajkach i okolicy trwała zorganizowana obława policji na tutejszą gangsterkę. Przyjechali funkcjonariusze ze stolicy,

żeby uniknąć ewentualnych koneksji miejscowych glin z półświatkiem. Jedni na drugich ślali donosy i gliniarze postanowili przetrząsnąć posiadłości, które – jak wiedzieli – należały do członków organizacji przestępczych. W tym hotel Na Wodzie. Cokolwiek więc tkwiło w tej paczce, nie było bezpieczne pod dachem Sobottki. U Rozalii to co innego.

Gdyby Ginterowa miała strzelać, postawiłaby na narkotyki. Nie kręcił ją jednak hazard.

Kobieta wstała i ruszyła do wyjścia. Osipczuk szedł dwa kroki za nią. Miała nadzieję, że ją odwiezie do domu. Wprawdzie żaden patrol tutejszej policji nie ważyłby się zatrzymać na drodze żony komendanta, jednak ona sama czuła, że albo to z winy wypitego alkoholu, albo wskutek usłyszanych rewelacji, jej percepcja była ograniczona. Nie dojechałaby o własnych siłach w jednym kawałku pod przychodnię.

– Jeszcze jedno! – W progu zatrzymał ich Sobottka. – Tu chodziło o teren Śniardw – powiedział.

Rozalia Ginter popatrzyła na niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Grzegorz działał gdzieś w okolicach Śniardw. Na przeciwnym ich brzegu. Nie tu u nas, jak już mówiłem. A teraz idźcie – zakończył audiencję.

Potem, gdy emocje już opadły, Ginterową uderzył jeden szczegół – dlaczego Hubert powtarzał, że „on go uderzył na wodzie”, skoro wedle Sobottki była to ewidentnie ona, czyli Vanessa. Może jednak synowi się coś pomieszało. Miało prawo. Poza tym przecież nie widział napastniczki, która zaatakowała go od tyłu. To na tyle czaszki miał obrażenia.

Rozalia właściwie nie pamiętała, jak znalazła się pod kliniką. Gdy przez szklane drzwi zobaczyła sterczącą w poczekalni Ewę Jamioł, zrobiła w tył zwrot i skryła się w swoim domu. Przychodnia będzie musiała tego popołudnia poradzić sobie bez niej.



Pół roku wcześniej, Osada

Olof Molin nie rozumiał, czym się tu zachwycać. Zielone łuny zorzy na niebie były dla niego tak oczywiste jak słońce, gwiazdy czy księżyc. Ot, kolejna maziara na firmamencie. Żył w towarzystwie tego zjawiska od urodzenia. Przywykł. Co innego turyści, którzy byli gotowi zapłacić każde pieniądze, by zobaczyć zorzę. Skoro tak, to grzechem byłoby nie skorzystać. Olof organizował więc dla przyjezdnych wyprawy-polowania na te kolorowe łuny. Wmawiał im, że bez niego figę zobaczą. Tylko on będzie im w stanie pokazać zorzę. Zna ten teren. Zna pogodę. Za odpowiednią opłatą podzieli się z nimi tą wiedzą. Zawiedzie ich w progi podbiegunowego raj.

Tego wieczoru prowadził kilkusobową grupę Irlandczyków. Sami mężczyźni, którzy chyba pierwszy raz w życiu widzieli śnieg, a przynajmniej tak się zachowywali. O mrozie nie wspominając. Powiedzieli mu, że u nich w kraju, gdy pewnego dnia temperatura spadła do minus czterech, władze wezwały wojsko do pomocy, bo nikt nie wiedział, co robić. Taoiseach był bliski ogłoszenia klęski żywiołowej. Dlatego według tych kilku Irlandczyków okolice Kiruny wyglądały jak inna planeta. Wszystkiemu się dziwili. Wszystko ich śmieszyło. A ponieważ marzli na potęgę, szybko też się spili przemyconą z Zielonej Wyspy whisky. Częstoowali Olofa. Spróbował, a co. Mysia wóda mocno kopała, aż się zdziwił. Wydawało mu się, że jest zaprawiony w bojach. Przecież marzył o tym, żeby jechać do tego polskiego Krakowa i tam pić na umór, tak jak jego koledzy to robili, i potem opowiadali wspaniałe historie. Chciał tego doświadczyć na własnej skórze! A tu się okazało, że jeszcze dużo przed nim. Nawet raz się poślizgnął na lodzie i musiał przytrzymać Patricka. Czy może to był Gary? Mienili mu się przed oczami.

– Ognisko! – rzekł Jamie. – Tu! – Wskazał miejsce. – Rozpalamy!

Zaszli na niewielki półwysep utworzony tu przez nierówną linię brzegową. Wzięli ze sobą potrzebny ekwipunek. Plan był właśnie

taki: pójdą nad jezioro Torneträsk, rozpalą gdzieś w zacisznym miejscu ogień, będą obserwować zorzę i popijać alkohol. Może to niezbyt mądry pomysł raczyć się procentami na takim zimnie, ale raz się w końcu żyje.

– Okej – zgodził się Olof i zabrał się do zbierania w miarę suchego opału.

Utworzyli zgrabny kopczyk, wyjęli z plecaka podpałkę i już za pierwszym razem udało im się wskrzesić iskry. Irole usiedli na przytarganym z krzaków pniu i gapili się na szalejącą na niebie zorzę. Molin przyjrzał się scenie. Ognisko wyglądało marnie. Chwila, moment i zgaśnie. Będą potrzebowali więcej drewna. Jeżeli dobrze pamiętał, to na drugim brzegu zatoczki było fajne miejsce, z którego ostatnim razem wygrzebał sporo suchych gałęzi.

– Idę po opał – oświadczył. – Zaraz wracam.

Nie był pewny, czy mężczyźni cokolwiek zarejestrowali. Siedzieli przytuleni do siebie i zawodzili smętną irlandzką piosenkę. Coś tam było o jakiejś Molly Malone. Zabawne, Olof nawet przez chwilę pomyślał, że śpiewali o nim, wymieniając go z nazwiska. To jednak nie mogła być prawda. Nie byli w stanie spamiętać nawet jego imienia i z uporem maniaka zwracali się do niego per – nie wiedzieć czemu – Lars.

Ruszył przez zamrożone jezioro, jednak trzymał się raczej brzegu. Śnieg chrupał mu pod stopami. W połowie drogi przed sobą po prawej zobaczył zbliżającą się postać. Poruszała się jak duch – ospale i niepewnie. Może ten ktoś też się opił whisky. Im był bliżej, tym bardziej się przekonywał, że zna tego faceta. Nie mylił się – to był ten cholerny Mateusz, były chłopak Nikoli, który nie chciał im dać spokoju. Nie docierało do niego, że Niki nie chce już mieć z nim nic wspólnego. W zasadzie można było powiedzieć, że ich prześladował. Bo jak inaczej nazwać to, co odwalił ostatnio w Kirunie?

W Olofie się zagotowało. Zawrzała w nim podgrzana przez whisky krew. Gdyby miał być tak całkiem szczery, to musiałby przyznać, że nienawidzi tego gnojka. Przyjechał z jakiejś tam Polski do jego kraju

i jeszcze będzie mu mówił, z kim może chodzić, a z kim nie. Zachowywał się jak wariat. A jak wiadomo, wariaci są niebezpieczni. A przecież – skoro już tak się odwoływał do ludowych mądrości – najważniejsza jest prewencja. Lepiej zdusić problem w zarodku, nim ten stanie się dla ciebie groźny.

To pomyślawszy, Olof zmienił kurs. Mateusz zdążył już go minąć. Nie zauważył Molina. Gapił się jak zaklęty przed siebie i lał środkiem zatoczki. Olof zawrócił więc i poszedł śladem Orła. Powie mu do słuchu!, postanowił. Może nawet walnie go w nos. Koleś się nauczy raz na zawsze, gdzie jest jego miejsce. Im był dalej od brzegu, tym częściej wpadał w poślizg. Mógł chociaż zabrać raki. Nie planował jednak łązić z Irolami po jeziorze. Sunął zrywami, niepewnie, przed siebie, aż wreszcie znalazł się tuż za plecami Polaka. Sięgnął ręką w jego stronę. Ruch w zaskakujący dla niego sposób przybrał na sile. W zasadzie, gdy się potem nad tym zastanowił, był jak wystrzelony cios przez boksera. Trafił Mateusza między łopatki. Chłopak padł przed siebie i nagle go nie było.

Zniknął.

Ale gdzie?, zastanawiał się Olof, rozglądając się wokół siebie. Stanowczo nie powinien pić tej śmierdzącej torfem wody! Może była czymś doprawiona? Jakimiś prochami? Z tymi wyspiarzami to nigdy nie wiadomo. I wtedy Olof spojrzał pod nogi.

Przerębel.

Nagle zabrakło mu powietrza w płucach. Padł na kolana i zajrzał w wypełnioną nieprzeniknioną czernią dziurę. Gdzieś tam pod nim chlupotała woda. Otwór był sporych rozmiarów. Mogłaby przez niego przejść stara pralka czy lodówka – sam kiedyś pozbył się w ten sposób przerdzewiałej zamrażarki po babci. Czy Mateusz miałby problem, by się wpasować?

– Mateus? – zapytał dla pewności Olof.

Oczywiście nikt mu nie odpowiedział. Czy Orzeł mógł wpaść do jeziora? Jeżeli tak, to z pewnością już nie żył. W tej temperaturze długo człowiek nie wytrzyma. Pewnie zemdlał z powodu szoku

termicznego wywołanego lodowatą wodą, no i się udusił. Istniała szansa, że jego ciało nigdy nie wypłynie na brzeg. Zanim lody stopnieją, zdążą go skonsumować zwierzęta żyjące w akwenu. Tak wnioskował Olof.

Istniało jeszcze drugie wyjaśnienie. Ponieważ Molin nie był trzeźwy – powiedzmy to sobie szczerze – to mógł nie zauważyć, jak Mateusz zwiewa w mrok i zaszywa się w przybrzeżnych zaroślach. Pierwsze, o czym Olof pomyślał, to przerębel, więc nie skupiał uwagi na peryferiach. Może więc Orzeł zwiął. Odfrunął. Zostawił go tu i pozwolił mu się zamartwiać. A potem się będzie z niego nabijał z tymi swoimi polskimi kolegami. Może nawet teraz go obserwuje i ma bekę!

Olof Molin wkurzył się nie na żarty. Tak bardzo, że zapomniał, po co w ogóle wyruszył na tę wyprawę przez zatoczkę. Gdy więc wrócił do swoich Irlandczyków, zobaczył dogasające ognisko, do którego nie miał czego dorzucić. Oraz przysypiających łowców zórz.



Teraz, Mikołajki

Drogi pamiętniczku,

z przykrością zamieszczam ten wpis. A to dlatego, że znowu żaden się nie poznał na moim talencie. ŻODYN! Sprawa wygląda tak, że mój poprzedni pamiętniczek musiałam porzucić, no bo przecież nie będę na plecach tachała kajaka z Krutyni do Mikołajek. Jeszcze na łeb nie upadłam, a wyobraźnia mnie nie opuściła. Potrafię sobie znaleźć nową płaszczyznę idealną do zapisywania swoich złotych myśli. Może kiedyś potomni z nich skorzystają, kto wie? Znaczy, nie Pedro. Jemu to bliżej do komiksów albo jeszcze lepiej – instrukcji składania mebli z Ikei – niczego nie musi czytać, wystarczy obrazki pooglądać. W każdym razie liczę na to, że znajdzie się choć jeden inteligentny, który doceni mój wkład w literaturę.

Na pewno nie będzie tym kimś Rozalia. Ani ten umięśniony matoł z wypożyczalni kajaków, który zadzwonił tego ranka do Ginterowej, kiedy jeszcze nie zdążyła wyjść do roboty, by zarobić na moje przysmaczki, puszcзки, drapaki, wędki-zabawki, legowiska, pluszowe myszy z wszytą kocimiętką, czy czego tam jeszcze zwykły kot potrzebuje. Odebrała połączenie i słuchała bez słowa.

Ja sobie spokojnie siedziałam na kuchennym blacie i nie przewidywałam nadchodzącej katastrofy. Tymczasem z każdym słowem tego barana z wypożyczalni w Krutyni – później się miałam dowiedzieć, że to dzwonił właśnie ten konfident – mina Rozalii rzedła. A jej wzrok kierował się w mą stronę.

– Przepraszam – powiedziała wreszcie słabym głosem. – Jezus Maria, co też pan mówi! Oczywiście, proszę podać numer konta, pokryję wszelkie straty. Bardzo przepraszam – pokajała się znowu.

Mnie by lepiej przeprosiła za to, że tego poranka podała mi śniadanie z siedmiominutowym opóźnieniem. Myślałam, że padnę z głodu! Z pewnością zaś przez takie nieczne praktyki dostanę wrzodów żołądka i będę musiała przejść kolejną operację! I kto za to zapłaci, skoro niewolnica najwyraźniej lekką rączką wyzbywa się zasobów na korzyść tego głupka z pagajami zamiast mózgu?!

– Burbur! – wydarła się Ginterowa, przerywając moje niewesołe rozmyślania. – Coś ty zrobiła z kajakiem?! Cały zdrapany!

A to mi nowina. Ziewnęłam, ukazując kły. Po pierwsze, żeby wyrazić swoje znudzenie tematem. Rychło w czas odkryli mój pamiętnik i oczywiście nic z zapisków nie zrozumieli. Po drugie zaś, chciałam dać znać, że nie będę tolerowała żadnego zrzędzenia. Użrę w tyłek i kij z konsekwencjami! Wlepiłam w niewolnicę swoje żółte hipnotyzujące ślepie.

Rozalia dalej biadoliła, że jak to możliwe, że niczego nie zauważyła wcześniej. Że niby ja przez cały wyjazd musiałam siedzieć w tej krypie i drapać burtę. Że jak ten gamoń z wypożyczalni to odkrył, to już było widać dziurę na wylot. I że wpadł na to tylko dlatego, że użyczył kajaka jakimś turystom, którzy mało się przez to potopili, bo im wody naleciało na pokład i zaczęli ciężać ku dnu Krutyni. Chciałam zauważyć, że w tej rzeczce nie utopiłby się nawet najmniejszy kurdupel, bo płytka jest, aż żal patrzeć. Moje argumenty trafiały jednak w próżnię.

Potem Rozalia zmieniła melodię – być może pod wpływem mojego lampienia się na nią bez jednego mrugnięcia (mrugam tylko do tych, których lubię, czyli do Pawełka). Zaczęła głądzić, że to może z nerwów. Obrąła słuszny moim zdaniem kierunek obwiniania samej siebie. Dobrze jej szło, gdy twierdziła, że nie powinna biednych kotków targać na sływ, że to musiał być dla mnie i Pedra ogromny stres i że co ona sobie właściwie myślała.

Skończyło się tak, że jeszcze mi dała nadprogramową puszkę krewetek w tuńczyku, a potem poszła robić przelew temu debilowi od kajaków.

Zjadłam, a jakże.

A potem udałam się na poszukiwanie nowego pamiętnika, żeby te wszystkie wydarzenia zapisać. Gdzie on? Tego dowiecie się z mojej następnej opowieści.

Siema koleżanki i koledzy,

zrezygnowałem z piasku w kuwecie, w którym – do czego muszę się przyznać – dokonałem na szybko poprzednich notatek, ponieważ ktoś mi go wyrzucił! Ale odkryłem nowy pamiętniczek mojej rodzicielki, więc na szybko dopisuję też swoje trzy grosze.

W domu między Rozalią a moim mamoniem rozkręciła się awantura, której natura ani mnie grzała, ani parzyła. Potem Ginterowa zasiadła przed komputerem, więc szybko poszedłem za nią i się ulokowałem na klawiaturze. Ciepło biło mi od niej

w zadek, a poza tym czasem pomagam Rozalii sklecić ze dwa zdania. Ostatnio na przykład napisałem, co następuje: „psamkfjaznf”. Sami przyznacie, że ładnie.

Zorientowałem się, że Burbur wyżarła bez mojej wiedzy całą puszkę krewetek w tuńczyku. Nerwy mnie wzięły takie, że aż zacząłem biegać po domu jak nakręcony. Pędziłem jak strzała, odbijałem się od stojącej mi na drodze ściany niczym najlepszy karateka i zaraz ruszałem w dalsze hopsasy.

Powstrzymał mnie dopiero dzwonek do drzwi. Nie bardzo lubię, gdy ktoś nas odwiedza, bo się boję, że to przyjdzie jakiś obcy i mnie porwie. A mnie się podoba tu, gdzie jestem. Dlatego schowałem się za nogą Rozalii. Poszedłem z nią na korytarz, bo jednak jestem ciekawski z natury. I niech nikt mi nie mówi, że dostanę od tego kociej mordy, bo jakby nie było, już ją mam, zatem do stracenia niewiele, raczej do zyskania, jeśli już. Ginterowa otworzyła szeroko drzwi i zamarła. Wyczułem, że się cała usztywniła. Spojrzałem w górę. Za progiem stała jakaś młoda dziewczyna i uśmiechała się dość upiornie, pokazując wszystkie posiadane zęby. Gdzieś już ją chyba kiedyś widziałem...

– Więc to twój samochód widziałam w Krutyni – powiedziała Rozalia takim tonem, jakby zaraz miała zemdleć. – I wujek Stasiu nie pojawił się tam sam z siebie.

Kobieta wyglądała na zadowoloną. Niby na co dzień jestem gamoń, ale czasem miewam chwile olśnienia. Już wiedziałem, kto zacz.

– Widzę, że się cieszysz na mój widok. A teraz porozmawiamy – oznajmiła.

I bez zaproszenia weszła do naszej willi.

– Ilona? – wyjęczała Ginterowa, jakby wciąż nie mogła uwierzyć w to, co widzi.

– We własnej osobie – odparła Ilona Babiś, która kiedyś była recepcjonistką w przychodni Podaj Łapę, ale teraz, wedle wszelkich prawideł, powinna leżeć martwa na dnie jeziora Tałty.



Teraz, Lotnisko Teneryfa Południowa

Samolot tanich linii lotniczych podróżujący na kierunku Kraków – Teneryfa wylądował o czasie. Gdy tylko koła uderzyły o pas startowy, w kabinie z głośników zapiał kogut obwieszczający sukces, ale zaraz zagłuszyły go gromkie brawa pasażerów. Mężczyzna siedzący na fotelu 25B się skrzywił. Wiedział, że to obciach, jednak jego rodacy z uporem maniaka kultywowali tę żalostną tradycję. Wyjął swoją walizkę podręczną z luku bagażowego nad rzędami siedzeń i po chwili stanął na schodkach dostawionych przez obsługę naziemną do maszyny. Wciągnął w płuca wilgotne, gorące powietrze. Czy to była tylko jego wyobraźnia, czy rzeczywiście poczuł zapach oceanu?

Wreszcie jego marzenie się spełniło. Przyleciał na tę piękną wyspę. Teraz się okaże, czy jego szwedzcy koledzy nie przesadzali w peanach nad Kanarami.

Nikt nie wiedział, że tu był. Ba! Nikt nie miał pojęcia, że on w ogóle żyje. I lepiej, żeby tak pozostało, zwłaszcza po tym, co się wydarzyło najpierw w Osadzie, a potem w Krakowie. Na moście Dębnickim. Nikt nie miał prawa powiązać go z tym wypadkiem. Nie miał wyrzutów sumienia. Przecież w pewnym sensie wyrównał tylko rachunki. Wtedy, na jeziorze, gdyby zawiódł go refleks, już by pływał w lodowatych wodach przerębla. Po wsze czasy. A Wisła przynajmniej nie była taka zimna.

Początkowo planował jednak wrócić do Krutyni. Szkoda mu było taty. Tęsknił za nim. Jednak po tym, co się stało z Nikołą, zmienił zdanie. Wprawdzie to nie Olof Molin ją zamordował, tylko ten pieprzony Żukowski, ale gdyby Niki nie poznała Szweda, nadal by żyła! Poza tym na Dobromirze nie miał już się szans zemścić. Zajęła się nim policja.

Dowiedział się tego i owego. Poleciał do Krakowa. Zrobił to, co uważał za słuszne. A teraz przyszła pora na wytchnienie. Może za jakiś czas wyśle kartkę do ojca? A potem go tu dyskretnie sprowadzi. W zasadzie mógłby zaaranżować kolejne zaginięcie... Miał przecież wprawę. Jeszcze przemyśli szczegóły.

– *Excuse me, sir?* – Stewardesa dotknęła jego ramienia.

Mateusz Orzeł się ocknął. Zszedł po schodkach na płytę lotniska. I rozpoczął nowy etap życia.

Nie wiedział, że parę stopni za nim kroczy, nie spuszczać go z oka, pewien dociekliwy polski dziennikarz na stałe mieszkający w Szwecji.

PRZYPISY

[1] *Herr Adler!* (niem.) – Panie Orzeł!

[2] Plińce – placki ziemniaczane.



Rozalia Ginter wybiera się z bliskimi na spływ Krutynią. Nie zdąży na dobre odbić od brzegu, gdy dziób kajaka trafia w przeszkodę. Jak się okazuje, to unoszące się na rzece ciało młodej dziewczyny. Wycieczka zostaje przerwana, a śledztwo w sprawie morderstwa przejmuje mąż Rozalii – Paweł Ginter. Trop prowadzi do położonej za kołem podbiegunowym tajemniczej Osady, do której w celach zarobkowych wyemigrowało wielu mieszkańców Mazur. Czy dramatyczne wydarzenia znad jeziora Torneträsk mają związek z zabójstwem nad Krutynią?

Tymczasem Rozalia prowadzi własną nieczystą grę. Na jej celownik trafia – ku swej zgryzocie – wielebny Konopniak.

Prywatne porachunki, policyjne dochodzenie, a na dokładkę dręczona literacką weną para kotów: Burbur i jej synalek Pedro.

Wakacje pełne relaksu? Nie dla Ginterów!

Spróbujcie się nie uśmiechnąć!

Literackie Przeszpiegi

W serii ukazały się:



Patronat medialny



**WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE**

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-6450-6

EAN 9788327164506

U.WD.KRW150.1.01.01

